

# Studnie piekieł

Masterton Graham



calibre 0.9.43

# GRAHAM MASTERTON

## STUDNIE PIEKIEŁ

(Przełożyła: Danuta Dowjat)

*“Myślę, że gdyby diabeł nie istniał i miałby go stworzyć człowiek, to stworzyłby go na swój obraz i podobieństwo “.*

*FIODOR DOSTOJEWSKI*

*“Ku zgiekliwej trzodzie, której stada Żywot swój wiodą na pastwisku Ziemi, Szatan spogląda i na łożu siada Z siarki wyłonion wśród brzasku promieni”.*

*ROBERT SOUTHEY*

## ROZDZIAŁ 1

Wszystko zaczęło się pewnego rześkiego, chłodnego popołudnia w Connecticut, gdy liście spadają z drzew, a niebo czystością i błękitem przypomina oczy dziecka. Wjeżdżałem właśnie zakurzonym samochodem marki Country Squire na podjazd przy domu Bodine'ów i trzęsło mną niewąsko na wybojach. Zmrużyłem powieki przed słońcem świecącym wprost w oczy przez korony drzew, na uszy mocno naciągnąłem czerwoną czapeczkę baseballową i wysoko postawiłem kołnierz kożuszka. Z tyłu wozu narzędzia i kawałki rur łomotały, uderzając o siebie, wierny kot Shelley ułożył się na sąsiednim siedzeniu i wyciągnął łapki. Jego wymyte do czysta uszy aż lśniły.

Zatrzymałem się przed domem i wysiadłem z samochodu.

- Idziesz? - zapytałem kota, ale on tylko przymknął ślepią, jakby walczył z migreną, co znaczyło, że jest zbyt zimno na dworze i zostanie w środku słuchając radia. Cóż za leniwy cholernik z niego. - Jak tam sobie chcesz - powiedziałem więc tylko.

Po warstwie szeleszczących, wysuszonych liści podszedłem do werandy. Dom

Bodine'ów był dużym wiktoriańskim budynkiem położonym na niskim wzgórzu między New

Milford i Washington Depot przy drodze numer 109. Wokoło rozciągała się cicha, wiejska okolica, wszędzie tylko zagajniki i małe osady. Gdy turyści i niedzielni wycieczkowicze powrócili do Nowego Jorku, nieliczni stali mieszkańcy - nie przybyło ich wielu od czasów kolonizacji - szykowali się do przyjścia zimy.

Jim Bodine grabił liście za domem. Był młodym mężczyzną, najwyżej dwudziestopięcioletnim, czyli o ponad dekadę młodszym ode mnie. Miał jasne, wijące się włosy i duże zęby, a w wełnianej kurtce przypominał postać wprost z obrazów Normana Rockwella.

- Cześć, Mason - powitał mnie i oparł się na trzonku grabi.

- Jak leci? - zagadnąłem.

- W porządku. Zimny ranek, co? Wciągnąłem ostre powietrze pachnące dymem.

- Jeszcze jak. Może wejdziemy do domu?

- Jasne. Alison właśnie miała robić kawę.

Oparł grabie o poręcz werandy z tyłu domu i otworzył siatkowe drzwi chroniące przed muchami. Weszliśmy do kuchni. Poczulem ciepło i miły zapach, zobaczyłem miedziane rondle na sosnowej półce, a na wszystkich parapetach stygnące foremki z ciastem. Alison Bodine właśnie wyjmowała blachę ciasteczek cytrynowych i pomyślałem, że chciałbym umrzeć, zadławiwszy się takim właśnie ciasteczkiem, kochając się z Raquel Welch na sprężystym materacu.

Alison wyglądała na starszą od męża, reprezentowała typ kobiety bardzo macierzyńskiej. Miała ciemne włosy upięte w kok, drobną, miłą twarz z szeroko rozstawionymi, brązowymi oczami. Była niepozorna, niskiego wzrostu, taką kobietę można bez przykłąkania objąć dłońmi za szyję, ale nigdy w pasie.

- Co u ciebie, Mason? - powitała mnie i przyniosłszy trzy fajansowe kubki, naląła do

nich kawy.

Usiedliśmy przy starym, solidnym stole kuchennym i zajadaliśmy ciasteczka. Białe promienie słońca z trudem przebijały się przez szyby.

- Macie kłopoty ze studnią, co? - spytałem.

Jim włożył do ust ciastko, które się pokruszyło, gdy próbował je ugryźć.

- Tak - przytaknął zbierając okruszki. - Świeża

sprawa. Zaczęło się jakieś dwa, trzy dni temu. Ale się przestraszyłem, że mogą być większe kłopoty zimą, kiedy ziemia zamrze.

- To dobrze, że mnie wezwałeś - powiedziałem. - A tak właściwie to o co chodzi?

- Od czasu do czasu płynie woda o dziwnym kolorze, żółtozielonkawa. Nie ma żadnego smaku, ale dziwnie wygląda.

- Jakoś mi głupio ją gotować - dorzuciła Alison. - Słyszysz się tyle o przeciekach i nawozach sztucznych dostających się do wód gruntowych.

- Jeśli płynie dłużej, to w końcu robi się czysta?

- Tak, po jakichś dziesięciu, piętnastu minutach - wyjaśnił Jim.

- A co z nalotem? Zostają ślady na zlewie? Może coś w niej pływa?

- Nie, tylko ten dziwny kolor.

Piłem kawę. Chyba nic poważnego, pomyślałem. Najróżniejsze czynniki mogły wpłynąć na jakość wody w studni: związki organiczne, minerały, przecieki. Bodine'owie martwili się tylko jednym: że będą pili czyjeś ścieki. Mieliśmy mokry rok i ziemia bardzo nawilgła. Kiedy poziom wód gruntowych podnosi się tak wysoko, jak w ostatnim czasie, może się zdarzyć, że podziemne strumienie docierają do szamba, ale dochodzi do tego niezwykle rzadko. Z opisu Bodine'ów wynikało raczej, że woda przepłynęła przez pokłady minerałów lub szczątków roślinnych i to właśnie zmieniło jej zabarwienie.

- Mogę wziąć próbkę - zwróciłem się do nich. - I zawieźć ją do New Milford jeszcze dziś wieczorem, a jeśli Dan Kirk szybko ją dla mnie przebada, to dam wam znać jutro po południu. Nie wygląda mi to na poważną sprawę. Pamiętam, że parę lat temu facet w Kent odkręcił kran i popłynęła woda czerwona jak krew. Okazało się, że do wody dostała się odrobina związku potasu i wystarczyło wykopać studnię trochę głębiej.

- Miejmy nadzieję, że i u nas tak będzie. - Alison

uśmiechnęła się nieśmiało. - Bałam się, że ta woda jest zatruta.

- Chyba nie chorujecie, co? - spytałem.

- Nie, żadne z nas.

- A Oliwer?

- W porządku. Twardy jak rzepa. Dokończyłem kawy i wstałem.

- Moglibyście mi pożyczyć słoik po dzemie albo po czymś takim na próbkę?

- Jasne.

Alison sięgnęła do kredensu po słoik. Wtedy ukradłem kolejne ciasteczko i wepchnąłem je do ust, gdy szedłem za nią do pralni. I jak tu się dziwić, że mam kłopoty z utrzymaniem linii. Żeby spalić tyle słodkości, trzeba by przebiec ze trzy mile.

- Najpierw myślałem, że to rdza z rur - zaczął Jim, gdy pochyłiliśmy się nad zlewem.

- Aha - wymamrotałem, rozpryskując kaskadę okruchów.

- To było najprostsze wytłumaczenie. Ale gdy się przekonałem, że we wszystkich kranach woda jest taka sama, uznałem, że to coś innego. I jak mówiłem, żadnych drobin czy pyłków.

Odkręciłem kran i pozwoliłem wodzie płynąć. Najpierw była czysta, ale po chwili zauważyłem zmianę koloru, choć nie tak szokującą, jak czerwień krwi w Kencie. Woda nabrała jasnego, nieprzyjemnego odcienia żółtego i mówiąc prawdę, wyglądała jak mocz. Z

namaszczeniem pobrałem próbkę do słoika i uniosłem go pod światło.

- I co sądzisz? - zapytał Jim.

- Trudno powiedzieć. - Wzruszyłem ramionami. - Trochę przypomina związki mineralne. Jest prawie przezroczysta.

Powąchałem wodę, ale moim zdaniem nie wyróżniała się żadnym szczególnym zapachem. Podałem słoik Bodine'om, żeby też sprawdzili. Jim potrząsnął głową, a Alison kilkakrotnie pociągnęła nosem i stwierdziła:

- Ryba.

- Że co?

- Hmm, może to i głupie, ale czuję zapach ryby. Przysunąłem słoik do nosa i głęboko wciągnąłem powietrze.

- Ja nic nie czuję - powiedziałem do niej. - A ty, Jim? Spróbował jeszcze raz, ale znów pokręcił głową.

- Masz bujną wyobraźnię, skarbie. A poza tym w naszej studni nie ma prawa być żadnych ryb.

Zakręciłem słoik i schowałem do kieszeni kożuszka.

- Dan Kirk wykryje, co to za cudo. Kiedyś znalazł środek owadobójczy, który pokonawszy osiem warstw litej skały, dotarł do podziemnego strumienia i skończył w herbacie faceta mieszkającego siedem mil dalej. To Sherlock Holmes w świecie H<sub>2</sub>O.

- A ty kim jesteś? - spytała Alison. - Latającym Holendrem w świecie rur?

- To, że mnie trudno złapać, nie oznacza, że nigdy nie bywam w domu. -

Uśmiechnąłem się szeroko. - Przecież robię u ludzi, nie? W tej chwili powinienem zakładać nowe kaloryfery u Harrisonów. Słyszeliście, że mają nowe kaloryfery?

- Sara mi wspominała - przyznała Alison. - Nie masz jakichś świeższych ploteczek?

- Chłopaka Katzów wywalili ze szkoły, jeśli was to interesuje.

- Też już słyszałam. Wendy Pitman wspominała mi o tym w sklepie Northville'a.

- Tak, sklep Northville'a - westchnąłem, gdy przez kuchnię wyszliśmy na podwórko. -

Mówią o nim, że jeśli czegoś tam nie ma na składzie, to w ogóle nie warto tego szukać.

Szczera prawda. Włączając w to wszystkie plotki, które stamtąd pochodzą.

Na dworze było naprawdę zimno, więc głębiej wciągnąłem czapeczkę. Słońce już się schowało za linią lasu, a pomarańczowe promienie lśniły na czubkach drzew. Z ust ulatywały obłoczki pary i zacieraliśmy dłonie, by nam nie zmarzły. U sąsiadów zaszczekał pies.

- Zajrzę do was jutro, jak się tylko czegoś dowiem - zwróciłem się do Jima. - Ale moim zdaniem nie macie się o co martwić. Piliście tę wodę, a czujecie się normalnie i zajadacie ciasteczka, więc cokolwiek to jest, nie ma się czym przejmować.

- Chcesz parę do domu? - zaproponowała Alison.

- Nie, dziękuję. I tak już utylłem. Parę tygodni temu musiałem pełznąć rurą doprowadzającą ciepłe powietrze i z trudem się przez nią przepchnąłem. Niezły sposób na zgon, co? Zarurowany na śmierć.

Jim i Alison towarzyszyli mi w drodze do samochodu.

- Lepszy niż utonięcie - rzuciła kobieta.

- Utonięcie? - zdziwiłem się. - A kto mówi o utonięciu?

- Spytaj Jima - odparła. - Przez cały ubiegły tydzień tylko to mu się śniło.

- Może nie powinieneś napełniać po brzegi wanny. Jim wyglądał na zawstydzonego.

- Głupstwo. To tylko sen.

- Jaki?

- Dlaczego mu to powiedziałaś? - zwrócił się do żony. - Głupi sen i tyle.

- Jestem znawcą snów o wodzie. Wiesz, że jestem hydraulikiem, a wcześniej

zrobiłem połowę kursu uniwersyteckiego z psychologii. Któż lepiej ode mnie potrafi zinterpretować sen o tonięciu? Już ci mówię: spychasz w podświadomość pragnienie, by iść na dno razem z "Titanikiem", gryzie cię to, że zatonął ponad pół wieku temu. A może mama dodawała za dużo wody do twojej oranżady, gdy byłeś dzieckiem, i teraz cierpisz na obsesję rozcieńczania?

Jim wepchnął dłonie w kieszenie kurtki i wzruszył ramionami.

- To tylko jeden z tych głupich snów. Śni mi się, że jestem pod wodą, bardzo ciemną wodą, i chcę się wydostać, ale nie mogę.

- Długo to trwa?

- Nie wiem. Może parę sekund. Ale budzę się zlany zimnym potem. I jest mi naprawdę bardzo zimno. Poza tym mam wrażenie, że wypilem całe litry lodowatej wody.

Obszedłem samochód i otworzyłem drzwi. Shelley siedział w środku i słuchał Doiły Parton. Zmierzył mnie wyniosłym spojrzeniem. Czasem zachowywał się tak arogancko, że miałem ochotę mu przykopać. Zastanawiałem się niekiedy, kto, u licha, kieruje firmą "Mason Perkins, Naprawy Hydrauliczne i Ogrzewanie", ja czy ten przeklęty Shelley? Naprawdę mógłbym mu przykopać.

Jim otarł nos wierzchem dłoni i powiedział:

- Najbardziej przeraża mnie uczucie, że ta woda się nie kończy. Jest głęboko pod ziemią, a nad nią tysiące ton skał. Więc nawet gdybym się wynurzył, to i tak nie zaczerpnę powietrza.

Poklepałem go serdecznie po ramieniu.

- Wygląda na to, że masz na pieńku z wodą. Może za bardzo martwisz się o studnię?

- Też mu to mówię - przyznała Alison. Wsiadłem do samochodu i uchyliłem okienko.

- Jeśli się tym tak przejmujesz, to zrobię wszystko co w mojej mocy, żebyś jak



najszybciej dostał wyniki badań.

- Powinien przestać tak harować - wtrąciła jego żona. - Może to jeden z tych snów, które miewają ludzie walczący za wszelką cenę o powodzenie?

- Posłuchaj: prawie skończyłem zaawansowany kurs psychoanalizy, zupełnie zwyczajni ludzie opowiadali nam sny, od których ty byś z miejsca posiwiiał. Twój sen to pestka. Rezultat niepokoju. Przed pójściem do łóżka weź jakąś pigułkę nasenną i po koszmarach.

- Czy liczysz sobie za porady lekarskie tyle samo, co za naprawy hydrauliczne? - spytał z uśmiechem Jim.

- Liczę sobie za wszystko. Dlatego jestem taki bogaty. Ruszyłem, zatrąbiłem na pożegnanie i pomachałem ręką, gdy mijałem skrzynkę na listy umieszczoną przy wjeździe na podwórko. Skręciłem na zachód i drogą 109 ruszyłem ku New Milford. Zapaliłem reflektory, by lepiej widzieć szosę w zapadającym zmroku. Jechałem w górę i w dół pagórków, a za mną tańczyły liście unoszone pędem powietrza.

Zaciekawił mnie sen Jima Bodine'a, ale nie chciałem go interpretować. To właśnie podejrzliwy stosunek do analizowania snów sprawił, że przerwałem w połowie studia uniwersyteckie z psychologii Freuda i Junga. Może nie traktowałem życia na serio. A może nie dla mnie była kozetka psychoanalityka, podświadomość zbiorowa i odgrywanie autorytetu. Może byłem zbyt samolubny i nie chciałem zbawiać świata od jego obsesji i kompleksów. Trudno powiedzieć, jakie przeważyły względy, dość że przerwałem studia w połowie roku i porażony głupotą tego postępu wróciłem do domu, po czym zgoliłem brodę - właśnie w takiej kolejności. Moja matka, drobna, dobra kobieta nosząca kwieciste podomki, rozplakała się; mój ojciec, wprawdzie wyższy, ale dorównujący jej dobrocią, uściśnął mi dłoń i powiedział, że najwyższy czas, bym się wziął do czegoś pożytecznego. Dlatego właśnie

zaczęłam pracować jako hydraulik i od tamtej pory jestem niczym więcej, tylko Masonem Perkinsem - hydraulikiem.

Prawdę mówiąc, to wyglądam bardziej na hydraulika niż na psychologa. Mam ponad sześć stóp wzrostu, ciemne, falujące włosy, długą, szczupłą twarz z wyrazem wiecznego zdumienia, tak charakterystycznego dla hydraulików. Gdybym pozostał przy psychologii, moi pacjenci pewnie by się zastanawiali, czy mam zamiar wyjąć klucz i przykręcić im głowy we właściwym miejscu. A moje maniery zawsze bardziej nadawały się do rur niż do dusz ludzkich.

Miałem kiedyś żonę. Nasze małżeństwo nie przetrwało długo, choć ona była bardzo miła na swój sposób. Miała na imię Jane i marzyła o schludnym domu na przedmieściach, telewizorze i lśniącym samochodzie, ja zaś, jeśli jeszcze potrafiłem marzyć, na pewno chciałem czegoś innego. Spędziliśmy razem trzy lata, patrząc w milczeniu na tapety, po czym ona wróciła do domu rodzinnego w Duluth. Może nie powinno się wiązać z ludźmi z Duluth? A ja zostałem tutaj, w Connecticut, z moją firmą i kotem Shelleyem, i ze wszystkich sił starałem się uwieść kelnerkę z restauracji "Pod Jałówką", lecz udawało mi się zaledwie rozpiąć jej wysokie buty kowbojskie. Żyło mi się nie najgorzej, uważałem, że jakoś sobie radzę, choć wiele spraw zawałiłem.

Wjechałem do New Milford. Było to małe, senne miasteczko przy autostradzie, z tuzinem ślicznych, dziewiętnastowiecznych domów oraz główną ulicą z dużym skwerem i estradą. Zaparkowałem koło banku i wyłączyłem silnik. Shelley, który obudził się z twardego snu, przeciągnął się i ziewnął szeroko.

Wyjąłem z kieszeni słoik i sprawdziłem, czy nie cieknie. Może sprawił to zapadający zmierzch, ale woda wydała mi się ciemniejsza niż wtedy, gdy ją nalewałem. Odkręciłem pokrywkę i powąchałem zawartość.

W tym momencie kot zaczął węszyć i prychnął tak przeraźliwie, że aż włosy stanęły mi dęba na głowie. Wygiął się w pałąk, niemal złożył na pół i nastroszył ogon. Jego ślepie rozszerzyło gwałtowne uczucie lęku lub nienawiści.

- Shelley, na miłość boską - zacząłem.

Darł pazurami skajowe pokrycie siedzenia i nigdy wcześniej nie słyszałem, by tak prychnął. Zwróciłem się w jego stronę, ale tylko drapał jeszcze mocniej i miauczał przesywająco: na taki dźwięk w środku nocy ludzie rzucają butem z okna.

Zakręciłem słoik. Niemal natychmiast Shelley się uspokoił i przestał jeżyć sierść.

Patrzył na mnie podejrzliwie; koty doskonale wiedzą, w jaki sposób w ludziach, którzy je rozgniewali lub zaniepokoiли, wzbudzać poczucie winy. Spojrzałem na niego marszcząc brwi, po czym znów zerknąłem na słoik. Przecież to tylko woda; dlaczego więc kot niemal dostał szału?

Może Alison miała rację i woda pachniała rybą lub czymś podobnym? W końcu obaj, Jim i ja, paliliśmy od czasu do czasu cygara i może nasze powonienie nie było tak czułe, jak jej. Ale przecież Shelley nie reagował gwałtownie na zapachy, nawet ryby. Najbardziej lubił resztki pizzy, może by i oszalał na widok salami, ale szczerze w to wątpię.

Wysiadłem z samochodu i zamknąłem drzwi, po czym jeszcze raz odkręciłem słoik i powąchałem. Tym razem wyczułem cień jakiegoś zapachu. Nieprzyjemna, ostra woń, bardziej metaliczna niż rybi odór. Dziwnie się poczułem, jakbym zetknął się z czymś nieznanym i wrogim. Gdy tak stałem o zmierzchu pośrodku miasteczka, ogarnęło mnie niezwykle wrażenie samotności. Za estradą dzieci grały w piłkę, ich okrzyki przypominały pisk ptaków.

Obszedłem skwer i po schodach ruszyłem ku wejściu do Okręgowego Wydziału

Zdrowia. W oknach na piętrze się świeciło, więc uznałem, że Dan Kirk i jego zespół jeszcze

pracują. Otworzyłem wysokie, czarne drzwi i po szerokich schodach wszedłem na pierwsze piętro. Wnętrze jasno oświetlały jarzeniówki, ściany pomalowano na burozielony kolor.

Otworzyłem drzwi z napisem "Wydział Zdrowia. Biuro". W pierwszym pomieszczeniu siedziała przy biurku pani Wardell, w okularach i z mocno umalowanymi ustami.

- Cześć, Mason. Co cię do nas sprowadza? - rzuciła na powitanie.

Uniosłem słoik z wodą.

- Zatruwają studnię - odparłem melodramatycznym tonem. - Dan jeszcze jest, czy się wymknął wcześniej?

- Dan wymykający się wcześniej? To miał być dowcip? On uważa, że jeśli wyjdzie o świcie, to się wcześniej wymknął. W Sherman panika, bo wybuchła zaraza wśród świń.

- Mogę wejść? - spytałem.

Zapukawszy, wszedłem do laboratorium. Dan siedział przy długim lśniącym stole i patrzył w mikroskop. Był młody i zupełnie łysy, w białym fartuchu przypominał szalonego profesora lub, co gorsza, ugotowane na twardo jajko. Zauważyłem z radością, że w pokoju jest również Rheta Warren, asystentka Dana, która rozpoczęła u niego pracę po ukończeniu biologii w Princeton. Na tle innych sikerek z okolic New Milton zdecydowanie rzucała się w oczy. Miała długie, falujące blond włosy, duże orzechowe oczy i figurę, której pod żadnym pozorem nie powinna przysłaniać białym fartuchem. Pomachałem do niej szczególnie serdecznie i podszedłem do Dana.

- Oto nadchodzi hydraulik - powiedziałem, stawiając słoik na blacie.

Dan zerknął znad mikroskopu i zmierzył naczynie ponurym spojrzeniem. Po czym przeniósł wzrok na mnie.

- Mój horoskop ostrzega, że zapowiada się głupi tydzień.

- Dlaczego głupi? To woda, najprawdopodobniej czymś zanieczyszczona. Chciałbym,

żebyś ją sprawdził.

Uniósł słoik i popatrzył na niego wnikliwie wylupiastymi, krótkowzrocznymi oczami.

- Skąd to wzięłeś? - spytał.

- Ze studni Bodine'ów. Jim twierdzi, że od paru dni z kranów leci woda o dziwnym kolorze. Alison czuje zapach ryb, a Shelley najwyraźniej się z nią zgadza.

- Shelley? Twój kot?

- Tak. Kiedy zdjąłem pokrywkę, niemal oszalał. Gdy ją zakręciłem, powrócił do zwykłego stanu całkowitej obojętności.

Dan zgasił ostre światło nad mikroskopem i potarł zaczerwienione oczy.

- Jak sądzisz, czy Shelley zgodziłby się tu pracować? Mam wolny etat dla asystenta z dobrym nosem.

- Dan, ja nie żartuję. Proszę tylko, żebyś to sprawdził. Dan Kirk uśmiechnął się z wysiłkiem i skinął głową.

- Wiesz, że i tak muszę. Jeśli chcesz, to zabierzemy się do tego od ręki. Na dziś już mi starczy świńskiej zarazy.

- Aż tak źle?

- Chyba gorzej być nie może. Biedny stary Ken Follard musiał wyrzucić całe cholerne stado. A palonym mięsem cuchnie aż do Roxbury.

Wyjąłem chustkę i przedmuchałem nos. W laboratorium było bardzo ciepło, zwłaszcza po chłodzie panującym na dworze. Gdy Dan ruszył do wirówki, spojrzałem znad chusteczki na Rhetę i puściłem do niej oko. Może to niezbyt romantyczny gest, ale moim zdaniem trzeba korzystać z każdej nadarzającej się okazji.

- Może mi powiesz coś jeszcze o tej próbce? - poprosił Dan, zapalając światło przy pomalowanym na szaro urządzeniu. - Z którego kranu pochodzi? Inne szczegóły?

- Nalałem wody wprost z kranu w kuchni. Jim mówił, że z pozostałych płynie taka sama.

Dan odkręcił słoik i powąchał. Przez chwilę analizował zapach, po czym znów powąchał.

- Może i Shelley ma rację - zwrócił się do mnie.

- Uważasz, że pachnie rybą?

- Można to i tak określić.

- A jak inaczej? Zupą żółwiową?

Dan zanurzył palec w wodzie i go oblizał. Zmarszczył brwi i liznął po raz drugi.

- Zdecydowanie ta woda pachnie i smakuje czymś niezwykłym, ale bardzo trudno to precyzyjnie określić. W smaku nie przypomina żadnego ze związków mineralnych, które się trafiają w tych okolicach. Ani to mangan, ani potas. - Urwał kawałek papierka lakmusowego i włożył do wody. Gdy papierek powoli nasiąkał płynem, jego kolor zmieniał się z jasnofioletowego na czerwony. - Hmm, to wskazuje na obecność kwasów.

- Jakich kwasów?

- Nie wiem. Będziemy musieli przeprowadzić wszystkie badania. Najpierw wsadzimy próbkę do wirówki i zobaczymy, czy się coś wytrąci. Widziałeś jakiś osad na zlewie Bodine'ów albo w wannie?

- Ani śladu. W końcu to się pojawiło zaledwie parę dni temu, za mało czasu, by się zdążył odłożyć osad.

Dan włączył wirówkę i patrzyliśmy, jak się w niej kręci woda ze studni Bodine'ów.

- Oglądałeś mecz we czwartek?

- Nie, u pani Huntley pękła rura. Dan masował sobie kark.

- Też nie widziałem, siedziałem pół nocy i sprawdzałem nawozy.

Rheta przeszła przez laboratorium, niosąc naręczę dokumentów i teczek. Z bliska dobrze widziałem jej oryginalną urodę. Miała trochę za mały nos i zbyt szerokie usta, ale te drobne braki nadrabiała uroczym uśmiechem.

- Lubię mężczyzn, dla których praca jest wszystkim - powiedziała z udanym namaszczaniem, jakby miała zamiar wręczyć nam medale. - Świadczy to o odpowiedzialnym, uczciwym charakterze.

- Cały ja. Najpierw rury, potem przyjemność - odparłem.

Dan wyjął próbkę z wirówki i włożył ją do spektroskopu. Pracował powoli, metodycznie i wiedziałem, że skończy analizy najwcześniej za cztery godziny. Gdy elektryczny zegar na ścianie laboratorium pokazał siódmą, mój pierwotny entuzjazm zaczął przygasać, byłem coraz bardziej znudzony i głodny, marzyłem o piwie. Na zewnątrz zapadła już noc, tak że w oknie widziałem swoje odbicie, jak siedzę na wysokim stołku, z podbródkiem opartym na dłoniach. Rheta już niemal skończyła porządkowanie probówek, pipet i innych przyrządów.

- Czy to naprawdę odpowiednia praca dla takiej dziewczyny jak ty? - spytałem, gdy chowała palnik Bunsena. - Czemu nie zajmiesz się czymś ciekawszym, choćby tańcem brzucha? Z taką urodą mogłabyś zrobić karierę w Playboyu.

- Wierz mi - odparła, zamykając szafkę - badanie próbek zarazy świńskiej jest o wiele ciekawsze niż podawanie koktajli takim rozpusznikom jak ty.

- Dlaczego od razu rozpusznik? Bo wyobrażam sobie, jak byś wyglądała w obcisłym, atlasowym kostiumie z króliczym ogonkiem? Może kolacja dziś wieczorem?

- Jaka kolacja? - spytała, rozpinając fartuch.

- Co tylko zechcesz. - Wzruszyłem ramionami. - Ryby i białe wino "U Fritza i Foxa" albo hamburgery w "Barze Conna".

- Taki to pożyje - powiedziała z dobroduszną złośliwością. - No więc dzięki, ale nie. Umówiłam się na dziewiątą z Kennym Packerem.

- Tym piłkarzem? Twardzielem Packerem?

- Tak, z nim.

- On przypomina różową górę mięsa.

- Ej wy! - zawołał Dan i nie podnosząc oczu znad mikroskopu, skinął na nas. -

Chodźcie popatrzeć.

Odsunął stołek tak, byśmy mogli zajrzeć w okular. Spojrzałem pierwszy i zobaczyłem płataninę kształtów pływającą w morzu oślepiająco jasnego światła. Później Rheta obserwowała preparat przez parę minut w milczeniu, poprawiając ostrość lub przesuując obiektyw w inną stronę.

W końcu się wyprostowała i zmierzyła Dana skupionym, pytającym spojrzeniem. Dan pokręcił głową, jakby nie wiedział, co powiedzieć czy zrobić.

- Może byście mi wyjaśnili, o co tu chodzi? - spytałem niecierpliwie. - Widziałem tylko maleńkie, wijące się przecinki.

- Takie wijące się drobiny trafiają się nawet w najczystszej wodzie. - Dan pokiwał głową. - Filtrowanie i oczyszczanie nigdy nie usunie wszystkich mikroorganizmów. W sumie są nieszkodliwe, co dzień wypijasz ich miliony.

- Co ty wyprawiasz? Chcesz mi obrzydzić kolację?

- W żadnym razie. Ale to, co widziałeś w tej próbce wody, powinno obrzydzić Bodine'om ich kolację.

- Co to jest? Coś poważnego?

- Trudno stwierdzić. - Poglądził łysą czaszkę. - Na pierwszy rzut oka wydają się tylko niezwykle rozwiniętymi mikroorganizmami. Ale jeśli im się dokładniej przyjrzeć, widać, że



są znacznie bardziej złożone niż normalne organizmy i mikroby żyjące w studniach.

Wyglądają, jakby miały prosty układ oddechowy i wydzielały z siebie substancję, która rozpuszcza się w wodzie.

Oparłem się o jeden z wysokich stołków.

- I to ona zabarwia wodę?

- Tak sędzę. Tak, niemal na pewno.

- I czym są te przecinki? Widziałeś takie już kiedyś?

- A ty? - Dan zwrócił się do Rhety. - Widziałeś je już kiedyś?

W milczeniu pokręciła przecząco głową.

- Mnie nie przypominają niczego znanego. To żadna z bakterii, które zwykle trafiają się w wodzie, i z tego, co do tej pory widziałem, a nie miałem dość czasu, by prześledzić ich pełen cykl życiowy, uważam, że wiodą bardzo niezwykłą egzystencję. Produkują wręcz ogromne ilości tej zielonożółtej substancji. Popatrz na nie jeszcze raz. Gdybyśmy to my, ja czy ty, wydzielali coś takiego w tym tempie, to wylewałoby się z nas dwadzieścia galonów na godzinę. - Zrobiłem minę pełną obrzydzenia, ale Dan ciągnął: - No, popatrz jeszcze raz.

Pochyliłem się nad mikroskopem i z uwagą wpatrywałem w próbkę wody.

Teraz, kiedy wiedziałem czego szukać, z łatwością dostrzegłem organizmy, o których mówił Dan. Były przezroczyste, ale wszystkie o podobnym kształcie, przypominającym konika morskiego. Zauważyłem ich układ oddechowy. Skrzelami wchłaniały wodę, która przepływała przez przezroczyste ciała, i wypływała z drugiego końca jako żółtawa ciecz. Zatem może i miałem trochę racji, gdy biorąc próbkę w domu Bodine'ów, porównałem płyn do moczu.

Kształt tych organizmów bardzo mnie przeraził. Choć widziałem je pod mikroskopem, to jednak sprawiały wrażenie potworów. W części, którą uznałem za głowę, miały wyrostki

przypominające skręcone rogi, grzbiety były porowate. Przez cały czas, bez końca, wiły się, gięły i pływały. Wtem przypomniałem sobie, że oblizałem palec zanurzony w tej wodzie, i aż mnie zemdliło. Wyprostowałem się i spoglądałem to na Dana, to na Rhetę.

- Możecie je zidentyfikować? - spytałem. - Znacie metody rozpoznawania czegoś takiego?

- Musimy spróbować - odparła dziewczyna. - Są całe tysiące mikroorganizmów i przejrzenie wszystkich podręczników zajmie sporo czasu. Ale tak się składa, że to moja specjalność i na bieżąco śledzę wszystkie najnowsze odkrycia. Nie przypominam sobie, by ktoś kiedykolwiek donosił o takim znalezisku.

Wyjąłem z kieszeni cygaro i zgryzłem końcówkę w celofanowej osłonie.

- Niczego wam to nie przypomina?

Dan pochylił się nad mikroskopem, by jeszcze raz się przyjrzeć preparatowi.

Kilkakrotnie nastawiał ostrość, ale w końcu usiadł i przecząco pokręcił głową.

- W tej chwili nie potrafię powiedzieć niczego konkretnego. Gdyby to nie była absolutna bzdura, uznałbym, że przypominają jakieś żyjątka morskie.

- Też tak pomyślałem - wtrąciłem. - Przypominają koniki morskie.

- Nie wolno się sugerować zewnętrznym podobieństwem - zastrzegła Rheta. - Może i wyglądają jak koniki morskie, ale pochodzą ze źródła wykopanego wiele mil od oceanu.

Zapewne z biologicznego punktu widzenia nie mają z nimi nic wspólnego.

- Czy to można pić? - spytałem Dana. - Co mam powiedzieć Bodine'om?

- Na wszelki wypadek poradziłbym, żeby nie pili tej wody, póki nie zakończymy badań. - Westchnął głęboko. - Udało mi się wyodrębnić kwas azotowy i nieco związków siarki, ale trudno przesądzić, czy ma to jakiś związek z tymi organizmami. To coś pływające

w wodzie jest bardzo złożone i niezwykle.

- Dobra, zadzwonię do Bodine'ów i ostrzegę ich, by sobie dali spokój z wodą ze studni. - Wstałem. - Jak sądzisz, ile ci zajmie zidentyfikowanie tych przecinków. Bodine'owie na pewno mnie o to zapytają.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Czasem trwa to parę miesięcy. Może lat.

Wyjąłem pudełko zapalek i zapaliłem cygaro.

- Mogę im powiedzieć, że ze dwa tygodnie? Nie chciałbym ich przerazić.

- Doskonały pomysł - przytaknął Dan. - I tak będę musiał sam tam pojechać i pobrać próbki. Wspomnij Jimowi, że wpadnę jutro.

- Jasne. A może byś teraz poszedł ze mną na piwo? Dan spojrzał na zegar.

- Dobrze. Może skuszę się na kanapkę. Chyba nic nie jadłem od śniadania. A będę tu musiał wrócić i skończyć badać próbki świńskiej zarazy.

- Potem możesz robić, co ci się żywnie spodoba - rzuciłem zapinając kożuszek. - Ale w tej chwili marzę tylko o łyku zimnego schaefera.

Wyszliśmy razem i Dan zamknął drzwi na klucz. Pani Wardell też się zbierała do domu, przykryła szarym pokrowcem maszynę do pisania i porządkowała biurko. W całym budynku gasły światła. Słyszeliśmy, jak na zewnątrz ludzie zapalają silniki samochodów i życzą sobie dobrej nocy.

- Dobranoc, Gina - Dan zwrócił się do pani Wardell.

- Dobranoc, panie doktorze. Czy pamiętał pan o zastawieniu pułapki na myszy?

- Zrobię to później. Przed pójściem do domu jeszcze wrócę spojrzeć na zarazę. -

Odwrócił się do mnie i powiedział: - Za nic nie zgadzaj się pracować w starym budynku.

Ganiają po nich hordy myszy. W zeszłym tygodniu Rheta nakryła jedną, jak zajadała jej kanapkę. Ta cholernica przegryzła plastikową torebkę.

Wyszliśmy z budynku i ruszyliśmy po skwerze tonącym w mroku, z naszych ust ulatywały obłoczki pary. Gwiazdy świeciły ostro i jasno, więc nad ranem można było się spodziewać mrozu. Dla mnie to dobra wiadomość, bo spędzę pół dnia reperując pęknięte rury i zamarzniete kurki.

- Najtrudniej pojąć, co te organizmy robią w wodzie - zaczął Dan. - Wydaje się, że ich egzystencja niczemu nie służy. Wchłaniają wodę i wydzielają żółty płyn. I po co to?

- A po co są inne rzeczy? Ludzie również wchłaniają wodę i wydzielają żółty płyn, a nikt nie twierdzi, że brak im sensu istnienia.

- Źle mnie zrozumiałeś. - Dan pokręcił głową. - Gdyby ten płyn był wydalaną wodą, to wiele by wyjaśniało. Ale z tego, co zaobserwowałem, wnoszę, że zmiana koloru płynu spowodowana jest pojawieniem się w nim substancji, którą prawdopodobnie wytwarzają jakieś wewnętrzne gruczoły, jeśli oczywiście nie jest przesadą określać tak część mikroskopijnego organizmu. Te stworzenia poświęcają mnóstwo czasu i energii na wydzielanie tej substancji - właściwie tak wiele czasu i energii, że wydaje się to nadrzędnym celem ich istnienia.

Szliśmy wzdłuż starej linii kolejowej. Rheta pożegnała się z nami i ruszyła do swojego volkswagena zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, przesłałem jej pocałunek w powietrzu i razem z Danem powędrowaliśmy do hotelu i restauracji Stanleya, które mieściły się w budynku pomalowanym w zielono-czerwone pasy. Można tam było dostać ucziwy stek i znośną whisky. Przez frontowe drzwi weszliśmy do korytarza wyłożonego przykurzonym dywanem i dalej, do słabo oświetlonej sali restauracyjnej. W rogu mieścił się zadymiony, w tej chwili niemal pusty bar, nad którym srebrzyście migał ekran telewizora.

- Dobry wieczór, Henry - powitałem drobnego mężczyznę stojącego za czarnym kontuarem. - Pan profesor i ja prosimy o dwa duże piwa, tylko migiem.

- Ależ ziąb dzisiaj, co? - zagadnął Henry nalewając dwa schaefery. - Chcecie coś mocniejszego?

- Jeszcze wracam do pracy, muszę mieć jasny umysł, ale dzięki - odparł Dan.

- A ja już skończyłem, podaj mi Jack daniela - rzuciłem.

- Słyszeliście o małym Dentonów? - spytał Henry.

- A cóż on znowu spsocił?

- Tym razem nic poza tym, że zniknął. Nie ma go już od rana. Policja wszędzie go szuka.

- Kiepsko - powiedziałem. Znałem Dentonów, spokojna, biedna rodzina, która mieszkała niedaleko Bodine'ów. Ich syn, Sam, ganiał w wiecznie połatanych na kolanach portkach, ale był niezwykle miłym i grzecznym chłopcem. To jeszcze dziecko, miał zaledwie dziewięć lat, źle, gdyby mu się coś przytrafiło. W taki ziąb lepiej się nie gubić.

- Pojechał gdzieś rowerem i tyle go widziano - opowiadał Henry. - Znaleźli rower jakąś milę od domu, między drzewami, ale ani śladu Sama. Jego rodzice się zamartwiają.

W milczeniu popijałem piwo. Dan cichym głosem zaproponował:

- Może byśmy wypili za jego odnalezienie? Pogadaliśmy chwilę z Henrym, a później wróciliśmy do tematu wody ze studni Bodine'ów i mikrobów. Dana najwyraźniej irytowała tajemnicza żółtozielona substancja i długo wyliczał na palcach, czym na pewno nie jest i czym ewentualnie mogłaby być, ale nadal nic z tego nie wynikało.

- Nie rozumiem, czemu się tak przejmujesz - przerwałem mu. - Przecież wiesz, że w końcu to wykryjesz. Po paru miesiącach cierpliwych badań stwierdzisz, że po prostu parzą sobie kawkę na podwieczorek. Pierwszy mikroorganizm produkujący na własną rękę napoje.

- Czy ty kiedykolwiek jesteś poważny? - spytał Dan. - Te organizmy mogą się okazać najbardziej sensacyjnym odkryciem ostatnich lat. Dzięki nim mógłbym stać się sławny.

- Moim zdaniem nie jesteś typem ambitnego naukowca. Za chwilę pewnie mi wyznasz, że marzysz o Nagrodzie Nobla w dziedzinie badania nawozów.

Dan się lekko zaczerwienił.

- Każdy do czegoś dąży - odparł najwyraźniej zawstydzony.

- A ja nie - walnąłem prosto z mostu. - Może kiedyś, jak byłem młodszy. Ale poradzę ci coś z czystej przyjaźni. Ambicja prowadzi donikąd. Jeśli się będziesz nią kierował, to spędzisz całe życie goniąc za czymś tylko po to, by w końcu stwierdzić, że wcale nie to chciałeś znaleźć.

- I w ten sposób niedouczony psycholog usprawiedliwia to, że pracuje jako hydraulik?

Spuściłem wzrok.

- Może w ten sposób douczona istota ludzka ma szansę na spokojne i szczęśliwe życie.

- Naprawdę jesteś szczęśliwy i spokojny?

- Naprawdę chcesz się skąpać w blaskach sławy?

- Uważam, że powinieneś się zakochać - oświadczył i napił się piwa.

Zamówiliśmy jeszcze po kuflu i przez chwilę obserwowaliśmy mecz koszykówki na ekranie telewizora nad barem. W końcu zostawiłem na kontuarze dolara dla Henry'ego i wyszliśmy w mrok. Odprowadziłem Dana na skraj skweru i przez chwilę staliśmy rozmawiając o wodzie.

- Wiesz - powiedział w końcu - muszę sprawdzić te próbki. Zadzwoń do ciebie jutro, jak wrócę od Jima.

Sięgnąłem do kieszeni po cygaro, ale była pusta. Musiałem zostawić tę cholerną paczkę w barze albo w laboratorium.

- Pamiętasz, czy zostawiłem u ciebie cygara? - spytałem.

- Nie, ale przecież możesz ze mną pójść i sprawdzić.

Dan otworzył główne drzwi własnym kluczem. W budynku było mroczno, kroki odbijały się głośnie echem, nigdzie ani żywej duszy. Weszliśmy po schodach i korytarzem ruszyliśmy w stronę Wydziału Zdrowia.

- Kiedy tu pracujesz do późna, nie dostajesz gęziej skórki? - zagadnąłem.

- Nie większej niż we własnym mieszkaniu - odparł. - Właścicielka domu, podgląda przez dziurkę od klucza, czy nie przyjmuję kobiet w pokoju.

- A przyjmujesz?

- Tajemnica zawodowa.

- Aha. Sądziłem, że jak przystało na szanującego się naukowca, uwarzyłeś jakiś napój, po którym żadna ci się nie oprze.

Dan otworzył drzwi Wydziału Zdrowia. Minęliśmy biurko pani Wardell, zmierzając ku wejściu do laboratorium.

Weszliśmy do środka. Jarzeniówki błysnęły parę razy, nim się zapaliły na dobre.

- Chyba zostawiłeś cygara gdzieś koło mikroskopu - powiedział. - Gdybyś mnie potrzebował, to idę do lodówki wyjąć próbki zarazy świńskiej.

Przyjrzałem się lśniącym stolom i na jednym z nich pod arkuszami papieru z jakimiś danymi znalazłem moje cygara. Wyjąłem jedno z nich i zapaliłem, czekając na powrót Dana. Chciałem się z nim pożegnać. Wokoło panowała cisza, słychać było tylko delikatny szmer jarzeniówek. Zakaszlałem, w ciemnym oknie odbijała się moja postać. Zastanawiałem się, czy zdążę zamówić stek przed zniknięciem restauracji. Potrzebowałem solidnej porcji jedzenia po dwóch piwach i podwójnej whisky.

Wtem usłyszałem chrzęst. Z początku nie zwróciłem na niego uwagi myśląc, że

zsunęły się poruszone przeze mnie kartki. Ale po chwili dźwięk rozległ się ponownie i choć dochodził od strony arkuszy, to jednak nie przypominał szelestu kartek. Był zbyt gwałtowny, ostry. Pomyślałem, że pod kartkami schroniła się mysz.

- Dan! - zawołałem.

- Już idę! - odkrzyknął.

- Chyba zdybałem złodziejkę kanapek! Zobaczyłem, że kartki zadrżały, podszedłem na palcach i przykryłem dłońmi miejsce, w którym dojrzałem ruch. Po sekundzie ciszy stworzonko zapiszczało, a ja jednym ruchem odrzuciłem arkusze i schwyciłem gryzonia między złożone dłonie. Mysz znów zapiszczała donośnie i nawet próbowała mnie ugryźć, ale trzymałem ją mocno. Dan zjawił się z tacką pełną próbek, postawił je na blacie.

- Oto i ona - oświadczyłem. - Obgryzaczka kanapek we własnej osobie.

- Złapałeś ją? Dobra robota. I co teraz z nią zrobisz? Popatrzyłem na złożone dłonie.

- Nie wiem. Chyba zgniotę na śmierć.

- Naprawdę mógłbyś to zrobić? - Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Chyba nie. - Pokręciłem głową.

- No to ją puść. I tak wcześniej czy później wpadnie w pułapkę.

- Może powinienem zawieźć ją do granicy i uwolnić w Kanadzie?

- No, już, puszczaj - roześmiał się Dan.

Stopniowo rozchylałem dłonie. Zobaczyłem różowy nosek, brązowe wąsiki, różowe uszy i pokryty sierścią kark. A później ujrzałem coś takiego, że gwałtownie rozłożyłem ręce, zachwiałem się i ramieniem strąciłem próbki ze stołu.

- Dan! Na miłość boską! - zakrzyknąłem.

Dan się odwrócił i spojrzał na podłogę, gdzie spadła upuszczona mysz. W pierwszej chwili nie zauważył niczego dziwnego, ale już po sekundzie wpatrywał się przerażony w



stworzenie, które stało drżące na wyfroterowanej podłodze, niezdolne do wykonania ruchu.

- Co jej się stało? - zapytał zduszonym szeptem. Uklęknął obok myszy i przyjrzał się jej uważniej. Pисnęła, ale nie próbowała uciekać.

Od połowy ciała w dół była oblepiona czymś ciemnym, pomarszczonym, przez co przypominała wielkiego, czarnego chrząszcza. Nawet tylne łapki uległy przemianie i teraz wyglądały jak kleszcze. Tył i boki ciała pokrywała zielono--czarna, matowa łuska o porowatych wyrostkach.

Wstałem i na miękkich nogach podszedłem do zlewu, gdzie długo szorowałem ręce.

Gdy chwyciłem mysz, wyczułem łuskę, ale uznałem, że to ostre pazurki. W gardle poczułem ostatnie piwo, ale nie zwróciłem go wyłącznie dzięki temu, że kilkakrotnie głęboko zaczerpnąłem powietrza.

Dan klęczał i plastikową linijką delikatnie dotykał myszy.

- Widziałeś już coś takiego? - spytał.

- Mam nadzieję, że nigdy więcej nie będę musiał tego oglądać. - Pokręciłem głową.

Dan przewrócił mysz na wznak, leżała piszcząc i machając łapkami w powietrzu.

Brzuszek wyglądał jeszcze gorzej niż grzbiet. Poniżej klatki piersiowej jej ciało przypominało tułów robaka, różowej stonogi lub liszki. Mniejsze kleszcze miały ostro zakończone brzegi i poruszały się z odrażającym chrzęstem.

- Hmm, biedaczko, i czym ty teraz jesteś? - zagadnął Dan.

Mysz pisnęła i nerwowo kręciła łebkiem.

- Czy mógłbyś mi podać tę metalową klatkę stojącą przy oknie? - poprosił Dan. -

Zamkniemy naszą przyjaciółkę, żeby nam nie uciekła.

- To nie jest moja przyjaciółka - stwierdziłem, idąc po klatkę.

Niosąc ją Danowi, spojrzałem na kuwetę, w której znajdowała się znaczna część próbki wody ze studni Bodine'ów. Była niemal pusta, a obok widniały mysie odchody. Podałem Kirkowi klatkę. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Ale gdy ostrożnie wsunął za druciane drzwiczki mysz wiszącą niemal bez życia na końcu linijki, przełknąłem ślinę i odezwałem się:

- Dan...

## **ROZDZIAŁ 2**

Wykręcałem numer Bodine'ów czterokrotnie. Za każdym razem telefon długo dzwonił, ale nikt go nie odbierał. Spojrzałem na zegar ścienny: minęła dziewiąta wieczorem i ktoś powinien być w domu. Przecież Oliver już powinien leżeć w łóżku i jeśli nawet Jim z Alison gdzieś wyszli, to na pewno kogoś z nim zostawili. Czekałem bardzo długo, w końcu odłożyłem słuchawkę, kręcąc głową.

- Albo ich nie ma, albo nie podnoszą słuchawki. Dan nadal uważnie obserwował chitynową mysz, która próbowała dopełznąć do drugiego końca klatki. Widok był tak groteskowy, że odwróciłem wzrok, ale ciągle słyszałem, jak łuski i owadzie kleszcze drapią o druty.

- W tej sytuacji musimy tam pojechać i sami ich ostrzec - powiedział Dan. - Przed dokończeniem badań nie mogę z całą pewnością stwierdzić, co spowodowało zmianę wody. Ale nie wolno ryzykować, zwłaszcza gdy chodzi o ludzkie życie.

- Mogę cię zawieźć.

Obrzuciłem mysz jeszcze jednym, pełnym obrzydzenia spojrzeniem, po czym zamknęliśmy laboratorium na klucz i zeszliśmy na dół. Szybkim krokiem przemierzyliśmy skwer, a później niemal biegiem udaliśmy się do samochodu. Było tak zimno, że przednią szybę pokryły gwiazdy i liście namalowane przez mróz, a plandeka lśniła zielono w świetle

lamp ulicznych. Otworzyłem drzwi i wsiedliśmy do środka. Shelley z bardzo nadęsaną miną przesunął się na tylne siedzenie.

- Pachnie tutaj kotem i kitem - zauważył Dan, gdy zapalałem silnik. - Jak ty to możesz wytrzymać?

- To są przynajmniej porządne zapachy - odparłem, zawracając na główną ulicę.

- A jakie są nieporządne?

Pojechałem wzdłuż skweru i zakręciwszy obok cmentarza, znalazłem się na drodze

202. Ruszyłem na północ. Nagrobki wydawały się bielsze i bardziej złowrogie niż normalnie.

Dan wyjął notes i zaczął kreślić tępym, obgryzionym ołówkiem jakieś hieroglify.

- A jeśli to wina tej wody? - zapytałem. Popatrzył na mnie, jego twarz pociemniała.

- Co jeśli?

- No, jeśli coś takiego stało się z myszą... to jak zareaguje organizm człowieka?

- Nie mam pojęcia. Czasem małe zwierzątka, jak myszy czy szczury, reagują na

substancje chemiczne czy mikroorganizmy, które ludziom nie szkodzą. Weź choćby aferę z sacharyną. Dawana w dużych ilościach szczurom laboratoryjnym spowodowała u nich raka, ale nie ma niepodważalnego dowodu, że podobnie działa na ludzi. To samo dotyczy wielu mikroorganizmów, które mogą spowodować chorobę lub zabić gryzonia, a ludziom nie szkodzą.

Skręciłem w prawo na drogę 109. Szosa była pusta i pokryta suchymi liśćmi, pobielona przymrozkiem.

- Och, żeby oni odebrali ten telefon - westchnąłem. - Wtedy bym wiedział, że nic im się nie stało. Przecież powinni byli podnieść słuchawkę.

Jechaliśmy około dziesięciu minut przez mrok i chłód, nim dotarliśmy do domu

Bodine'ów. Skręcając na podjazd, kilkakrotnie nacisnąłem klakson, ale stary, rozłożysty dom

sprawiał wrażenie zupełnie opuszczonego. W żadnym z okien się nie świeciło, błyszczała tylko żarówka na werandzie, a okna w salonie były odsłonięte. Zatrzymałem samochód i wysiedliśmy. Shelley z radością powrócił na przednie siedzenie, wyciągając się w ciepłym zagłębieniu pozostawionym przez Dana.

- Jim! Alison! - zawołałem.

Odpowiedziało mi milczenie. Z domu i jego otoczenia nie dobiegał żaden dźwięk poza szelestem suchych liści. Obszedłem budynek, ale na podwórku nie było żywego ducha.

Grabie Jima spoczywały tam, gdzie je zostawił po południu, oparte o pomalowaną na brązowo poręcz. Drzwi z siatki otworzyły się z piskiem, po czym uderzyły o framugę.

- Może gdzieś wyszli - powiedział Dan. - Może gdzieś wyjechali i zostali tam na noc.

- Nic mi o tym nie wspominali.

- Ludzie nie muszą cię prosić o zezwolenie, by wyjść wieczorem do restauracji. Jesteś tylko hydraulikiem.

Nie miałem ochoty na żarty. W pustce domu Bodine'ów kryło się coś niepokojącego.

Okna były ciemne niczym oczy starego człowieka, a wiatr wył w drutach telefonicznych. Dan chrząknął, zaszeleściły liście pod jego stopami.

Po schodkach wszedłem na werandę i stanąłem przy drzwiach kuchennych.

Otworzyłem ramę i nacisnąłem kłamkę, która ku memu zdumieniu ustąpiła. Uchyliwszy drzwi, zawołałem w lodowaty mrok pomieszczenia:

- Jim? Alison?

- Mason, tracisz czas - odezwał się Dan. - Ich tam nie ma. Może pojechali do Clarków w Washington?

Wyteżając wzrok, starałem się dojrzeć coś w półmroku. Widziałem brzeg stołu,

krawędź sosnowej półki, ale w pomieszczeniu chyba nikogo nie było. Zawołałem raz jeszcze:

- Jim? - Ale znów odpowiedziała mi cisza. - Jim nie zostawiłby wszystkiego

otwartego na oścież - rzuciłem.

- Może zapomniał zamknąć. - Dan wzruszył ramionami. - Może myślał, że zamyka, a nie zamknął.

- Sam już nie wiem - powiedziałem z namysłem. - Ale to nie w stylu Jima.

Otworzyłem szerzej drzwi i wszedłem do kuchni. Było w niej ciemno, a po kątach majaczyły dziwne cienie. Usłyszałem pisk i aż zmartwiałem, sądząc, że to kolejna potworna mysz. Po chwili dźwięk się powtórzył i zdałem sobie sprawę, że to skrzypią deski w podłodze. Z jednego z kranów ciekła woda, rozlegało się rytmiczne kap, kap. Na palcach przemierzyłem pomieszczenie, obiełem się przy tym o róg stołu, i zakręciłem kran. Żaden hydraulik nie ścierpi kapania.

Przez moment stałem, nasłuchując i rozglądając się dookoła. Dan wszedł do kuchni, siatka zatrzasnęła się za nim.

- Ciiii - wyszeptałem.

- Co to? - spytał zduszonym głosem.

- Nie wiem. Słyszysz coś?

- Chyba nic. Może byś tak zapalił światło? Lubisz się bać?

Odwróciłem się do niego, marszcząc brwi.

- A kto tu się boi?

Czekaliśmy w milczeniu niemal całą minutę i tylko ci, którzy czekali w milczeniu minutę, wiedzą, jak to długo. Byłem pewien, że gdzieś w domu rozlega się kapanie.

- Słyszysz wodę? - spytałem Dana.

- Wodę? - zdziwił się. - O czym ty mówisz?

- Posłuchaj.

Wyteżyliśmy słuch i tym razem dźwięk dobiegł wyraźniej. Bez wątpienia gdzieś krople rytmicznie spadały na dywan. Nie miałem cienia wątpliwości: dywan był przemoknięty do cna.

- I co o tym sądzisz? - zapytałem.

- Nic. To ty jesteś specjalistą od tych spraw, hydraulikiem. Może pęknięta rura?

Znalazłem na ścianie kontakt. Gdy go nacisnąłem, na moment zabłysło mętne światło, po czym zgasło. Z kontaktu posypały się błękitne iskry i zapachniało palonym plastikiem.

Najwyraźniej woda zalała przewody.

- W skrytce w samochodzie mam latarkę - szepnąłem. - Może byś po nią poszedł, a ja spróbuję odkryć, skąd się bierze ta woda?

- Jasne. Ale uważaj. Cały ten dom cieknie.

Dan wyszedł przez kuchenne drzwi, siatka znów załomotała. Ja zaś poczekałem chwilę w mrokach pomieszczenia, po czym zapuściłem się głębiej w korytarz.

Panowały w nim niemal zupełne ciemności, jedynie przez półkoliste okienko nad wejściem wpadała odrobina niebieskawej poświaty od pobielonego mrozem trawnika na zewnątrz. W mroku błyskała stara patelnia z miedzi, na przeciwległej ścianie wisiał obraz przedstawiający jezioro Candlewood. Kiedy na palcach szedłem korytarzem, niemal dostałem ataku serca, bo niespodzianie dotknąłem pęku wysuszonych traw stojących w wazonie. Ale w końcu dotarłem do dębowych schodów i spojrzałem w górę.

- Jim? Jesteś tam? - zawołałem z obawą, choć dobrze wiedziałem, że go tam nie ma.

Chciałem po prostu usłyszeć dźwięk ludzkiego głosu. Z ciemności jednak nie napłynęła żadna odpowiedź, nie rozległ się żaden szept. Dobiegał tylko szmer i kapanie wody oraz chlupot nasiąkających dywanów.

Gdy postawiłem but na pierwszym stopniu, plusnęło. Pochyliłem się - chodnik na

schodach był całkowicie przemoczony. Najwyraźniej woda spływała w dół schodów małymi wodospadami, a cały podest pierwszego piętra również musiał być zalany.

W tym momencie w drzwiach kuchennych pojawił się Dan z latarką.

- Poświęć tutaj - zwróciłem się do niego. – Wszystko tu pływa.

Oświetlił czerwony, wzorzysty chodnik, który aż lśnił od wilgoci. Mokra plama rozciągała się już na korytarz.

- To nie pęknięta rura - stwierdził Dan - bardziej to przypomina wodospad Niagara.

Rozejrzałem się dookoła. Wkrótce woda wypłynie przez korytarz i zaleje salon, niszcząc dywany i meble Bodine'ów.

- Chciałbym się dowiedzieć, gdzie są Jim i Alison. Jeśli to z pękniętej rury, to musi tak cieknąć od wielu godzin. Chyba nie sądzisz, że wyszli gdzieś wieczorem, zostawiając zalany dom. Coś tu nie gra.

Dan popatrzył z ociąganiem na schody.

- Chyba musimy zobaczyć, co się dzieje na górze. Wahaliśmy się przez chwilę, niepewni, który powinien iść pierwszy.

- Ty jesteś hydraulikiem.

Dan podał mi latarkę i tak zostałem wyznaczony na ochotnika. Ostrożnie ruszyłem po przemoczonym dywanie, przy każdym kroku spod nóg pryskała fontanna wody i nim dotarłem na ciemny podest, przemoczyłem zupełnie buty.

- Jest tu kto? - spytał Dan zdławionym szeptem.

- Może ze dwa rekiny - odpowiedziałem. - Wody dla nich dosyć.

Światło latarki wydobywało z mroku ściany pokryte boazerią, olejne obrazy przedstawiające okoliczne pejzaże i w najdalszym krańcu korytarza półokrągły stolik z bukietem suchych kwiatów. Dostrzegłem pięć drzwi - troje po prawej i dwoje po lewej

stronie, przy czym te ostatnie były uchylone. Otoczenie wyglądało zupełnie zwyczajnie.

Dopiero gdy skierowałem krąg światła na podłogę, na ciemne, połyskujące jezioro, zdałem sobie sprawę z niezwykłości całej sytuacji. Blask latarki odbijał się u moich stóp, widziałem siebie do góry nogami, niczym żeglarz utopiony w czarnych odmętach.

- Skąd się wzięła ta woda? - spytał Dan. - Ściany wyglądają na suche.

Oświetliłem po kolei każde z drzwi. Woda jakby wydobywała się z ostatnich po prawej, lekko uchylonych. Stamtąd płynęły fale i dobiegało kapanie oraz pluski.

- Może pękł zbiornik.

Szedłem rozpryskując głęboką kałużę, ale skoro i tak już miałem mokre buty, było mi wszystko jedno. Nigdy więcej nie wydam trzydziestu dolców na modne pantofle ze złotym łańcuszkiem z przodu. W przyszłości będę wybierał niemodną skórę zamiast modnej tektury.

Na drzwiach zobaczyłem porcelanową plakietkę z rysunkiem samochodu retro i napisem "Pokój Olivera". Widząc ją, Dan skrzywił się pogardliwie.

Ostrożnie otworzyłem drzwi i oświetliłem drogę przed sobą. I znów zobaczyłem odbicie światła latarki w migoczącej ciemnej tafli. Kapanie rozlegało się donośniej, ale to inny dźwięk sprawił, że stanąłem jak wryty, a paniczny lek podniósł mi włosy na głowie.

Usłyszałem bulgotanie.

- Dan - wyszeptałem. - Dan, tu ktoś jest.

- Żartujesz - odparł z twarzą zastygłą w wyrazie oczekiwania.

- Naprawdę coś słyszałem. Jak rany, nic nie słyszysz? Milczał. Dobiegały nas wyłącznie rytmiczne kapanie i plusk wody.

- Zdawało ci się - powiedział z nerwowym uśmiechem, który świadczył, że sam nie wierzy we własne słowa.

Zaczerpnąłem powietrza i szerzej otwarłem drzwi. Po pokoju tańczyły cienie i



migotania. Oświetliłem przeciwległy kąt, gdzie stało łóżko, ale nikogo na nim nie było.

Następnie powiodłem kręgiem światła z latarki wzdłuż listwy podłogowej do szafy i z powrotem do łóżka.

- A nie mówiłem? Woda i nic więcej - odezwał się Dan. Wsunąłem się do pomieszczenia. Nadal nie potrafiłem powiedzieć, skąd pochodzi woda. W pokoju, inaczej niż w korytarzu, ściany były mokre niemal do sufitu. Tapety się pomarszczyły, a na wysokości karnisza widniał ślad po najwyższym poziomie wody. Wszystko wyglądało tak, jakby cały pokój został wypełniony wodą. Przecież to zupełnie niemożliwe, pomyślałem.

- Mason - powiedział Dan.

Odwróciłem się. Miał dziwny wyraz twarzy. Wskazał na podłogę za mną i powtórzył:

- Mason, popatrz tam.

Oświetliłem wskazany punkt. Łóżko może i było puste, ale w jasnym kręgu światła dostrzegłem, że pod nim rusza się dziwny biały kształt. Pochyliłem się jeszcze niżej, próbując go zidentyfikować, ręce dygotały mi ze zdenerwowania.

- Jezus Maria. To jest stopa - wydusił Dan. Chwyciliśmy za nią i rozpryskując wodę, ciągnęliśmy spod łóżka. Wprawdzie upuściłem latarkę, ale się nie popsowała, i po chwili skierowałem strumień światła na głowę chłopczyka, miał bladą twarz i sine usta, otwarte oczy wpatrywały się w przestrzeń. Dan naciskał klatkę piersiową, bezskutecznie próbując przywrócić dziecko do życia. Z ust i nosa chlusnęła woda. Chłopiec był martwy. Od razu go poznałem, choć nie widziałem od dawna - Oliver Bodine, syn Jima i Alison. Utonął.

- Chyba powinniśmy zawiadomić Cartera - powiedział Dan. - To robota dla policji.

Wstałem. Nadal czułem na palcach dotyk zimnego, miękkiego ciała chłopca. Woda zafalowała i zafalowało ciało Olivera ubranego w kolorową dziecienną piżamkę.

- O Boże - jęknąłem. - To za dużo jak na jeden dzień. Do cholery, za dużo. Biedny

dzieciak.

- Nie rozumiem, co się tu stało. - Dan również się podniósł. - Wygląda zupełnie, jakby się utopił. Ale jakim cudem ktoś zdołał wypełnić całą sypialnię wodą? Przecież to nie mogło długo trwać. Ani okna, ani drzwi nie są uszczelnione.

- Lepiej sprawdźmy pozostałe pokoje - rzuciłem bez entuzjazmu. - Może Jim i Alison są... Może im też coś się stało?

- Jasne. - Dan wyglądał na równie chętnego do szukania kolejnych ciał. - Zabierz ze sobą latarkę.

Zostawiliśmy ciało biednego Olivera i brodząc w wodzie, wróciliśmy na korytarz.

Najpierw zajrzeliśmy do sypialni małżonków, ale była pusta i sucha poza odrobiną wilgoci na dywanie przy drzwiach. Nikt nie spał na schludnie pościętym, szerokim łożu z mosiężnym zagłówkiem i różową kapą. Na ciemnoróżowej toalecie stały w rzędzie szczotki, lusterko i buteleczki perfum Alison, a na ścianie obok rzeźbionej, sosnowej szafy wisiała kolorowa fotografia przedstawiająca Jima i Olivera na plaży w Cape Cod. Oświetliłem przedmioty latarką i wzruszyłem ramionami, patrząc na Dana.

Następnie weszliśmy do dwóch pozostałych sypialni. Obie były puste, raczej suche i nikt w nich nie myszkował. Nerwowym ruchem otwieraliśmy szafy, by sprawdzić, czy nie kryje się w nich jakiś potwór, po czym wróciliśmy na zalany korytarz. Poziom wody powoli opadał, a więc nie mogła pochodzić z pękniętej rury.

- Wygląda na to, że jakimś sposobem pokój Olivera został wypełniony wodą i właśnie stąd zaczęła się powódź w całym domu - powiedziałem. - Nie widzę żadnego przecieku, uszkodzonego zbiornika czy urwanego kranu.

Dan zwrócił się ku mnie z wyrazem twarzy, który przypominał przerażone zwierzątko z obrazków w dziecięcych książeczkach.

- I kto to niby zrobił? - zapytał. - A co ciekawsze, jakim cudem zdołał tego dokonać?

Jakie musiałyby mieć fizyczne możliwości, by wypełnić cały pokój wodą? To niemożliwe.

- Jeszcze nie sprawdziliśmy w łazience - przypomniałem. - Może tam coś pękło w rurach.

- Sam w to nie wierzysz.

Wyjąłem paczkę cygar i poczęstowałem Dana. Pokręcił głową.

- Czasem po prostu muszę szukać racjonalnych wyjaśnień. - Sięgnąłem do kieszeni po pudełko zapalek wziętych z restauracji "Pod Jałówką". - I teraz na to przyszedł czas.

Otworzyliśmy drzwi do łazienki. Od razu zwróciłem uwagę na panujący w niej chłód, nie zwykły, zimowy, ale wilgotny, przenikliwy. Wciągnąłem powietrze przez nos i choć paliłem cygaro, natychmiast poczułem dziwny, nieprzyjemny zapach, jakby metaliczny czy rybi, słowem, taki sam, jak zapach próbek wody, które pobrałem w tym domu zaledwie przed kilkoma godzinami.

- Czujesz? - zapytałem. Przytaknął.

- Co ci przypomina?

Myślał dłuższą chwilę. W końcu powiedział:

- Nabrzeże Rybaków w San Francisco, byłem tam w tym roku na urlopie. Mieszanina zapachu rybich łusek i spalin.

- Mnie też - zgodziłem się.

Zasłona oddzielająca wannę od reszty pomieszczenia była zaciągnięta. Została zrobiona z mlecznobiałej folii, na której wymalowano turkusowe ryby. Poświeciłem latarką, ale nikt się tam chyba nie chował. Postąpiłem parę kroków i odsunąłem folię jednym szarpnięciem.

Na dnie wanny leżało coś przypominającego kask z cienkiej kości. Było duże -

pasowałyby raczej na głowę dwa razy większą od normalnej - ale zaokrąglony kształt jak łupina orzecha i matowe lśnienie przywodziły na myśl właśnie kask motocyklowy.

- Dan - zacząłem z wahaniem. - Co o tym sądzisz? • Pochylił się i zajrzał do wanny.

Wpatrywał się przez dłuższą chwilę w dziwny "kask", po czym wziął go do ręki.

- Lekki - ocenił. - Z muszli lub kości.

Teraz, gdy przedmiot znalazł się w kręgu światła latarki, widziałem go wyraźniej.

Składał się z połówek, jak części muszli, spojonych przez środek czymś twardym, choć elastycznym, jakby celuloidem. Wzdłuż spojenia znajdowały się czarne, włochate kolce, krótkie i ostre.

- Jak myślisz, czy to jest sztuczne? - spytałem.

- Sztuczne? To znaczy, czy ktoś to zrobił?

- No właśnie.

Dan postukał w to palcem i obejrzał tak dokładnie, jak na to pozwalało wątle światło.

- Nie wygląda na sztuczne - oświadczył po chwili. - Przypomina wylinkę zrzuconą przez bardzo dużego opancerzonego owada.

Nie wiedziałem, co robić: wybuchnąć śmiechem czy uciekać co sił w nogach.

Patrzyłem na fragment jakiegoś stworzenia i czułem się niczym w środku koszmarnego snu, który przeraża człowieka dopiero po przebudzeniu w mrocznej sypialni, gdy wokoło rozlegają się niepokojące szmery i szepty oraz pojawiają się nierzeczywiste kształty.

- To naprawdę z owada? - zapytałem. - Część żyjącego w przyrodzie stworzenia?

- Może być. A może świetna podróbka. Ale nie sądzę,

by stwór, który utopił chłopca w sypialni, odznaczał się poczuciem humoru, a ty?

Przerażony wpatrywałem się w skorupę.

- Sądzisz, że to muszla homara, kraba lub czegoś w tym rodzaju? Zdajesz sobie

sprawę, o czym mówisz?

Dan położył muszlę w wannie. Chwilę kołysała się w przód i w tył z nieprzyjemnym stukotem, by wreszcie spocząć bez ruchu.

- Sam nie wiem, co powiedzieć - przyznał z niezadowoleniem. - Wygląda jak muszla kraba lub owada, ale musiałyby być niesamowitych rozmiarów. Nic z tego nie rozumiem.

Z korytarza dobiegło głośniejsze kapanie. Bałem się już wystarczająco, a teraz dodatkowo przeraziło mnie podejrzenie, że Oliver być może został zaatakowany przez jakiegoś potwornego owada.

- Lepiej zadzwońmy po Cartera. W końcu policja wie, jak sobie radzić z dziwacznymi sytuacjami. Potrafię rozwiązywać problemy, wyłączając lutując rury albo dokręcając je kluczem.

Dan pogładził łyse czoło, rozejrzał się wokół niespokojnie.

- Zupełnie bez sensu. Tylko na to popatrz. Prawdziwa skorupa lub zręczna podróbka, ale jakich koszmarnych rozmiarów...

- Lepiej zadzwońmy po Cartera, co? - powtórzyłem. - Wiesz, co się dzieje, gdy na filmach ludzie walczą z gigantycznymi krabami. Dzwonią po policję, która ściąga Gwardię Narodową, a ci zrzucają bombę atomową. Najwyższy na to czas.

- Na litość boską, nie żartuj sobie! - warknął Dan. - Tu leży ciało chłopca.

- Wcale nie żartuję. Jestem tylko zdenerwowany. Najchętniej bym się stąd ulotnił.

Idziemy?

Jeszcze raz spojrział na skorupę i potakująco skinął głową.

- Dobrze, ale poproszę Cartera, żeby mi pozwolił zrobić parę zdjęć.

Przecłapaliśmy po wodzie z łazienki na korytarz. Nasłuchiwalismy przez moment, ale dobiegało nas tylko regularne kapanie. Krocząc ostrożnie po mokrych chodnikach,

zeszliśmy do salonu. Miałem nadzieję, że woda nie uszkodziła stojącego tam telefonu.

Podniosłem słuchawkę. Trochę trzeszczało, ale rozległ się sygnał.

Carter Wilkes odezwał się dopiero po dłuższej chwili, mówił bardzo zmęczonym głosem:

- Szeryf Carter Wilkes. Proszę czekać.

- Carter - zawołałem szybko. - To ja, Mason Perkins.

- Och, co słyhać, Mason? Możesz poczekać? Właśnie trwa odprawa w sprawie małego Dentona.

- Mam coś gorszego niż Denton.

- O czym ty mówisz?

- Dzwonię z domu Bodine'ów przy drodze 109. Był tu jakiś wypadek, coś się stało, nie wiem, grunt, że ich syn, Oliver, utonął.

- Utonął? Gdzie?

- W domu. A właściwie w swojej sypialni.

- W sypialni?! - zapytał Carter z niedowierzaniem. - Wracając do domu, nie zatrzymałeś się przypadkiem na parę drinków? Jesteś całkowicie trzeźwy?

- Mówię szczerą prawdę. Ale to jeszcze nie wszystko. Musisz sam tu przyjechać i to obejrzeć.

Carter zakrył dłonią słuchawkę, słyszałem, jak rozmawia z zastępcą. Po chwili zwrócił się do mnie:

- Jim i Alison są tam z tobą? Dobrze się czują?

- Zniknęli. Jesteśmy tu od dobrej pół godziny i nie pokazywali się przez cały ten czas.

- Jadę prosto do ciebie. Czekaaj na mnie i niczego nie dotykaj, jasne?

Przerwał połączenie. Przez moment trzymałem słuchawkę w dłoni, a Dan popatrzył na

mnie i zapytał:

- I co?

- Carter już jest w drodze, a biorąc pod uwagę styl jego jazdy, powinien tu dotrzeć za jakieś dziesięć minut.

- Co powiedział? Wzruszyłem ramionami.

- Na początku myślał, że jestem pijany. Zaczynam żałować, że tak nie jest.

- Mówił, żeby na niego poczekać? Skinąłem głową.

- Może wyjdziemy na dwór? - zaproponowałem. - Ciarki mi przechodzą po grzbiecie.

Nie mam ochoty na spotkanie z gigantycznym homarem, zwłaszcza że nie leżałby na talerzu jako przystawka przed obiadem. Zawsze wierzyłem w duchy.

- Wierzyłeś w duchy? - spytał Dan z ciekawością, gdy ostrożnie szliśmy mokrym korytarzem i przez kuchnię.

- Jasne. A ty nie?

- Chyba nie. Nigdy żadnego nie spotkałem. Moja matka święcie wierzyła w wirujące talerzyki, ale ja nigdy nie widziałem zjaw. A ty?

- Kiedyś mieszkałem na Dziesiątej Ulicy w sąsiednim miasteczku. I doskonale słyszałem szepty nocą w moim pokoju.

Dan otworzył siatkowe drzwi i wyszliśmy w mroźną noc.

- O czym rozmawiali? - spytał.

- Nie wiem. Rodzice mnie nauczyli, że to niegrzecznie podsłuchiwać. Ale tak serio, to się ciągnęło parę miesięcy. W końcu portier mi powiedział, że w tym pokoju szurnięty gwałciciel zamordował dwie dziewczyny.

Obeszliśmy dom, od frontu stał mój samochód z włączonymi światłami postojowymi.

Usiadłem na miejscu kierowcy, a Dan wsunął się na tylne siedzenie, żeby nie przeszkadzać

kotu. Zapaliłem silnik, aby się trochę ogrzało w środku.

- Przynajmniej szurnięty gwałcieciel to szurnięty gwałcieciel - zauważył Dan. - I nie pytaj mnie, czyja skorupa leży w wannie i skąd się tam wzięła.

- Coś mi przyszło do głowy. Kiedy byłem tu po południu, Jim wspominał, że śni mu się, jak tonie.

- Tak? Nic więcej nie mówił?

Myślałem przez chwilę. Chyba jeszcze coś opowiadał o byciu pod ziemią w głębokim jeziorze. "Najbardziej przeraża mnie uczucie, że ta woda się nie kończy. Jest pod tysiącami ton skały i nawet gdybym się wynurzył, to i tak nie będę mógł zaczerpnąć powietrza".

- Zdawało mu się, że tonie pod ziemią - dodałem. - W zalanej kopalni czy czymś w tym rodzaju.

- Pod ziemią? To bez sensu.

Głową wskazałem dom Bodine'ów, milczący i ciemny pośród mroźnej nocy.

- To, co się przydarzyło Oliverowi, też nie ma sensu. A jednak się zdarzyło.

- Może sen Jima zawierał jakieś przeczucie przyszłości? Nie wierzę w duchy, ale znam wiele udokumentowanych przypadków jasnowidzenia.

- No a ta skorupa owada czy też pancerz homara? - spytałem.

- To mnie najbardziej martwi. - Twarz Dana oświetlał zielonkawy blask od zegara na desce rozdzielczej. - Od razu mi się przypomina myszka z odwłokiem pokrytym łuską.

Gdybym ją tu miał ze sobą, mógłbym porównać, ale wydaje mi się, że ten pancerz i łuski na jej ciele są bardzo podobne.

Wyłączyłem silnik, żebyśmy nie zginęli zatruci tlenkiem węgla. Nie zmarzniemy przed przyjazdem szeryfa. Shelley ziewnął, przeciągnął się i znów zwinął w puszysty, mięciutki kłębek. Takim niesłychanym leniem po prostu trzeba się urodzić.



Wyjąłem cygaro. Ostatnie. Zgryzłem je między zębami.

- Sądziś, że jakieś większe zwierzę napiło się wody ze studni i spotkał je los myszy?

- Jeśli to rzeczywiście wina wody, stawiałbym na coś takiego - odparł. - Może pies?

Bodine'owie mają psa, a go nie widzieliśmy.

- Bodine'ów też nie widzieliśmy - zauważyłem.

- Też o tym pomyślałem. - Nie patrzył na mnie. - Ale nie wolno niczego z góry

przesądzać, dopóki się całkowicie nie upewnimy, że to przez wodę i że działa również na organizm ludzki.

Wyjąłem zapalki.

- U Olivera nic nie dostrzegliśmy. Wprawdzie utonął, ale przecież pił wodę tak samo, jak Jim i Alison, a na jego ciele nie było żadnych zmian.

- Chyba nie sądziś, że Jim i Alison gdzieś się tu kręcą przypominając żywe reklamy dań ze skorupiaków? - Dan przetarł zaczerwienione oczy.

Zapaliłem zapalkę i przez moment zdawało mi się, że widzę kogoś na trawniku przed domem. Pomarańczowy blask zapalki wewnątrz samochodu utrudnił mi obserwację, więc ją szybko zdmuchnąłem i wpatrzyłem się w ciemność.

- Co się stało? - spytał Dan.

- Nie wiem. Chyba ktoś tu jest. Zaczekaj. Otworzyłem drzwi i wyszedłem na zewnątrz. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że widzę oddalającego się mężczyznę, który zniknął za ogrodzeniem. W mroku nie było widać zbyt dokładnie, ale wyglądał na krępego, jakby pokrzywionego, i ruszał się dziwacznym, chwiejnym krokiem.

- Jim! To ty? - zawołałem.

Mężczyzna jakby na moment zwrócił się ku mnie, ale tak szybko rozpułnął się w rzucanym przez drzewa cieniu, że nie zdołałem go rozpoznać.

- Jim! - krzyknąłem raz jeszcze i pobiegłem w kierunku ogrodzenia.

Słyszałem, jak za mną Dan wyskakuje z samochodu i też rusza w pogoń. Z ust ulatywały obłoki pary, zdawało mi się, że w ciszy słyszeć tylko bicie mojego serca i szelest ubrania.

Dotarłem do płotu. Za nim rozciągała się gęsta plątanina krzewów, każdy, kto by próbował się przez nie przedzierać, szybko by się zmienił w kotlet siekany. Zatrzymałem się, ciężko dysząc, po chwili stanął za mną Dan, również z trudem łapiąc powietrze, i obaj z niedowierzaniem patrzyliśmy na chaszczę.

- Widziałeś, kto to był? - zapytał.

- Nie. Może to tylko cień? Nikt się nie przedostanie przez te zarośla.

Poszliśmy wzdłuż ogrodzenia w przeciwnych kierunkach, ale nigdzie nie było widać najmniejszej szpary w zwartej ścianie krzewów. Jeśli ktoś się tam chował, to albo przeskoczył krzaki gigantycznym susem, albo pobiegł obok nich kryjąc się w cieniu. Nie sądzę jednak, by mógł to zrobić tak, bym tego nie zauważył. Kiedy ruszyłem, był najwyżej o pięćdziesiąt jardów przede mną. Tylko rekordzista świata potrafiłby dobiec do drogi i zniknąć mi z oczu, nim tu dotarłem, a moim zdaniem, facet był przyciężki, niezgrabny i powolny.

Stanęliśmy nasłuchując. Lekkie powiewy lodowatego wiatru poruszały suchymi liśćmi wiszącymi wśród cierni, ich szelest do złudzenia przypominał szczęk kleszczy krabów, co nie dodawało nam odwagi.

- Naprawdę nie rozumiem, czym my się tak cholernie przejmujemy - powiedział Dan wściekły na siebie i równie bardzo rozżłoszczony na mnie. - Z byle powodu miotamy się wkoło niczym dwóch uczniów w nawiedzonym domu.

Ruszyłem w stronę samochodu, Dan pośpieszył za mną. Zastanawiałem się, czy rzeczywiście zareagowałem zbyt nerwowo. Na pewno wybujała wyobraźnia podsuwała

powody do lęku. W tych warunkach trudno było nie widzieć oczyma duszy Alison i Jima powoli ulegających jakiemuś koszmarnemu przeobrażeniu w krabopodobne stwory. Ale przecież kogoś tu widziałem, a biedny Oliver utonął zaledwie parę godzin temu, więc chyba można było usprawiedliwić moje zdenerwowanie. Nie jestem tchórzem. W razie potrzeby potrafię trzasnąć kogo trzeba kluczem francuskim. Ale tracę pewność siebie, słysząc szepty w mroku, szelesty o pomocy w ogrodzie, a już szczególnie na widok sypialni w pustym domu, która w niezwykły sposób została zalana wodą.

Dochodziliśmy do samochodu, gdy rozległo się przenikliwe wycie syreny i na podjazd wjechał radiowóz z migającym światłem na dachu. Stał za moim autem i wysiadł z niego szeryf Wilkes w towarzystwie trzech zastępców.

- Koroner też już jedzie - zawołał. - Gdzie jest ciało?

- Na górze, drugi pokój na prawo.

Carter Wilkes był potężnym mężczyzną słusznego wzrostu. Miał szeroką twarz o ostrych rysach, spod ciężkich powiek twardo patrzyły oczy w siateczce zmarszczek. Zawsze nosił mundur bez najmniejszej plamki, buty aż lśniły, a bielą zębów mógł konkurować z reklamami pasty. Za żonę pojął śliczną Chinkę, ich syn grał w koszykówkę w drużynie Hartfordu.

- Pójdziecie mi pokazać, gdzie go znaleźliście? - spytał.

- Jeśli to absolutnie konieczne - odparłem. - Niezbyt tam przyjemnie.

- Nagły zgon rzadko poprawia atmosferę w domu - zgodził się szeryf.

- Raczej nie - przyznałem mu rację.

Weszliśmy do kuchni i dalej po przemoczonych chodnikach korytarza. Szeryf dopytywał się, o której tu przyjechaliśmy, w jakim celu i dlaczego nabraliśmy podejrzeń. Czy widzieliśmy jakieś odciski stóp na mokrych schodach? Czy słyszeliśmy podejrzane dźwięki?

Skąd moim zdaniem pochodzi woda? Dlaczego od razu nie zakręciłem głównego dopływu?

Cała szóstka wdrapała się na górę, wskazałem im sypialnię Olivera. Dwóch policjantów niosło potężne latarki, które oświetliły to smutne, przygnębiające miejsce. Oliver leżał tam, gdzie go zostawiliśmy, twarz miał niebieską, oczy szeroko otwarte. Szeryf Wilkes klęknął przy ciele i dłuższą chwilę mu się przypatrywał, niczego nie dotykając. Po czym rozejrzał się po pokoju, rejestrując z dokładnością aparatu fotograficznego tapety odchodzące od ścian, mokre meble i ślady wody na wysokości karnisza.

- Jesteś hydraulikiem - rzekł do mnie - Co twoim zdaniem mogło to wywołać?

- Nie wiem - przyznałem. - Pokój nie był uszczelniany, więc musiał nastąpić

potworny zalew trwający ułamki sekund. Nie mam pojęcia, skąd się ta woda wzięła i jakim cudem mogłaby tak szybko wypełnić pomieszczenie. Żeby je całkowicie zalać, potrzeba by około pięciu tysięcy galonów.

- Aż tyle? - zdziwił się Carter.

- Spokojnie. Może nawet więcej.

Wstał i poprawił pas z bronią, wiszący na biodrach.

- Nie wygląda, żeby na korytarzu było aż tyle wody, co? Nie sądzisz, że taka ilość zmyłaby wszystko do cna?

- Tak, pewnie tak. O tym nie pomyślałem.

- Więc woda się pojawiła, wypełniła pokój aż po sufit, a potem większość jej gdzieś zniknęła? - zapytał.

- Na to wygląda. Ale nie wiem, jak to się stało.

- O to cię nie pytam. Chodzi mi tylko o twoją wersję przebiegu wydarzeń.

- Moim zdaniem tak to się właśnie odbyło – przytaknąłem.

- Świetnie, że się ze sobą zgadzamy - powiedział Carter. Przeszedł nad ciałem

chłopca i ruszył w drugi kąt pokoju. - Pięć tysięcy galonów wody momentalnie wypełnia to wnętrze, po czym równie szybko znika. Jakich trzeba urządzeń, by tego dokonać? Pompa, może jakiś specjalny wąż?

Pomyślałem nad tym przez chwilę. Straż pożarna dysponowała pompami lejącymi wodę z prędkością wielu tysięcy galonów na minutę, ale były to niesłychanie potężne i hałaśliwe urządzenia. Mało prawdopodobne, by hipotetyczny morderca przywłókł coś takiego wieczorem pod dom Bodine'ów, zainstalował i włączył. A w jaki sposób równie szybko pozbyłby się takiej ilości wody? Nie słyszałem nigdy o przenośnej pompie, która potrafiłaby wyciągnąć tyle wody w parę sekund.

Nie widziałem żadnego powodu, dla którego ktoś miałby topić Olivera, ani tym bardziej nie rozumiałem, jak tego dokonano.

- Przykro mi, ale nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak do tego doszło - zwróciłem się do szeryfa. - Gdybym tego nie widział na własne oczy, powiedziałbym, że to absolutnie niemożliwe.

Carter potarł brodę. Z zewnątrz dobiegł dźwięk syreny samochodu koronera i chrzęst opon na podjeździe. Trzasnęły zamykane drzwi, rozległy się kroki i głosy.

- I jeszcze jedno - odezwał się Dan. - W łazience znaleźliśmy coś dziwnego.

- A tego nie uważasz za dziwne?

- Tak, ale tamto jest jeszcze dziwniejsze.

Carter zerknął na jednego z policjantów i powiedział:

- Dobrze, prowadź.

Ruszyliśmy korytarzem do łazienki. Dan odsłonił folię.

- Patrz. I co na to powiesz?

Carter zmarszczył brwi i pochylił się nad wanną. Drugi policjant również spoglądał do

środku. Po czym szeryf się wyprostował i zmierzył nas obu, mnie i Dana, uważnym spojrzeniem.

- To jest wanna - oświadczył podejrziwym tonem.

- Nie chodzi o wannę. - Przepchnąłem się bliżej. - Tylko...

Wanna była pusta. Ani śladu skorupy. Odsunąłem dalej folię, ale niczego nie znalazłem. Sprawdziłem za sedesem, ale tam też jej nie było.

- Może byście mi wyjaśnili, czego szukacie? - zapytał Carter. - A może było tak dziwaczne, że nawet nie wiecie, co to było?

- To była wylinka - wyjaśnił Dan, nakreślając w powietrzu jej kształt.

- Że co?

- Mówiąc zwyczajnym językiem, pokrywy chitynowe owada. Twarde, pokryte włosami, zlepione wzdłuż mostka.

Wilkes patrzył, jak Dan w powietrzu kreśli kształt przedmiotu, po czym sam uniósłszy kciuk i palec wskazujący pokazał parumilimetrový odstęp.

- Mówiąc o wylince, masz na myśli coś mniej więcej takiego, prawda? Chyba nie twierdzisz, że to było aż takie wielkie?

Dan spojrzał na swoje dłonie, które trzymał w odległości dwóch stóp niczym rybak określający rozmiary złowionej zdobyczy. Zastanawiałem się, co odpowie, ale tylko opuścił ramiona i ciężko westchnął z rezygnacją.

- Tak - rzucił wreszcie zmęczonym głosem. - Nie twierdę, że to było takie duże.

- Cóż więc w tym takiego niezwykłego? - spytał Carter. - Mówiłeś, że to dziwniejsze niż tony wody w pokoju na pierwszym piętrze.

- Naprawdę tak mówiłem?

Położyłem dłoń na szerokim, umięśnionym ramieniu szeryfa.

- Moim zdaniem Dan jest w szoku. Może mu się tylko zdawało.

- Co mu się zdawało?

- Że coś widzi. Skorupę.

- Ty też o niej wspominałeś.

- Każdy się może pomylić. - Uśmiechnąłem się słabo. - Obaj mieliśmy ciężki dzień.

Carter podparł się pod boki i w milczeniu mierzył nas spojrzeniem przez blisko minutę. W końcu powiedział:

- Dobra, tym razem wam odpuszczę. Ale jeśli nabiorę podejrzeń, że ktoś ukrywa dowody, to ten ktoś napyta sobie biedy. Jasne?

- Niczego nie ukrywamy - zapewniłem go. - Nam, równie bardzo jak tobie, zależy na odkryciu, co tu się stało.

- Dobra. Ale pamiętajcie, że za ukrywanie dowodów grozi kara. Więzienia. Jasne?

Wyszliśmy z łazienki. Zastępca koronera, Lawrence Dunn, szczupły mężczyzna o szarej twarzy, w okularach i taniej brązowej marynarce, wchodził po schodach, niosąc zniszczoną skórzaną torbę.

- Jak leci, Larry? - powitał go Carter. - Co powiesz na utonięcie w sypialni na pierwszym piętrze?

Lawrence Dunn parsknął i zamrugał powiekami.

- Cokolwiek to jest, biorę się do roboty. Cześć, Dan, cześć, Mason. To wy mieliście pecha i znaleźliście ciało? Biedny Oliver Bodine, tak?

- Zgadza się - przytaknął Carter. - Właśnie kazałem Errollowi zgłosić zniknięcie Jima i Alison.

- Nie ma ich?

Carter poprowadził Lawrence'a do sypialni chłopca.

- Nie było ich, gdy Mason i Dan przyjechali, a od tamtej pory minęła już dobra godzina.

Lawrence przyklęknął na mokrym dywanie przy ciele Olivera i otworzył torbę.

Najpierw poświecił małą latarką w oczy dziecka, po czym sprawdził puls, oddychanie.

Była to czysta formalność. Oliver z całą pewnością nie żył.

- Zmierzę temperaturę ciała - powiedział. - Może któryś z was pomógłby mi przewrócić go na brzuch?

Szeryf schylił się i we dwóch ostrożnie obrócili ciało. Przy tym ruchu z ust i nosa chłopca popłynęła woda. Carter podniósł się szybko i rzucił koronerowi nieprzyjemne spojrzenie.

- Ludzie bardziej niż odkrycia, że ktoś znajomy właśnie umarł, boją się stwierdzić, że ktoś martwy właśnie ożył - rzucił Lawrence. Rozciął piżamę na plecach i sięgnął po termometr.

- Larry - odezwał się Wilkes.

- Aha? Gdzie jest ten cholerny termometr?

- Larry - powtórzył szeryf. - Popatrz no na plecy chłopca. Posiniaczone, czy co?

Dunn poprawił okulary i spojrzał na odsłonięte plecy i pośladki Olivera. Pochylił się niżej i delikatnym ruchem dotknął skóry.

- Podaj mi latarkę - poprosił.

Dan i ja przysunęliśmy się bliżej, gdy jeden z policjantów wręczał latarkę.

- Nie tłoczyć się - zaczął szeryf, ale też się pochylił, by widzieć, co robi Lawrence.

Zastępca koronera jeszcze głębiej rozciął piżamę i w kręgu ostrego, sztucznego światła pojawił się widok, od którego żołądek podszedł mi do gardła.

- Jezu, co to jest, u diabła? - wyszeptał jeden z policjantów.



Skóra w dole pleców, na pośladkach i udach dziecka wyglądem przypominała łuski.

Pośladki pokrywał szarzielony pancerz, a na kręgosłupie pojawiły się ciemne wyrostki. Uda z pośladkami łączył kościany pierścień jak u kraba. Lawrence przewrócił chłopca na wznak drżącymi rękami. W miejscu męskich organów znajdował się pęk zielonych i niebieskich macek.

Żaden z nas się nie odzywał. Staliśmy nad ciałem Olivera oświetlonego policyjnymi latarkami i żaden z nas nie wiedział, co zrobić lub powiedzieć. W końcu Lawrence wstał, podciągnął przemoczone na kolanach spodnie i zdjął okulary.

Na zewnątrz ponuro wiał wiatr, a w środku ciemnego, przerażającego domu dywany nasiąkały wodą, wydając cichy, regularny szmer. Szeryf przełknął ślinę.

- Myślę, że już mamy jakieś pojęcie, co się tu stało - odezwał się Dan ledwo dosłyszalnym szeptem.

Dunn spojrzał na niego, ale Carter nie mógł oderwać wzroku od matowo lśniącej łuski na ciele chłopca.

- Jeśli się czegoś domyślasz, to wal kawę na ławę - powiedział w końcu.

- Przyjechaliśmy tutaj dlatego - zaczął Dan - że Bodine'om nie podobała się woda ze studni. Zmieniła kolor i Mason przywiózł mi próbki do zbadania. Znalazłem w nich mikroorganizmy, które nieustannie wydzielają żółtozielony płyn.

- Zdołałeś je zidentyfikować? - zapytał Lawrence. Dan pokręcił głową.

- Nie miałem dość czasu. Kiedy wyszliśmy z Masonem na chwilę, jedna z myszy w laboratorium przypadkowo wypila trochę tej wody i... hmm... przydarzyło się jej to samo, co biednemu Oliverowi.

- A więc uważasz, że pił tę wodę i dlatego teraz jest pokryty łuską? - zapytał Carter.

- Na razie nie mam stuprocentowej pewności.

- Czy sądzisz, że coś podobnego może się znajdować i w innych studniach? -

dopytywał Lawrence.

- Me mam pojęcia - odparł Dan. - Ale na wszelki wypadek wydałbym ostrzeżenie, żeby ludzie przez jakiś czas pili wyłącznie wodę mineralną z butelek. Zanim zdołam wykryć, co to za organizmy i dlaczego tak wpływają na ludzi, myślę, że powinniśmy uznać, że nad całą okolicą wisi niebezpieczeństwo.

Carter popatrzył na pancierz Olivera i wolno pokręcił głową.

- Niech mnie szlag trafi, jeśli widziałem już coś takiego. Na górę wszedł jeden z zastępców, Erroll, młody blondyn z rudym wąsikiem, by przekazać wiadomość od ochotników szukających dziecka Dentonów, którą właśnie otrzymał przez radio. Gdy tylko wkroczył do pokoju, zawołał:

- Na Boga, co tu tak cuchnie?

- Cuchnie? - zdziwił się Carter.

- Zepsutą rybą. Naprawdę tego nie czujecie?

### **ROZDZIAŁ 3**

Tymczasowo mieszkałem tuż za New Milford przy bocznej drodze do New Preston w kamiennym domu o drewnianym dachu. Dom ten należał do adwokata, który mnie reprezentował w sprawie rozwodowej. Odkąd zerwał z kochanką, rzadko tu przyjeżdżał z miasta. Wcześniej wynajmowałem lokal nad sklepem z wyrobami ceramicznymi w samym centrum New Milford, vis-a-vis dużego supermarketu, ale umowa wynajmu wygasła i okazało się, że właściciel chce w moim pokoju umieścić swoją podstarzałą siostrę. Zamiast się kłócić, spakowaliśmy z kotem nasz dobytek oraz wszystkie rury i odeszliśmy.

Shelley z czasem polubił New Preston. Naprzeciwko domu znajdowała się niewielka farma, biało-czarne krowy wpatrywały się z rozmarzeniem w poranne mgły, a kot znajdował

wiele myszy do zabawy. Było tu bardzo cicho. Tak cicho, że kiedy się wychodziło wieczorem do ogrodu zaczerpnąć chłodnego powietrza Connecticut, słyszało się tylko szelest liści.

Gdy wróciłem do domu, prawie świtało. Zaparkowałem na pochyłym podejździe i wygramoliłem się z samochodu bardzo zmęczony. Shelley wyciągnął się jak struna i ruszył za mną. Nazwałem go tak na cześć poety Shelleya, który napisał: O jakże piękna jest Śmierć, Śmierć i jej brat Sen! Nie potrzeba geniuszu, by zgadnąć, dlaczego akurat ten cytat mi się nasunął, gdy wybierałem imię dla kota.

Otworzyłem drzwi wejściowe, w korytarzu było zimno.

Już dawno zgasł ogień na kominku i w palenisku leżała jedynie kupka szarego popiołu. Nie zdjąłem czapeczki baseballowej i kożuszka, tylko od razu zabrałem się do odgarniania popiołu i układania polan. Zmiałem egzemplarz lokalnej gazety i podpaliłem go zapałką. Shelley obserwował mnie z sofy z wyrazem uzasadnionej niecierpliwości na pyszczku.

Następnie poszedłem do kuchni, której okna wychodziły na tylny ogródek usytuowany na zboczu wzgórza i nastawiłem czajnik z wodą. Marzyłem o filiżance kawy i porcji Jack daniela. Stojąc przy oknie i patrząc na szary, nieprzyjemny świt, myślałem o biednym Oliverze i jego zaginionych rodzicach.

Carter Wilkes ogłosił już wiadomość o zniknięciu Jima i Alison oraz przekazał ich rysopisy ochotnikom szukającym Paula Dentona. Poza tym rozesłał policjantów, by we wszystkich domach ostrzegali mieszkańców New Milford i Washington Depot przed piciem wody ze studni. Informacja na ten temat miała się również pojawić w radiu i telewizji, choć szeryf powiedział dziennikarzom, że niebezpieczeństwo spowodował nieustalony przeciek z kanalizacji miejskiej. Gdy mówił o śmierci Olivera i zniknięciu Jima oraz Alison, używał eufemizmów. Chłopiec umarł “w wyniku nieszczęśliwego wypadku”, a rodziców poszukuje

się, by “udzielili wyjaśnień niezbędnych w dochodzeniu”.

Nie wspomniał ani słowem o łuskach na plecach i udach dziecka, nie ujawnił też faktu, że Dan badał dziwną mysz, która napiła się wody ze studni Bodine'ów. Nam wyjaśnił, że do całego tego pasztetu brakuje mu jeszcze wybuchu zbiorowej paniki i masowej ucieczki przed pozaziemskimi stworami.

W biurze koronera, gdzie miała się odbyć sekcja zwłok Olivera, również zachowano całkowitą dyskrecję. Jack Newsom, lekarz medycyny sądowej, cichy, siwowłosy mężczyzna, zawsze z niechęcią odnosił się do szumu i zamieszania robionego przez prasę. Lawrence Dunn podzielał jego opinię, dlatego postanowili, że okoliczności śmierci Olivera zostaną tajemnicą dopóty, dopóki szeryf Wilkes nie postanowi złożyć wyczerpującego oświadczenia. Sądzę, że mieli rację tak postępując, przecież mieszkańców ogarnęłaby panika, gdyby się dowiedzieli, że od picia wody mogą się pokryć łuską jak u krabów. Sam w to nie potrafiłem do końca uwierzyć, choć przecież stałem nad ciałem biednego Olivera.

Woda się zagotowała, zalałem kawę w dzbanku. Gdy się parzyła, wyjąłem z kredensu butelkę whisky i nalałem solidną porcję na dno kubka. Następnie dopełniłem kawą, dobrze wymieszałem i poszedłem do salonu. Usiadłem przy Shelleyu na sofie i zapatrzyłem się w ogień. Byłem śmiertelnie zmęczony, przemarznięty do szpiku kości i marzyłem o zapadnięciu w długi sen u boku kota.

Drzemałem, gdy zadzwonił telefon. Ziewnąłem szeroko i pocierając brodę, sięgnąłem po słuchawkę.

- Kto mówi? - spytałem i pociągnąłem łyk kawy z alkoholem.

- Dan. Wróciłem do laboratorium i robię testy.

- Jeszcze się nie kładłeś?

- Po co? To bardzo ważna sprawa.

- Jasne, bardzo ważna. - Ziewnąłem. - I co odkryłeś?

- Wziąłem się do ustalenia okresu, z jakiego pochodzi woda i pływające w niej organizmy. Rheta mi pomaga i zrobiliśmy ze trzydzieści prób, żeby się całkowicie upewnić.

- Tak? I co to da?

- Gdy ustalę wiek związków organicznych w wodzie, będę mógł dość precyzyjnie określić głębokość, z jakiej ona pochodzi. Na przykład, jeśli cząsteczki organiczne mają siedem do ośmiu tysięcy lat, to najprawdopodobniej pochodzą z warstwy lasów liściastych, która się znajduje jakieś dwadzieścia stóp pod powierzchnią. Rozumiesz, o czym mówię?

- Pewnie. Im starsze, tym głębiej leży. I jak stare są te przecinki w wodzie

Bodine'ów?

Dan milczał przez chwilę.

- Dwa miliony lat czy coś koło tego, potrafisz w to uwierzyć?

- Dwa miliony lat? Czyli to są prehistoryczne pozostałości?

- Tak. Sprawdziliśmy tyle razy, że nie ma mowy o pomyłce. Ta woda musi pochodzić z podziemnego źródła, znajdującego się głębiej niż półtorej mili pod powierzchnią.

Opróżniłem kubek jednym haustem i zakasłałem.

- To śmieszne. Ich studnia ma najwyżej sto stóp głębokości.

- Wyniki próby są jednoznaczne.

- Dobra, jednoznaczne. Ale czego dowodzą? Że Bodine'owie wypili trochę bardzo starej wody? Do czego to prowadzi?

- Chyba mnie nie zrozumiałeś - wyjaśniał Dan cierpliwie. - Te organizmy w wodzie też mają dwa miliony lat.

- Co proszę?

- Te małe przecinki. Badałem płyn, który wydzielają, oraz przetestowałem ich materię

organiczną. Wyniki są identyczne. Na wszelki wypadek prześle niewielkie próbki do laboratorium w White Palms, gdzie datują węglem aktywnym, ale nie mam najmniejszych wątpliwości. One mają po dwa miliony lat.

Zamknąłem oczy. To dla mnie stanowczo za dużo.

- Posłuchaj - zacząłem zmęczonym głosem. - Jak coś może mieć dwa miliony lat i ciągle żyć? A poza tym, gdzie ich długie siwe brody?

- Co za różnica, skoro są to prawda? To żyjące skamieliny. Rheta teraz sprawdza, czy wykazują podobieństwo do jakichkolwiek znanych gatunków prehistorycznych.

Milczałem przez dłuższą chwilę. Znowu poczułem się zmęczony i samotny, zdarzenia ostatnich dwunastu godzin były tak bardzo dziwne. Ogarnęło mnie paraliżujące przerażenie.

Myślałem o okropnych łuskach na ciele Olivera, skorupie na dnie wanny i krępej, zataczającej się postaci, która zniknęła za płotem przy domu Bodine'ów.

- Będziemy musieli przeprowadzić kolejne testy - powiedział Dan - i może nawet wwiercić się głębiej w studnię. Ta woda skądś się tam wzięła i dla dobra ogółu muszę wiedzieć skąd. Może byś pojechał z nami po południu i trochę pomógł. Już rozmawiałem z Carterem, obiecał dać wszystko, czego będziemy potrzebowali.

- O której mam przyjechać? - spytałem.

- Najpierw się prześpij. Pojadę tam, gdy tylko skończę pracę w laboratorium.

Umówmy się na wpół do trzeciej w domu Bodine'ów.

- Dobrze. - Odłożyłem słuchawkę. Spojrzałem na Shelleya, który zmrużył ślepią, jakby był tym wszystkim bardzo znudzony. - Nic ci nie pomoże takie patrzenie -

oświadczyłem idąc do sypialni. - W wodzie grasuje banda skamielin sprzed dwóch milionów lat i ludziom od tego wyrasta pancerz jak u homara. Chcesz skończyć z łuską na grzbiecie?

Ty, kot?

Rozebrałem się i poprawiwszy łóżko, które poprzedniego ranka zostawiłem rozkopane, wsunąłem się pod kołdrę. Byłem tak wykończony, że po pięciu minutach już spałem.

Śnił mi się przedziwny koszmar. Najpierw stałem nocą nad brzegiem oceanu, na którego powierzchni migotało światło księżyca. Później płynąłem unoszony przez fale w górę i w dół, czułem lodowaty chłód wody. Księżyc to pojawiał się, to znikał, niczym dalekie i obce światło latarni morskiej.

Po jakimś czasie zanurkowałem w odmęty. Nie czułem strachu, a co dziwniejsze, wcale się nie krztusiłem. Oddychałem bez trudu, czułem nawet chłodny, ożywczy powiew słonej wody w płucach. Co prawda nic nie widziałem, bo pod powierzchnią było bardzo ciemno, ale wyczuwałem drogę między prądami i falami oraz pośród lśniących blado ławic śledzi i okoni. W śnie najosobliwsze było wrażenie, że doskonale wiem, dokąd płynę. Czułem, że jeśli będę dalej podążał szerokim łukiem w lewo, to niedługo dotrę do półwyspu ciemnych skał podwodnych, skąd od miejsca przeznaczenia będzie mnie dzieliła zaledwie mila.

Nad sobą widziałem białawe promienie księżyca przenikające przez fale. W mętnej wodzie pojawił się ciemny zarys skał, zacząłem płynąć szybciej. Wiedziałem, że pływanie nocą w morzu jest niebezpieczne, bo roi się w nim od groźnych prześladowców.

Niemal dosięgałem szczytu skał, gdy poczułem drgania rozchodzące się wśród fal. Solidnie łyknałem wody i z całej siły rzuciłem się do przodu. Coś wyczuło moją obecność i ruszyło w pościg. Coś krwiożerczego i diabelskiego, co chciało mnie zniszczyć. Starłem się zanurkować głębiej i obracałem się wokół własnej osi, by umknąć napastnikowi, ale zdołał chwycić mnie za kostkę, miażdżąc ją niczym w uścisku stalowych kleszczy.

Obudziłem się. Przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem. Nie rozumiałem, dlaczego

znalazłem się na suchym lądzie i wdycham powietrze, a nie wodę. Usiadłem, zlany lodowatym potem. Na zewnątrz wstał chłodny, blady poranek, krowy spokojnie przeżuwały, pasąc się na kamienistych zboczach wokół farmy. Poszedłem do salonu, gdzie na kominku wesoło trzaskał ogień. Stojąc nago na środku pokoju, wypłem dużą whisky.

Kaszląc wróciłem do sypialni, ale już mnie nie ciągnęło do łóżka. Byłem nadal bardzo zmęczony, lecz pomięte prześcieradła za bardzo przypominały powierzchnię wrogiego oceanu.

Zadzwoiłem do Rhety w laboratorium. Dan poszedł do domu trochę się przespać, ale ona nadal pracowała nad próbkami. Zdziwiła się, że już nie śpię.

- Sam bardzo źle sypiam - wyjaśniłem. - Może byś się poważnie zastanowiła, czy nie wpaść do mnie, by czuwać nad moim wypoczynkiem? Oczywiście wyłącznie ze względu na dobro społeczeństwa.

Cichutko zachichotała. Na pewno była osobą zdecydowaną i niezależną, miała też iloraz inteligencji znacznie wyższy, niż ja i Shelley razem wzięci, ale nie ignorowała dwuznacznych aluzji. Zawsze lubiłem tę cechę u dziewczyn. Zwłaszcza jeśli trzymały mnie za słowo.

Ale oczywiście to nie było w stylu Rhety. Miała zbyt wiele pracy, ratując świat od prehistorycznych ludzi-krabów.

- Dan jest naprawdę zmartwiony tym, co się dzieje - powiedziała. - Uważa, że to może być jakaś choroba, która w ukryciu przetrwała setki lat. Kiedy w Londynie odkopano stary cmentarz z okresu zarazy szalejącej trzysta lat wcześniej, zachorowało dwóch robotników.

- I on naprawdę w to wierzy?

- Nic nie wie na pewno. Musimy jeszcze zrobić myszy kilka testów, ale z całą



pewnością maleństwo jest bardzo chore.

- Czy kiedykolwiek słyszano o takiej chorobie? - Przetarłem oczy.

- Właśnie sprawdzam, ale trudno powiedzieć coś pewnego. Chociaż znalazłam parę ciekawych rzeczy.

- Co na przykład?

Zaszeleściły kartki przewracane w notesie.

- Dziś rano zadzwoniłam do znajomego paleontologa. Powiedział, że podczas wyprawy Curriego w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym do Central Rift Valley w Afryce odkryto siedem czy osiem skamielin. Dwie z nich, choć były to skamieliny ssaków, coś w rodzaju jeleni, miały czaszkę i klatkę piersiową skorupiaków. Wyszło hipotezę, że stopniowo zmieniały budowę z endo na ektomorficzną. Lub odwrotnie, rzecz jasna.

- I czego to dowodzi?

- Niczego. W Instytucie Wendella przez jakiś czas tylko o tym szeptano, w końcu sprawę odłożyli na półkę, uznając znaleziska za oszustwo lub dziw natury bez związku z prawdziwą nauką. Prawda jest taka, że nie potrafili tego odkrycia pogodzić z ogólnie przyjętą teorią o rozwoju ssaków, więc chętnie je zlekceważyli i czym prędzej o nim zapomnieli. - . To już wszystko? - zapytałem popijając whisky.

- Jeszcze jedno - odparła Rheta. - W Indiach w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym w Katace wybuchła epidemia trądu, tylko że angielski lekarz nazwiskiem Austin, który leczył większość przypadków, napisał długi raport, w którym twierdził, że z całą pewnością to nie był trąd.

Jego zdaniem zachodził tam proces kostnienia. Próbował wykryć przyczyny i w końcu uznał, że spowodowała to woda z miejscowych studni. Tamtego roku padały bardzo obfite deszcze monsunowe i rzeki wylały do rowów nawadniających oraz płytko wykopanych

studzien.

- Czy opisał dokładniej te przykłady kostnienia? - zapytałem. - Jak to wyglądało?

- Zrobił coś lepszego. Uzupełnił raport bardzo interesującym aneksem, pięknie napisanym i opatrzonym licznymi rysunkami.

- Narysował to?

- Oczywiście. Niestety praca zaginęła jakieś dwadzieścia lat temu. Została wypożyczona z Biblioteki Uniwersytetu Harvardzkiego i nigdy jej nie oddano.

Sięgnąłem po cygaro i zapaliłem.

- Fatalnie. Bardzo chciałbym zobaczyć te rysunki choćby tylko po to, by się przekonać, że Oliver Bodine zapadł na coś innego.

- Tak, ja też. Ale udało mi się coś w tej sprawie zrobić. Zadzwoiłam do mojego dawnego profesora. Mieszka teraz w Miami, jest na emeryturze, ale pamięta, że podczas studiów przeglądał raport Austina. Jego zdaniem Anglik zupełnie oszalał, więc profesor nie przywiązywał do tych zapisków szczególnej wagi, ale świetnie zapamiętał jeden fragment.

- Jaki?

- Opis przypadku chorego, którego Austin odwiedził w wiosce nad rzeką Mahanadi we wrześniu tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego. Lekarz przemierzył pięćdziesiąt mil w strugach deszczu i przez błota, nim odnalazł wioskę, i gdy tam dotarł, był śmiertelnie zmęczony. Sam przyznaje, że jego uwagi mogą być chaotyczne. Zaprowadzono go do samotnej lepianki za wioską i stara kobieta wpuściła go do środka. Wewnątrz panowały niemal całkowite ciemności, bo okna były zasłonięte, a w otworze wejściowym wisiał koc. Ktoś leżał na łóżku, ale kobieta pozwoliła Austinowi zbliżyć się do pościeli tylko na odległość sześciu stóp, nie zdołał więc zbadać chorego. Opisał później, że zobaczył ciężką, pokrytą pancerzem głowę i ramię o dziwnie obłym kształcie, które lśniło niczym

wyglansowana skóra. Twierdził także, że chory mówił zachrypłym głosem i można go było zrozumieć z wielkim trudem.

- Co dalej? - zapytałem.

Bardzo mnie zaniepokoił opis chorego, który przypominał skorupiaka. Wystarczyło, bym przymknął oczy, a widziałem pokryte łuską ciało Olivera oraz dziwacznie owłosiony pancerz w wannie.

- Niewiele więcej - odparła Rheta. - Poza tym, że Austina aż mdliło od smrodu rozkładającej się ryby, który był tak intensywny, że prawie i ja go poczułam.

- Właśnie - rzuciłem cicho. - Właśnie tak określiła Alison Bodine zapach wody z ich studni, kiedy brałem próbki, i to samo zauważył policjant. A teraz i ja to czuję. Mocny, zagłuszający wszystko zapach ryby.

- Zgadza się - powiedziała Rheta. - I sędzę, że istnieje jakiś związek między oboma przypadkami. Ale nie wolno wysuwać zbyt daleko idących wniosków. Fakt, że Austin poczuł rybi zapach w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym, a Alison Bodine wczoraj, nie daje podstaw do uznania tego za naukowo udowodnione powiązanie. Wiele innych rzeczy wydziela nieprzyjemną rybią woń. Czy kiedykolwiek wahałeś przegrzaną wtyczkę?

- Tylko że na pewno nie było przegrzanych wtyczek w domu Bodine'ów. I nie przypuszczam, by pacjent Austina nad brzegiem rzeki Mahanadi dysponował czymś takim. Chyba że mu się przepalił bezpiecznik w lokówce elektrycznej.

Rheta się nie roześmiała, tylko rzekła poważnie:

- Łatwo dojść do pochopnych wniosków, ale nam nie wolno tego zrobić. W tak poważnej sytuacji nie możemy sobie pozwolić na błędy. Zanim odkryjemy, co się stało, musimy przeprowadzić dziesiątki testów.

- A co z rysunkami Austina? Czy twój profesor pamięta, co na nich było?

- Szkice dłoni i stawów. Bardzo dokładne i wierne, ale nie wryły mu się w pamięć.

- Jaka szkoda, że ten raport zniknął.

- Tak. Nawet zadzwoniłam do biblioteki i poprosiłam, żeby sprawdzili, kto go wzięł.

Ale ich adnotacje nie sięgają tak daleko w przeszłość. Skreślili pozycję z katalogu jako zgubę.

- Chyba na razie nic więcej nie ustalimy, trzeba czekać na wyniki sekcji zwłok i

sprawdzić, co jest w studni. - Dopilem kawy. - Może byśmy poszli na lunch?

- Nie będziesz już spał?

- Nie. Miałem koszmary i jak ci już wspominałem, nie cierpię spać sam. Może się spotkamy o pierwszej "Pod Żelaznym Kociołkiem"? Zjadłbym porządnej wołowiny.

- Dobrze - zgodziła się Rheta. - Tylko mnie nie upij.

- Oczywiście, że nie. Nie muszę się uciekać aż do takich środków, żeby zrobić wrażenie na damie.

- Akurat nie o tym myślałam - odparła. - Gdy jestem pod wpływem alkoholu, to nie potrafię się skupić nad precyzyjnym prowadzeniem badań naukowych, testów.

- Zawsze pociągały mnie intelektualistki. No to do zobaczenia.

Restauracja "Pod Żelaznym Kociołkiem", utrzymana w stylu retro, mieściła się w eleganckim, białym domu parę mil na północ od New Milford. W takim miejscu można przesiedzieć nad lunchem całe godziny. Przy sąsiednich stolikach starsze, siwowłose panie w podwiązках zajadają wykwintne sałatki z avocado, a obsługa krąży po sali kłaniając się z rewerencją. Usiedliśmy przy oknie i popijając białe wino, patrzyliśmy na brązowo-rudy ogród spływający ze wzgórza w dół tarasami.

Rheta wyglądała niezwykle pociągająco. W szarym świetle dnia jej orzechowe oczy nabrały przejrzystości, a miękkie, jasne sploty lśniły wręcz magicznie.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę chodzisz z Twardzielem Packerem.

- Jesteś zazdrosny?

- Czemuż by nie?

- Cóż - powiedziała z subtelnym uśmiechem - zazdrość to najbardziej niszczące z uczuć. Niszczy nie tylko tych, którzy ją odczuwają, ale również tych, których dotyczy.

- Nie pożera mnie zazdrość - wyjaśniłem, patrząc na nią znad kieliszka. - Jestem po prostu zwyczajnie zazdrosny. I zdumiony. Nie wyobrażam sobie, co ta góra mięsa mogłaby ci dać, czego ja nie mógłbym ofiarować. Oczywiście poza pięćdziesięcioma funtami rozrośniętych mięśni.

- Może mnie właśnie pociągają rozrośnięte mięśnie. - Znów się uśmiechnęła odwracając wzrok. - W końcu wielu mężczyzn pociąga rozrośnięta tkanka tłuszczowa piersi.

- Cóż złego w rozrośniętej tkance tłuszczowej piersi? - zapytałem odrobinę zbyt głośno. Starsza kobieta w fioletowym kapeluszu odwróciła się, by mnie zmierzyć spojrzeniem znad okularów. Uśmiechnąłem się do niej uprzejmie i wysyczałem do Rhety: - Packer jest głupi jak but. Nie ma za grosz stylu. Można z nim rozmawiać wyłącznie tak, jak to robią w serialach telewizyjnych - kończąc każde zdanie wykrzyknikiem.

- Ale jest bezpieczny. - Wzruszyła ramionami.

- Bezpieczny? Co to oznacza?

Pojawiła się kelnerka z moją wołowiną i rybą pieczoną na grillu dla Rhety. Za skarby świata nie zjadłbym teraz ryby, ale widać naukowcy są ulepiani z innej gliny. Posypałem ryż pieprzem i zabrałem się do mięsa z pomidorami. Czekałem na odpowiedź.

- No więc - Rheta sięgnęła po kolejną bułeczkę - on jest bezpieczny tak, jak inni są niebezpieczni.

- I ja jestem niebezpieczny?

- Dla mnie tak - przytaknęła.

- A cóż we mnie takiego groźnego? Jestem przecież najbezpieczniejszym facetem pod słońcem.

Pokropiła rybę sokiem z cytryny i zaczęła jeść.

- Uważam cię za pociągającego mężczyznę - stwierdziła, nie podnosząc wzroku. - Ale równocześnie sędzę, że jesteś zbyt skupiony na własnych problemach. Na sobie. Mógłbyś zranić kogoś takiego jak ja, w ogóle tego nie zauważając.

Nie odpowiadałem przez chwilę, przełknąłem kęs, popiłem winem i odparłem cicho:

- Za nic w świecie nie zrobiłbym ci krzywdy.

- Celowo na pewno nie, ale mógłbyś mnie skrzywdzić nieświadomie. Znam mężczyzn twego pokroju. Niczego nie potrafisz brać na serio. Bardzo to fajne, każda dziewczyna lubi się pośmiać. Ale przychodzi czas, że ona chce mieć pewność, iż ją traktujesz poważnie, choć resztę świata trochę lekceważysz. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Ująłem ją za rękę.

- Ciebie potrafię traktować poważnie - stwierdziłem tylko. - Jakiego dowodu oczekujesz?

- Nie wiem. A jaki dowód mógłbyś mi dać? Staruszka w fioletowym kapeluszu podsłuchiwała naszą rozmowę ze wzrastającą ciekawością. Wyprostowałem się i zmierzyłem ją tak lodowatym spojrzeniem, że pochyliła się nad talerzem i z przesadną gorliwością zabrała do jedzenia sznycla cielęcego.

- Dokończ lunch - powiedziałem - to pojedziemy do domu. Zostawiłem ogień na kominku, w lodówce mam butelkę chablis. Tylko jeszcze nie posłałem łóżka.

Spoglądała na mnie dłuższą chwilę. Szare chmury rozpierzchły się, na dworze pojaśniało, słońce błysnęło między liśćmi brzoź trzepoczącymi na gałązkach. Rheta pachniała perfumami Gucciego, była tak słodka i miła, że chciałem natychmiast pochylić się nad stołem i ją pocałować.

- Zdaje się, że o wpół do trzeciej masz spotkanie z Danem? - zauważyła.

- To co? Zdążę. To parę kroków ode mnie. Oblizwała usta koniuszkiem języka.

- Muszę wrócić do laboratorium i skończyć badania. Jeśli coś zawałę, Dan mnie obedrze ze skóry.

- Dana zostaw mnie. Nasze sprawy są ważniejsze niż badanie wody.

- Nie jesteś zmęczony? - Odłożyła widelec.

- Próbujesz sobie to wyperswadować?

- Nie. Nic z tych rzeczy.

- No to kończ i jedziemy.

Nie mówiliśmy wiele, dojadając nasze potrawy i dopijając wino. Patrzyliśmy sobie w oczy z namysłem, rozważając za i przeciw. Kiedy płaciłem rachunek, przy kasie dali mi pudełko zapalek i garść czekoladek miętowych. Wreszcie ruszyliśmy do samochodów niczym kochankowie na europejskim awangardowym filmie, którzy przy każdym kroku sprawdzają pogodę, siłę wiatru i uczucie.

Rheta przyjechała bardzo poobijanym beżowym volkswagenem.

- Może pojedziesz ze mną - zaproponowałem. - Odwiozę cię tu później i wrócisz prosto do miasta.

- Dobrze. - Skinęła głową.

Ona również nie chciała psuć nastroju. Oboje wiedzieliśmy, że po południu będzie musiała pracować w laboratorium, a wieczorem spotka się z Twardzielem Packerem, ale w tej chwili znaleźliśmy się w naszej magicznej przestrzeni, gdzie wszystko było możliwe i nie obowiązywały żadne prawa.

Shelley niechętnie zrobił miejsce dla Rhety, a ja zapaliwszy silnik, ruszyłem z parkingu przed restauracją. Włączyłem radio, żeby wypełnić ciszę panującą między nami. Co jakiś czas patrzyliśmy na siebie z uśmiechem, ale oboje wiedzieliśmy, że więź, która nas łączy, jest bardzo słaba i wszystko może się skończyć, nim się naprawdę zaczęło. W radiu Nils Lofgren śpiewał "Slow Dancing".

Droga do New Preston migąła nam przed oczyma niczym slajdy w projektorze. Widok na budynek straży pożarnej w Northville. Drzewa, skały i białe, drewniane domy. Szosa



biegnąca gwałtownie w dół, przysypana liśćmi. Podjazd pod mój dom. Drzwi frontowe.

Salon.

Stanęliśmy przy kominku, rozpiąłem Rhecie wełniany płaszcz. Ucałowałem ją w czoło, później w nos i usta. Po sekundzie wahania odpowiedziała pocałunkiem. Płaszcz osunął się na podłogę.

- Na tę chwilę czekałem od dawna - powiedziałem cicho.

Popatrzyła mi w oczy. Ogień trzaskał na kominku, a ciepło budzącego się między nami uczucia wypełniło cały pokój. Rozpiąłem górny guzik bluzki Rhety i zerknąłem na półprzeźroczysty stanik.

- Pan Perkins? - nagle rozległ się głos za nami. Zdumiony poderwałem głowę. Rheta odsunęła się ode mnie i zapięła guzik. W otwartych drzwiach kuchni stał dziewięcioletni Paul Denton, którego Carter i armia policjantów szukali od wczoraj. Był blady i przerażony, miał podrapaną twarz, podarte dżinsy i koszulę, wyglądał jakby nic nie pił i nie jadł od chwili zniknięcia. Zamrugał oczami, po czym zachwiał się i osunął na wózek z napojami; szklanki, butelki i słomki do koktajli poleciały na dywan. Uklęknąłem przy chłopcu i uniosłem jego głowę. Nie stracił przytomności, ale oddychał z trudem i toczył wokół mętym spojrzeniem, jakby przeżył ciężki wstrząs.

- Paul? Co cię stało? Gdzie byłeś? - pytałem.

- Panie Perkins - szepnął.

- Rheta - zwróciłem się do dziewczyny. - Zadzwoń po Cartera. Powiedz, żeby przysłali karetkę. Ten dzieciak wygląda okropnie.

- Panie Perkins - powtarzał chłopiec.

- Nic nie mów. Rheta już dzwoni po policję.

- Tylko nie policję. - Przejęty, kręcił głową. - Żadnej policji, proszę. Panie Perkins,

bardzo proszę.

Rheta już wykręcała numer.

- Paul, wszyscy zamartwialiśmy się o ciebie na śmierć. Musimy zawiadomić policję.

- Nie! - krzyknął. - Obiecałem, że nie. Machnąłem do dziewczyny.

- Poczekaj chwilę. Jeszcze nie dzwoń. Paul, co obiecałeś? I komu?

Chłopiec zaczął gwałtownie dygotać. Mięśnie miał napięte, z trudem próbował wydobyć głos z zaciśniętego gardła. Przypominał mi kobietę, którą zabrałem do szpitala po niebezpiecznym wypadku na drodze do Danbury. Była w podobnym szoku, nie mogła mówić, a jednak uparcie starała się opowiedzieć mi przebieg zdarzenia.

- Paul, komu to obiecałeś? Kto powiedział, że nie wolno zawiadamiać policji?

Patrzył na mnie wzrokiem szaleńca.

- Nie, żadnej policji, proszę, panie Perkins.

- Nie zatelefonuję po policję. Ale musisz mi powiedzieć, co się stało. Gdzie byłeś?

Kogo spotkałeś?

- Widziałem... ich oboje.

- Kogo? Kogo widziałeś?

- Kryli się w lesie. Było ciemno. Nie wiem, co tam robiłem.

Rheta przyniosła poduszkę i gdy uniosłem głowę dziecka, wsunęła mu ją pod kark.

Układając Paula, spytałem łagodnie:

- Powiedz mi, kto to był? Muszę wiedzieć. Kto się krył w lesie?

- Oni pytali o pana - ciągnął, jakby mnie nie słyszał. - Wołali, więc poszedłem

zobaczyć, czego chcą. Kiedy ich zobaczyłem, nie wierzyłem własnym oczom. Nic z tego nie rozumiem. Ale rozmawiali ze mną i powiedzieli, że muszą się z panem zobaczyć. To sprawa życia lub śmierci. Tak powiedzieli. Życia lub śmierci.

- Paul - nalegałem - kto to był? Kto powiedział, że to sprawa życia lub śmierci? Nie mogę pomóc, jeśli nie wiem, o kogo chodzi.

Chłopiec przewrócił oczami, tak że widziałem tylko białka. Wydusił drżącym szeptem:

- Jim i Alison Bodine'owie. Mówili, że tak się nazywają: Jim i Alison Bodine'owie.

- Oni tak powiedzieli? - spytała Rheta. - Przecież ich znasz na tyle dobrze, żeby samemu rozpoznać.

- Było ciemno - wycharczał i znów przewrócił oczami. - Nie wiem, co tam robiłem, ale było ciemno.

Wyprostowałem się i zacząłem obgryzać paznokieć kciuka. Paul leżał dygocąc wśród potłuczonego szkła i rozsypanych słomek.

- Powinnaś jednak zadzwonić do Cartera - zwróciłem się do Rhety. - Nieważne, co chłopak obiecywał, przede wszystkim potrzebuje opieki lekarskiej.

Rheta skinęła głową i poszła do telefonu. Słyszałem, jak rozmawia z Philem More'em, jednym z zastępców Cartera, po czym szepnęła mi, że samochód policyjny i karetka już są w drodze. Chłopiec dygotał jeszcze bardziej, mrugał i przewracał oczami, jakby zupełnie nie kontrolował swych odruchów, najwyraźniej był w ciężkim szoku.

- Nic nie mów - powiedziałem łagodnym tonem. - Wszystko będzie dobrze.

Mamrotał coś przez chwilę, a w końcu przemówił bardzo wyraźnie, choć jakimś dalekim, nieobecnym głosem:

- Zgubiłem się. Jechałem na rowerze i wiedziałem, że muszę dotrzeć do lasu. Ale gdy się tam znalazłem, to zupełnie nie wiedziałem, gdzie jestem.

- Już dobrze - starałem się go uspokoić. - Nic nie mów. Leż cichutko, zaraz ktoś się tobą zajmie.

Ale nic go nie mogło powstrzymać od mówienia, wyrzucał potok słów, jakby był pod hipnozą lub w transie. Ciągnął wysokim, dziecięcym głosem:

- Czułem, że już jestem blisko tego miejsca. Nie wiedziałem na pewno, ale czułem, że to tutaj. To było wspaniałe miejsce, o jakich się czyta w książkach. Tylko trochę się bałem.

Dolatywały dźwięki, jakich nigdy wcześniej nie słyszałem. Głośne hałasy, głośne okrzyki.

- Słyszałeś, co krzyczeli? - spytałem. Znowu mnie zignorował i uparcie szeptał dalej:

- Wiedziałem, co się stanie. Musiałem czekać. Zapadły ciemności. Czekałem bardzo długo i zrozumiałem, że muszę iść do domu Colemana. Było już bardzo ciemno i przewróciłem się kilka razy. Podrapałem twarz o krzewy.

- I tam zobaczyłeś Jima i Alison? Przytaknął.

- Zawołali mnie z krzaków. Powiedzieli, że nie wolno mi podejść bliżej. Mam pana znaleźć i przyprowadzić do lasu. Kazali mi obiecać, że nie ściągnę policji. Jeśli ja lub ktoś inny doniesiemy o tym policji, pan ich nigdy nie odnajdzie.

- Widziałeś ich? - zapytała Rheta.

- Było za ciemno. - Paul pokręcił głową. - Wydawało mi się, że głowy przykryli kocami. Nie rozumiałem dlaczego.

Pochyliłem się nad chłopcem.

- A ich głosy? Czy słyszałeś je dobrze?

- Nie, bardzo niewyraźnie. Usta też chyba mieli zasłonięte. Mówili bardzo niewyraźnie. Jakby warczeli. Nie podobało mi się to.

- Gdzie oni byli? Gdzie ich mogę znaleźć?

- Żadnej policji - słabym głosem szepnął Paul. - Nie wyjdą, jeśli pan sprowadzi policję.

- Obiecuję.

- Dobrze. Będą na pana czekali o zmierzchu. Są za starą stodołą przy domu Pascoe, jakieś trzy minuty drogi w głąb lasu. Kazali mi to powtórzyć. Za starą stodołą przy domu Pascoe. Ale dopiero o zmierzchu.

Rheta sprawdziła puls chłopca.

- Bardzo słaby. Mam nadzieję, że karetka niedługo przyjedzie. Powinien dostać tlenu!

Wstałem i poszedłem do okna. Z oddali dobiegał wąty sygnał karetki pogotowia; będą tu za parę minut. Chciałem zadać Paulowi tylko jedno pytanie.

- Paul - zacząłem łagodnie, klękając przy chłopcu. Rheta popatrzyła na mnie groźnie, ale musiałem to wiedzieć.

- Paul, czy poczułeś w lesie jakiś zapach? Czy coś ci przypominał?

Chłopiec zadrżał, gwałtownie poruszył głową, ale nic nie odpowiedział.

Po chwili wahania poszedłem do kuchni i otworzywszy kredens, szybko wygrzebałem puszkę tuńczyka. Była to ostatnia, niewielka puszciczka; jednym ruchem zdjąłem wieczko.

- Co ty robisz? - spytała Rheta, gdy wróciłem do salonu z otwartą puszką w dłoni.

- Zaraz zobaczysz - odparłem. - Nie chcę tego robić, ale bardzo dużo od tego zależy.

Dla Jima i Alison. I dla mnie.

Przesunąłem puszkę przed nosem dziecka. Niemal natychmiast przestał dygotać i w obronnym geście przycisnął dłonie do piersi. Otworzył oczy, a z jego ust wydobył się długi, gardłowy krzyk panicznego lęku i bólu. Zaczął się miotać po dywanie tak gwałtownie, że odrzuciłem puszkę i przytuliłem chłopca z całych sił. Z trudem zdołałem go utrzymać, choć miał zaledwie dziewięć lat. Przestał dygotać i uspokoił się dopiero wtedy, gdy Rheta zaczęła do niego przemawiać cicho i łagodnie.

Na zewnątrz rozległa się syrena karetki. Wyprostowałem się i bardzo przejęty popatrzyłem na dziewczynę. Miałem wrażenie, że to, co zaszło między nami tego popołudnia,

wydarzyło się setki lat temu.

- A więc to prawda - powiedziała. - To, co się przytrafiło myszy i tym ludziom w Indiach. Znów się dzieje.

Wstałem. Za drzwiami słyszałem szybkie kroki, zabrzączał dzwonek.

- Nie wiem - zdołałem wyjąkać. - Chyba musimy poczekać, aż sami zobaczymy Jima i Alison. A na razie... przynajmniej ze względu na Paula... raczej nie powinniśmy mówić Carterowi, gdzie oni są.

Rheta zastanowiła się chwilę, po czym potakująco skinęła głową. Otworzyłem drzwi i wpuściłem lekarzy, którzy energicznie wkroczyli do salonu z noszami oraz butlą z tlenem.

- To pański syn? - zapytał jeden z nich.

- Nie, to chyba ten zaginiony chłopiec.

Dan czekał na mnie od piętnastu minut, gdy przyjechałem do domu Bodine'ów.

Siedział na poręczy werandy i czytał Scientific American. Miał na sobie beżowo-niebieski płaszcz, łysinę zakrył czapką z tego samego materiału i gdybym był dwudziestopięcioletnią, przeciętną dziewczyną z prowincji, to bardzo by mi się podobał.

- Cześć. Przepraszam za spóźnienie. Zdarzyło się coś ciekawego - powitałem go.

- Och, czyżby? - spytał złośliwie. Był zajęтым człowiekiem i nie lubił, gdy marnowano jego czas.

- Znaleźliśmy syna Dentonów. Przyszedł do mojego domu. Pojawił się nagle i wyglądał, jakby go przepuszczono przez wyżymaczkę. Wzięli go do szpitala, jest wycieńczony i w stanie szoku.

- Co mu się stało? - spytał Dan, zwijając czasopismo i wkładając je do kieszeni płaszcza. Tacy mężczyźni jak on nosili czasopisma w kieszeni płaszcza.

- Już... eee... z nim dobrze. Zgubił się. Obeszliśmy dom, studnia mieściła się z tym.

- Tak po prostu się zgubił?

- Chyba spadł z roweru czy coś takiego. Uderzył się w głowę. No wiesz, amnezja.

Dan ujął mnie za ramię.

- No, Mason, nie tak prędko. Świetnie wiem, kiedy mówisz prawdę, a kiedy mi wciskasz kit. Przejrzałem cię na wylot.

- Dan, jestem tylko prostym hydraulikiem i wykonuję mój zawód najlepiej, jak potrafię.

- Cholernie cwany z ciebie hydraulik. A teraz mów, co jest z Paulem?

Westchnąłem. Zapatrzyłem się na odległe wzgórza. Na zachodzie niebo pociemniało, szare chmury zwiastowały deszcz, który pewnie spadnie za jakieś dwie godziny. Brązowe drzewa pochylały się i gięły pod uderzeniami wiatru.

- Paul znalazł Jima i Alison Bodine'ów - powiedziałem.

Dan zamrugnął powiekami.

- Znalazł ich? Co masz na myśli? Gdzie są?

- Powiedział, że kryją się w lesie na tyłach domu starego Pascoe. Coś okropnego się z nimi stało. Przykryli głowy kocami i nikomu się nie pozwalają obejrzeć. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

- To jeszcze nie wszystko. Może głupio zrobiłem, ale pomachałem Paulowi przed nosem otwartą puszką tuńczyka. Zupełnie oszalał. Wył, jakby goniło go sto diabłów. Więc moim zdaniem to, co się stało z Bodine'ami, łączy się z zapachem ryby.

Zakaszłał i odezwał się ponuro:

- Wierzę ci. Jeśli potrafiłeś mi coś takiego opowiedzieć, nie próbując przy tym dowcipkować, to muszę ci wierzyć.

- Przypominasz mi Rhetę - westchnąłem, ale mnie nie zrozumiał i dalej marszczył

brwi w zamyśleniu.

- Rheta wspominała ci o Austynie? - zapytał. - O wybuchu zarazy w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku?

- Jasne. I wyprawie Curriego. Pokiwał głową.

- Wszystko to odkopała zaledwie w parę godzin. Moim zdaniem, solidne przejrzanie dokumentów z historii medycyny pozwoli znaleźć wiele takich przypadków. Ale to by zabrało dużo czasu. A nie wiem, ile czasu nam zostało.

- Co to niby ma oznaczać?

- Tylko pomyśl, we wtorek rano Jim i Alison wezwali cię, bo im się nie podobał kolor wody. Tego samego dnia wieczorem już się zarazili, oni i Oliver, czymś, co było w wodzie. Nie wiem, o której utopił się chłopak, może sekcja to ustali, więc nie potrafię wyliczyć, jak szybko jego ciało pokrywało się łuską. Ale wiem jedno: działa się to cholernie szybko. I jeśli to się rozprzestrzenia, jeżeli studnie w okolicy są tym zarażone, to nie została nam ani chwila.

Wszyscy mieszkańcy New Milford zamienią się w skorupiaki, a gdy do tego dojdzie...

W dali rozległ się grzmot, a nad wzgórzami rozbłysła błyskawica.

- Znów deszcz. To najbardziej mokry rok od pół wieku. Wody gruntowe podeszły tak wysoko, że się w nich taplamy - rzucił Dan.

- Skoro tu już jesteśmy, to może byśmy zajrzeli do kuchni? - zaproponowałem. - I na wszelki wypadek wzięli parę próbek?

Dan po chwili namysłu skinął głową. Ruszyliśmy dalej przez podwórko. Piorun znów uderzył i przez moment poczułem się nieswojo, jakby ziemia drgnęła mi pod stopami.

Spojrząwszy na Dana, spytałem:

- Też to czułeś?

- Drganie? Jak przy trzęsieniu ziemi?



- Tak.

Stałem bez ruchu, wiatr się wznagał. Wtem stajnia na końcu podwórka rozjarzyła się niezwykłym blaskiem, zalana promieniami słońca, które przebiło się przez chmury.

Poczułem się jak na obrazie Andrew Wyetha, gdzie wśród tła będącego mieszaniną pastelowych i ostrych barw zupełnie zwyczajne przedmioty nabierają niezwykle groźnego, przerażającego charakteru.

- Nie wiem. To chyba tylko piorun - powiedział Dan w końcu.

Poczekaliśmy jeszcze moment, ale drgania się nie powtórzyły, więc ruszyliśmy dalej przez podwórko. Siatkowa osłona drzwi trzaskała i obijała się o framugę, miotana podmuchami wiatru, wokół panowała atmosfera opuszczenia. Zrobiło mi się przeraźliwie smutno.

Znów się zatrzymaliśmy. Z całą pewnością dobiegł mnie jakiś dźwięk. Pęknięcie lub bulgotanie - nie potrafiłem tego określić. Dan już miał wejść po schodach, gdy go chwyciłem za ramię.

- Ciii... Posłuchaj. Nasłuchiwał, po czym stwierdził:

- To chyba woda. Do diabła, skąd się bierze? Poszliśmy dróżką wokół domu.

Platanina gałęzi nad naszymi głowami pogłębiała panujące wszędzie ciemności, na ziemi w podmuchach wiatru tańczyły suche liście. Na dachu werandy i wśród konarów zaszumiały pierwsze krople deszczu. Coraz wyraźniej słyszeliśmy bulgotanie wody i idąc za tym dźwiękiem, dotarliśmy po schodzącym w dół trawniku do starej, zardzewiałej wiktoriańskiej pompy ręcznej, z której obłaziła czerwona farba.

- Tylko popatrz! - zakrzyknął Dan. - Woda aż się przelewa.

U podstawy pompy z szerokiej na cal dziury wytryskiwał z bulgotaniem strumień wody. Wyłobił już koryto do rowu obiegającego od wschodu gospodarstwo Bodine'ów, a

jego prąd był tak wartki, że unosił grudy ziemi oraz kamienie. Rósł z każdą chwilą.

Dan uklęknął na mokrej trawie, wyjął z kieszeni buteleczkę do pobierania próbek i napełnił ją wodą wprost ze szczeliny.

- Co może spowodować taki gwałtowny wypływ? - spytał wstając. - W tych źródłach nie ma zwykle tak wysokiego ciśnienia, prawda?

- Nie - odparłem.

Pochyliłem się nad pompą i nadstawiłem dłoń pod tryskający strumień. Woda była lodowato zimna i z każdą chwilą wypływała z większą mocą.

- Potrafisz to wyjaśnić? Wzruszyłem ramionami.

- Wiele przyczyn może spowodować takie ciśnienie. Jeden system wód podziemnych mógł się wypełnić tak bardzo, że przelał się do innego. Albo nawet wybuchnął niewielki podziemny wulkan.

- To drganie?

- Może. Nie wiem.

Intensywnie myślałem, gdy wtem ujrzałem mężczyznę wynurzającego się zza domu i idącego w naszym kierunku. Wyglądał jak ktoś z sąsiedztwa, był krępy, czerwony na twarzy, nosił spłowiałe spodnie ogrodniczki i powalany ziemią kapelusz. Ręce trzymał w kieszeniach. Zatrzymał się o parę kroków od nas i zmierzył spojrzeniem rolnika, który nakrył w zbożu zakochaną parę.

- Zobaczyłem wasze samochody przed domem, pomyślałem więc, że sprawdzę, co się tu dzieje - rzucił.

- Cieszę się, że Bodine'owie mają troskliwego sąsiada - odparłem, wstając i

wycierając dłonie chusteczką. - Jestem Mason Perkins, hydraulik, a to Dan Kirk z Okręgowego Wydziału Zdrowia.

- Widziałem pana kilka razy w New Milford. - Skinął głową. - Nazywam się Greg

McAllister. Parę tygodni temu sprowadziłem się tu obok.

- Greg McAllister? - zapytał Dan. - Syn Williama McAllistera, który kiedyś tu mieszkał?

- Zgadza się. Dom od zawsze należał do naszej rodziny, ale po śmierci taty przenieśliśmy się do Iowa. Ostatnio sprzedałem tamtą farmę i wróciłem do Connecticut. Za stary jestem do pracy na roli.

- Słyszał pan ostrzeżenie, żeby nie pić wody ze studni? Mam nadzieję, że pan nie pił?

- Nie - powiedział Greg McAllister. - Nigdy w życiu nie piłem wody ze studni, ani mój ojciec, ani jego ojciec.

- Nie piliście? Dlaczego? - spytał Dan.

Greg z dłońmi wciśniętymi głęboko w kieszenie spodni wzruszył ramionami.

- Może to głupie - wyjaśnił - ale w mojej rodzinie zawsze wierzono, że na studniach w okolicy ciąży przekleństwo. Dziadek mówił o nich "studnie piekiel".

## **ROZDZIAŁ 4**

Nad wzgórzami Kentu zagrzmiało. Dźwięk ten długo rozbrzmiewał w powietrzu i przypominał burczenie w brzuchu dinozaura. Greg McAllister spojrzął w tamtą stronę i powiedział:

- Za chwilę będzie prawdziwy potop.

- To lepiej się schowajmy na werandzie - rzuciłem. - Dan, masz już wszystkie potrzebne próbki?

Przytaknął, więc szybko odeszliśmy od studni ogrodowej i skierowaliśmy się w stronę domu. Zaledwie schroniliśmy się na werandzie, a już rozszalała się ulewa. Deszcz walił o dach, bulgotał w rynnach i rozpryskując się na boki, spływał w dół trawnika.

- Będziemy mieli wyjątkowo mokry rok - zagaił Greg, sięgając po paczkę cameli i zapalając papierosa. - Kraniec mojego czteroakrowego pola zamienił się w jezioro.

- Jeszcze pan pracuje w gospodarstwie? - spytał Dan.

- Trzymam parę krów, ot i wszystko. Raczej dla przyjemności niż dochodu.

Oparłem się o drewnianą ścianę domu i ściągnąłem czapeczkę.

- Nigdy nic nie słyszałem o kłątwie - zwróciłem się do McAllistera.

- Rzuconej na studnie? - zapytał, wydmuchując dym nosem. - Hmm, to naprawdę stara historia, jedna z legend powtarzanych niegdyś w tych stronach, o której dziś już wszyscy zapomnieli. Najstarsi ludzie może i ją słyszeli, ale inni jej nie znają. Od czasów mego dzieciństwa Milford zmieniło się nie do poznania.

- Co to za kłątwa? - dopytywał się Dan.

- Pamiętam tylko krótki wiersz. - Greg zaciągnął się dymem. - Tato mi go recytował do snu, gdy byłem bardzo mały. Mówił, że nikt z mieszkańców nie pił wody ze studni, przywozili ją z jeziora Squantz. Sami nigdy jej nie pili, co najwyżej brali do mycia, nawadniania ogrodów lub pojenia zwierząt domowych.

Wyjąłem i zapaliłem cygaro. Trochę mnie mdliło i pomyślałem, że może zbyt szybko jadłem wołowinę. No i ostatnio jestem bardzo podenerwowany. Nie zawadziłoby wziąć czegoś na trawienie.

- Pali pan przez plastikową lufkę? - zapytał Greg McAllister. - Słyszałem, że od plastiku dostaje się raka zębów.

- Raka zębów? - zdumiał się Dan.

- Tak. Plastik wywołuje najczęściej zachorowań na raka. Zerknąłem ukradkiem na Dana. Chyba jednak nie będzie można uznać Grega za autorytet w sprawach medycznych. Ale Dan odpowiedział mi spojrzeniem, które zdawało się mówić: cóż, nie mamy nikogo

lepszego pod ręką.

- Czy mógłby nam pan powiedzieć ten wiersz? - zwrócił się do farmera. Pamięta go pan?

- Jasne. - Uśmiechnął się szeroko, a wokół jego ust pojawiła się siateczka zmarszczek.

- Tato powtarzał mi go w kółko każdego wieczoru przez całe dzieciństwo, więc chyba nie zapomnę ani słowa aż do dnia, gdy poniosą mnie nogami do przodu, a sam zamelduję się przed obliczem Stwórcy. - Zaciągnął się głęboko papierosem, wypuścił dym i wyrecytował:

*Wino możesz pić do woli,*

*Lecz Prestona studnię omiń,*

*Jako że Pontanpo stary*

*Dawno rzucił na nią czary.*

*I kto wody się napije,*

*Wnet skorupa go pokryje .*

Dan uniósł wysoko brwi i zapytał:

- Ojciec panu powiedział ten wiersz? Jak dawno to było?

- W lutym będę miał sześćdziesiąt jeden. - Farmer potarł brodę. - Czyli musiało to być jakieś pięćdziesiąt lat temu.

- Czy kiedykolwiek wyjaśnił znaczenie tych słów?

- Niby co one znaczą? - Greg wyglądał na zdziwionego.

- Tak. Czy na przykład powiedział coś więcej o czarach starego Pontanpo? Albo co znaczy: wnet skorupa go pokryje!

Deszcz zalewał deski werandy. Greg wolno pokręcił głową.

- Chyba nie. Może, kiedy byłem małym dzieckiem, ale niczego nie pamiętam. Nigdy nie pomyślałem, żeby się dopytywać o wyjaśnienie. Te słowa znaczą to, co znaczą, i tyle.

- A pan się nie domyśla? - naciskałem.

- Hmm, no tak. Prestona studnię omiń oznacza, by nie pić wody ze studni, a stary

Pontanpo brzmi jak imię jakiegoś Indianina. Może to on zaczarował wodę? A może nie on, kto wie? A dalej ostrzega, że kto będzie pił wodę ze studni w okolicach New Preston, to skorupa go pokryje.

- I co to może znaczyć? Domyśla się pan? Czy ktokolwiek panu coś bliższego o tym mówił?

Greg ponownie zaciągnął się dymem, aż papieros zaśnił pomarańczowym blaskiem.

Po chwili namysłu drapiąc się po twardym karku, pomarszczonym i opalonym na czerwono przez lata pracy na roli, zrezygnowany pokręcił głową.

- Chyba raz zapytałem o to tatę - odparł. - A on powiedział, że to ma coś wspólnego z ludźmi o rybich ogonach.

- Ludzie o rybich ogonach?

- Tak. On wiedział tylko tyle. Wedle niego wiesz ostrzegał przed ludźmi o rybich ogonach. To wszystko. Starsi mieszkańcy na pewno mogliby więcej powiedzieć, ale on się nie dopytywał. Mawiał, że o takich rzeczach im mniej się wie, tym lepiej.

Dan wyjął buteleczkę z wodą i patrzył na nią w przygasającym świetle deszczowego popołudnia. Nawet ja dostrzegłem żółtawe zabarwienie płynu, choć mogło być spowodowane zanieczyszczeniami, jako że woda wytryskując ze źródła mieszała się z ziemią.

- Czy kiedykolwiek przyglądał się pan wodzie ze studni? Zauważył pan takie żółtozielone zabarwienie? - Dan zwrócił się do McAllistera.

Greg przyjrzał się buteleczce i zaprzeczył.

- Zawsze była krystalicznie czysta. Teraz mnóstwo w niej błota, co?

- Gdyby to było błoto, to już by się ustało i tylko na dole płyn byłby ciemniejszy. A tu

kolor jest taki sam w całym pojemniku.

- Czy to trucizna? - zapytał Greg.

- Niewykluczone. Właśnie to próbuję ustalić. Wydmuchałem dym z rakotwórczego cygara i wtrąciłem się do rozmowy.

- Chcielibyśmy więcej dowiedzieć się o tym wierszu. W starych historiach często kryje się ziarno prawdy.

Farmer przenosił wzrok z Dana na mnie i z powrotem.

- Naprawdę interesują was legendy? I wiersze?

- Tak, a zna pan jeszcze inne?

- Ja to nie, ale mój dziadek miał książkę, która podobno zawierała podania z New Milford, Washingtonu i tych okolic. Nazywała się Legendy z Litchfield.

Spojrzałem na zegarek. Właśnie minęła trzecia, deszcz padał uparcie. Z lękiem pomyślałem o Alison i Jimiem, którzy w tej ulewie gdzieś się kryli czekając na zmierzch.

Bąłem się. Coś się z nimi stało okropnego, ich ciała pokryła łuska, a oni oczekiwali pomocy właśnie ode mnie. Może dlatego, że uważali mnie za jedyną osobę godną zaufania. Każdy inny człowiek najpierw by strzelał, a potem dopiero się zastanawiał, co powinien zrobić z istotą pokrytą pancerzem.

- Ma pan tę książkę? - spytał Dan farmera. - Z chęcią bym do niej zajrzał.

- Oddałem ją do magazynu. Po śmierci ojca złożyłem tam wszystkie rzeczy i wynająłem dom. Powinna nadal być w Składzie Candlewooda. Jeśli wam bardzo na tym zależy, to mogę napisać list do starego Martina. Pożyczycie ją na jakiś czas.

- Postępuje pan jak na dobrego sąsiada przystało. Coś się przytrafiło Alison i Jimowi i może, kiedy się dowiemy ze starych legend czegoś o tej wodzie, to zdołamy wyciągnąć Bodine'ów z tarapatów.

Greg rzucił peta na ziemię. Na zachodzie rozbłysło słońce, strumyczki wody lśniły płynąc wśród trawy.

- Słyszałem, że zabili Olivera - powiedział cicho. - Utopili w wannie czy coś takiego.

Czy to prawda?

- Nie - odparłem. - Sami nie wiemy, co się wydarzyło. Zniknęli i nie udało się ich odnaleźć. Szeryf Wilkes mówi, że dochodzenie trwa.

- Ja tylko powtarzam, co ludzie gadają - tłumaczył się farmer. - Nie miałem nic złego na myśli.

- Oczywiście - uspokoiłem go. - Ale może pan powtórzyć każdemu, z kim będzie rozmawiał, że to nieprawda. Może przekażą to równie szybko, jak roznieśli plotki.

- Jasne, że powiem. Chcecie ten list do starego Martina? Jakbyście mnie podwieźli do domu, to napisałbym go od ręki.

- Dziękuję, na pewno się przyda.

Greg McAllister uśmiechnął się całą pomarszczoną twarzą.

- To się cieszę. Przecież jestem ich sąsiadem i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc. Wszystko.

- Dziękujemy, panie McAllister. A teraz ruszajmy, właśnie przestało padać.

Nim wróciliśmy do laboratorium Dana w New Milford, niebo znów zupełnie pociemniało i zanosilo się na deszcz. Panią Wardell rozbolała głowa, poszła więc do domu, Rheta zaś tkwiła przy mikroskopie i badała wycinek pobrany z pancerza myszy. W mrocznym pomieszczeniu otaczał ją krąg światła.

Mysz leżała na dnie klatki i ciężko dyszała. Nic w jej wyglądzie nie uległo zmianie, nadal okrywał ją twardy pancerz, choć proces kostnienia został chyba zahamowany.

Zerknąłem na zwierzątko kątem oka i natychmiast odwróciłem wzrok. Za bardzo



przypominało mi biednego Olivera i to, z czym być może będę się musiał zmierzyć, kiedy pójdę na spotkanie z Bodine'ami. Łuski, pierścienie z chrząstek i pancerze.

Dan powiesił mokry płaszcz na wieszaku i zwrócił się do dziewczyny:

- I jak idzie? Testy Hersmana coś wykazały?

Rheta wyprostowała się na stołku i przetarła oczy. Dan pochylił się i zerknął w mikroskop.

- Wygląda jak typowy skorupiak - stwierdził.

- Tak, w budowie komórek nie ma nic niezwykłego - zgodziła się Rheta. - Chitynowa pokrywa ma budowę komórkową charakterystyczną dla kraba, a mysie komórki pozostały nie zmienione.

- Dałaś jej wody ze studni Bodine'ów?

- Nie. Jeszcze nie. Brakuje nam urządzeń i mamy za mało doświadczenia do prowadzenia eksperymentów tej wagi. Przecież powinniśmy użyć refraktometru Mortona.

Dan w zamyśleniu gładził łysy czubek głowy.

- Sądysz, że trzeba to przekazać do Hartford? Rheta zeskoczyła ze stołka i podeszła do klatki z myszą.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się potworkowi, w końcu rzekła:

- Te procesy są niezwykle skomplikowane. Normalnie miękkie ciało przekształciło się w coś zbliżonego do pancerza kraba, przy czym cały ten proces nie tylko nie zabił myszy, ale nawet nie zakłócił funkcji jej organizmu. Zrobiłam około trzydziestu zdjęć rentgenowskich i wszystkie pokazują to samo: wewnątrz ciała zwierzątka wszystkie procesy przebiegają bez zmian. Zaraz wam pokażę.

Przesunęliśmy się do podświetlanego stołu w końcu pomieszczenia i Rheta otworzyła kopertę zawierającą klisze. Przyczepiła je do ekranu, a my przyjrzelśmy się im uważnie.

- To jest najwyraźniejsze - wskazała. - Widać, że wewnętrzna struktura kostna jakby się rozpuściła i wapń przeniknął do zewnętrznej warstwy skóry. Oglądamy stworzenie, które zostało przenicowane: kości ukształtowały się na zewnątrz zamiast w środku ciała.

Wpatrywałem się w klisze z niedowierzaniem.

- Czy coś potwierdza, że to woda jest przyczyną tych anomalii? - zapytałem Rhetę.

Wzruszyła ramionami.

- Brakuje przesłanek do wyciągnięcia ostatecznych wniosków. Nie mogłabym tego stwierdzić ze stuprocentową pewnością, ale po wszystkich obserwacjach dokonanych dzisiaj powiedziałabym, że te przecinki w wodzie wytwarzają rodzaj enzymu, katalizatora tego procesu.

- Rozumiem. Czyli sądzisz, że to jednak woda?

- Na osiemdziesiąt pięć procent.

Dan przejrzał pozostałe zdjęcia i wyłączył podświetlacz. Odezwał się po chwili milczenia:

- Ale nadal mnie gnębi pytanie: dlaczego?

- Co dlaczego? - zapytałem. Podniósł na mnie wzrok.

- Dlaczego te mikroorganizmy mające dwa miliony lat ciągle żyją i dlaczego wpływają na ludzi i zwierzęta w tak niezwykły sposób? Na początku sądziłem, że to rodzaj wirusów wywołujących chorobę, ale one nie zachowują się jak wirusy, a mysz nie cierpi na żadną chorobę w takim znaczeniu, w jakim ja używam tego słowa. Znalazła, się w pewnym stanie, który potrafię scharakteryzować, ale nie umiem wyjaśnić jego przyczyn. Nie rozumiem też, jakie to ma znaczenie dla cyklu życiowego tych przecinków lub czegokolwiek innego.

- Muisz przyznać, że jeszcze nie zbadaliśmy pełnego cyklu życiowego - zastrzegła

Rheta. - No i ta mysz tylko w części pokryła się łuską, podobnie jak biedny Oliver. Nie wiemy, co się dzieje, gdy cały osobnik przemieni się w kraba.

- Może się o tym przekonamy dziś wieczorem po spotkaniu z Alison i Jimem - wtrąciłem.

- Mam nadzieję, że się nie przekonamy, tego bym nie życzyła najgorszemu wrogowi.

- Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Załóżmy, że te przecinki są jak komary. Przenoszą enzym od jednego żywiciela do drugiego.

- To wyłącznie teoretyczna możliwość - stwierdził Dan. - Jaki żywiciel mógłby się znajdować pod Litchfield Mills, półtorej mili w głąb ziemi? I przede wszystkim gdzie znalazłyby się sprzyjające warunki?

- Może zachowała się tam jakaś prehistoryczna padlina? Ciało człowieka jaskiniowego? - rzuciłem.

Dan uniósł brwi.

- Wiem, że to brzmi jak gadanina wariata, ale cała historia jest szalona, więc może powinniśmy budować szalone koncepcje.

Dan spojrzał na Rhetę, która obdarzyła nas obu uroczym, dodającym otuchy uśmiechem. Żałowałem z całego serca, że nie dane nam było spędzić więcej czasu u mnie w domu, ale widać tak chciało przeznaczenie. Może spotkamy się jeszcze raz w innym życiu albo, co równie prawdopodobne, w przyszły piątek uda mi się ją przekonać, by puściła w trąbę Twardziela Packera.

- Dobra, budujmy więc szalone koncepcje. Masz coś? Przysiadłem na brzegu ławki.

- Sam nie wiem. Ale czuję, że za tym wszystkim coś się kryje. Weźmy choćby

utonięcie Olivera. Ktoś go utopił w sypialni na pierwszym piętrze, a to wymagało siły i

sprytu. Może zrobił to człowiek. Daj mi ze dwa tygodnie i podręcznik hydrotechniki, a pewnie wydedukuję, jak można tego dokonać. Ale nie sądzę, by krył się za tym umysł człowieka. Ludzie zwykle wybierają najprostsze i najbardziej skuteczne metody pozbycia się ofiary. Dlaczego wypełniać cały pokój wodą, jeśli równie dobrze można chłopca utopić w wannie? Po co go w ogóle topić, jeśli łatwiej zabić nożem? Po co nożem, jeżeli prościej byłoby zastrzelić? Patrząc z punktu widzenia człowieka, nie ma najmniejszego sensu w zabijaniu chłopca przez utopienie w sypialni na piętrze. Rheta odgarnęła włosy z twarzy.

- Do czego zmierzasz? Jeśli to nie była istota ludzka, to co? Rozłożyłem ręce.

- Gdyby zastosować regułę psychologii, że wszystkie stworzenia stosują najprostsze środki do osiągnięcia swoich celów, to należałoby przyjąć, iż zalanie wodą pokoju było najprostszym sposobem zabicia Olivera dla jego mordercy.

- Do licha, dla jakiego stworzenia coś takiego będzie proste? - westchnął Dan. - Dla wieloryba?

- Nie wiem. To tylko rozważania teoretyczne.

- Aha. Więc twoim zdaniem wieloryb zabił Olivera. A co z tymi przecinkami w wodzie? Jaką odgrywają rolę?

- Nie mam pojęcia - odparłem.

- Cieszę się, że o czymś wreszcie nie masz pojęcia - rzucił sarkastycznie. -

Załamałbym się zupełnie, gdybyś mi nic nie zostawił do wykrycia.

Wyjąłem cygaro i zapaliłem. Wydmuchnąłem potężny kłęb dymu i dopiero wtedy się odezwałem.

- Zgadzam się, że to brzmi dziwacznie, ale masz inne wyjaśnienie? Wyjaśnienie pasujące do faktów, okoliczności i psychologicznych aspektów sprawy?

- Nie mam. Ale ty zakładasz, że jest stworzenie, które potrafiło wlać pięć tysięcy

galonów wody do domu Bodine'ów i natychmiast ją usunąć. Zakładasz, że jest stworzenie, które naprawdę chciałoby to zrobić.

- No cóż, ktoś chciał to zrobić - stwierdziłem - skoro zrobił.

Dan milczał przez chwilę, wreszcie się odezwał:

- Dobra, zostawmy na moment to pytanie. Może Carter wykryje jakieś dodatkowe szczegóły. A co z mikroorganizmami? Jaką tu masz teorię?

- Może zostały celowo umieszczone w studni? - rzuciła Rheta. - Rodzaj broni bakteriologicznej?

- Na to mi nie wygląda. - Dan pokręcił głową.

- Czemu by nie - upierała się. - Sowieci mają gaz paralizujący system nerwowy, bomby wodorowe i broń bakteriologiczną. Dlaczego by nie mieli się postarać o wirusy w kształcie przecinków, które zmieniają ludzi w potwory okryte pancerzem?

- Bo to bez sensu - warknął Dan. - Sowieci chcą zabijać ludzi, a nie zmieniać je w potwory. A poza tym New Milford trudno uznać za najważniejsze strategicznie miejsce w Stanach Zjednoczonych.

- Moim zdaniem utonięcie Olivera i przecinki w wodzie to część tego samego problemu - wtrąciłem. - Powinniśmy uznać je za przesłanki, które doprowadzą nas do rozwiązania.

- Wiemy, wiemy. Gigantyczny wieloryb o morderczych zapędach - jęknął Dan.

Popatrzyłem na groźnie wyglądające niebo. Zapadł już zmrok i zbliżał się czas spotkania z Jimem i Alison na tyłach domu starego Pascoe. Ogarnął mnie niepokój, zaczęły mi drżeć dłonie i nagle zdałem sobie sprawę, że niemal całkiem pogryzłem plastikową lufkę.

- Przynajmniej jedno jest jasne - oświadczyła Rheta. - Nie mamy wystarczającej ilości informacji, by dojść do sensownych wniosków. Musimy poczekać, aż Jack Newsom

zakończy sekcję zwłok Olivera i zrobimy myszy wszystkie badania.

- Pojedziesz ze mną do domu Pascoe? - spytałem Dana. - Mogę potrzebować pomocy.

- Oczywiście, jeśli nie sądzisz, że ich wystraszę. Uśmiechnąłem się do niego ponuro.

- Moim zdaniem to raczej oni nas wystraszą. Masz tu jakąś latarkę? Zostawiłem swoją w domu. I aparat fotograficzny? Jeśli nawet ich dobrze nie zobaczymy, może zdołamy zrobić parę zdjęć.

- Mam na dole aparat do zdjęć w podczerwieni. Rheto, są jakieś filmy w lodówce?

Rheta poszła sprawdzić. Kiedy szukała na półkach między szklanymi pojemnikami i tackami z hodowlami, my ponuro patrzyliśmy na ciężko dyszącą mysz i zastanawialiśmy się, w co, u licha, się pakujemy.

Na dworze rozległ się głośny huk gromu i w dach laboratorium zaczął walić deszcz z taką siłą, jakby chciał się przebić przez strop i zalać nas wszystkich.

- Masz gdzieś tu Biblię? - spytałem Dana. - W razie gdybyśmy potrzebowali wskazówek do budowy arki.

Wprawdzie do zagrody starego Pascoe nie było daleko, ale droga wiła się wśród wzgórz i lasów schodząc ku Sherman, a przed zalewaną deszczem przednią szybą auta tańczyła mozaika mętnych światła i cieni drzew. Shelley, uznawszy, że na tylnym siedzeniu jest za zimno, wskoczył Danowi na kolana i tkwił tam z niezadowolonym wyrazem pyszczka, wpijając się pazurkami w uda za każdym razem, gdy wóz zarzucał na zakrętach.

Całą drogę milczeliśmy. Dan nie przejawiał ochoty do prowadzenia głośnych dysput, a ja za bardzo się denerwowałem. Może i on też się denerwował. Zapewne każdy odczuwałby niepokój na myśl o spotkaniu z dwiema istotami ludzkimi, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zmieniły się w groteskowe skorupiaki. Dziwiłem się, że potrafiliśmy z powodzeniem udawać spokój i nie okazywać na zewnątrz lęku, chociaż sytuacja była

przerazająca i zupełnie nierealna. Zapewne zresztą większość naszej odwagi brała się z niewiedzy, bo przecież nie mieliśmy pojęcia, przeciw komu występujemy.

Zimą zagroda starego Pascoe stała opuszczona. Pascoe był kiedyś jednym z najlepszych producentów mleka w okolicach Sherman, ale po śmierci żony i wyjeździe dorosłych synów stopniowo coraz bardziej ulegał demencji starczej. Latem powracał do Connecticut i siadał na werandzie pod dumnie powiewającą flagą, machał rękami i wołał do każdego mijającego go przechodnia czy sąsiada. Zimą zaś, gdy chłód zbyt mocno dokuczał jego starym kościom, uciekał na południe do Miami i mieszkał w zaniedbanej willi najmłodszego syna, Wilfa, agenta ubezpieczeniowego.

Dotarliśmy do skrzynki pocztowej z odblaskowym napisem PASCOE oraz tytułem New Milford Tribune wydrukowanym gotyckimi literami i umieszczonym pod nazwiskiem właściciela gospodarstwa. Wjechałem w zagajnik z jesionów i brzoź i zwirową, wyboistą alejką dotarłem przed rozłożysty, biały dom o zielonych werandach, majaczący w ciemnościach niczym duch. Zatrzymałem się przed głównym wejściem, zgasilem silnik, lecz pozostawiłem światła. Deszcz uderzał mocno o karoserię i spływał strugami po dachu i oknach. Czulem się jak w szalupie ratunkowej na pełnym morzu.

- Jeśli dobrze pamiętam, to stajnia jest z tyłu, jakieś siedemdziesiąt jardów za domem - zwróciłem się do Dana. - Chyba najpierw rozejrzę się, czy wszystko w porządku, a później cię zawołam.

- Weźmiesz aparat? - spytał.

- Nie potrafię zrobić zdjęcia nawet w automacie do fotografii paszportowych - odparłem. - Poczekaj, aż zawołam, wtedy przybiegnij z nastawionym aparatem.

- Dobrze, ale bądź ostrożny. I jeśli nie usłyszę wezwania w ciągu pięciu minut, to idę do ciebie.

- Dan. - Przejęty ująłem go za ramię. - To nie western. Ci ludzie to przyjaciele.

- Może kiedyś byli twoimi przyjaciółmi - powiedział cicho, nie patrząc mi w oczy. -

Ale nim się w coś wpakujesz, sprawdź, kim są teraz.

Przytrzymałem jego ramię i odezwałem się po chwili milczenia:

- Zgoda. Pięć minut. A z tyłu leży długi klucz, gdybyś uważał, że może ci się przydać.

Sięgnąłem po ubrudzony, pomięty płaszcz przeciwdeszczowy, po czym otworzywszy drzwi, wyskoczyłem w ulewę. Choć błyskawicznie włożyłem płaszcz i postawiłem kołnierz, to i tak przemokłem do nitki. Otarłem twarz z wody i krzyknąłem do Dana skulonego za przednią szybą:

- Latarka! Daj mi latarkę!

Szybko otworzył drzwi i podał mi latarkę. Popatrzyłem na nią i zobaczyłem zabawkę z uszami Myszki Mickey, dającą tyle światła, co świeczka na torcie urodzinowym. Zły, zmarszczyłem brwi, ale Dan tylko wzruszył ramionami i się skrzywił. Doskonale pasowała do jego stylu.

Zaciskając pod brodą kołnierz płaszcza i kuląc się przed zacinającym deszczem, przeszedłem przez zwirowy podjazd i ruszyłem ostrożnie wokół domu ku podwórku na tyłach. O ile dobrze oceniałem odległość w strugach ulewy, to stajnia znajdowała się p jakieś sto jardów na końcu mokrego, zaniedbanego trawnika obok grupy ciemnych, targanych wiatrem drzew. Otarłem twarz z wody i powoli ruszyłem w kierunku budynku, oświetlając drogę przed sobą wątlmym promieniem światła latarki. Potknąłem się o porzucony, zardzewiały pług i rozdarłem skarpetkę. Chwilę nasłuchiwałem z uniesioną głową, ale dobiegały mnie tylko szum drzew i zaciekle bębnienie deszczu. Ponad głową, w mroku zapadającego zmierzchu, po niebie pędziły chmury niczym czarne duchy podążające na sabat.



Nasłuchiwałem jeszcze przez moment, po czym ruszyłem dalej ku stajni.

Wkrótce znalazłem się przy odrzwiach; były stare, przegniłe i zupełnie mokre.

Uniosłem dziecianną latarkę i w jej świetle ostrożnie obejrzałem cały budynek. Staruszek Pascoe najwidoczniej przestał się o niego troszczyć już wiele lat temu. Pochyły dach się zapadał, pokrywała go gruba warstwa mchu, większość szyb w półkolistych okienkach była potłuczona, wkoło unosił się zapach kurzu i wilgoci.

Przełknąłem ślinę i zawołałem cicho:

- Jim? Alison?

Żadnej odpowiedzi. Jakąś milę stąd, w kierunku stanu Nowy Jork, rozległ się grzmot i zobaczyłem błyskawicę. Deszcz zalewał mi twarz oraz włosy i czułem się jak mały kotek, którego farmer wyrzucił na dwór, by zdechł z wycieńczenia.

Usłyszałem jakieś skrzywienie wewnątrz stajni i niemal podskoczyłem ze strachu.

Poczekąłem kilka sekund, po czym znów zawołałem:

- Jim? Alison? Jesteście tutaj? To ja, Mason!

Dalej czekałem, a krople deszczu skapywały mi z uszu niczym brylantowe kolczyki.

Światło latarki zaczęło blednąć, miałem nadzieję, że baterii wystarczy mi jeszcze na parę minut. Nie marzyłem o spotkaniu w tych egipskich ciemnościach i strugach deszczu z kimkolwiek, nawet jeśli należał do bliskich mi osób. Aż podskoczyłem, gdy wzdłuż budynku z szelestem przebiegł jakiś gryzoń.

Wyglądało na to, że nie ma tu Jima ani Alison. Ale przecież Paul Denton powiedział, że znajdę ich na tyłach stajni, a nie w jej wnętrzu. Trzeba wejść w głąb lasu. Pomyliłem się, sądząc, że skoro rozpętała się tak gwałtowna ulewa, to schronili się w środku.

A jeśli nie potrzebowali schronienia? Może byli martwi? Albo woda stała się ich żywiołem?

Potrząsnąłem latarką, by wydusić z niej więcej światła. W taką noc las wyglądał mało pociągająco. Spośród drzew dobiegały tajemnicze trzaskania niczym zgrzytanie zębów potworów, a pod gałęziami było ciemno i przerażająco.

Głęboko zaczerpnąłem powietrza i ruszyłem w stronę drzew. Ziemię pokrywały mokre liście, połamane gałązki, szyszki jodłowe. W powietrzu unosił się mocny zapach igieł oraz świeży, metaliczny zapach deszczu.

Było tu zaciszniej i deszcz uderzał z mniejszą siłą, choć jego szum przypominał kroki niewidzialnych stóp. Rozłożyłem szeroko ręce, by osłonić twarz przed smaganiem gałązek, i posuwałem się wolno niczym ślepiec. Zatrzymałem się po dwóch minutach marszu i zawołałem:

- Jim? Alison? Tu jestem! Słyszycie mnie?

Żadnej odpowiedzi. Poczekalem chwilę i postanowiłem, że pójdę jeszcze kawałek dalej i jeśli ich nie spotkam, to odwrócę się na pięcie i ucieknę, co sił w nogach. Ogarnął mnie paniczny lęk, byłem sam, a każda kropla deszczu spadająca na ziemię wydawała mi się dźwiękiem kroków nadchodzących potworów. Serce łomotało mi w piersiach, jakby się chciało wyrwać na wolność.

Postąpiłem w głąb lasu. Pod moimi stopami trzaskały gałązki niczym pancerz homara.

Zakasłałem z wysiłkiem, donośnie, choć wcale nie miałem chrypki.

Minęła minuta. Znow się zatrzymałem nasłuchując. Krzyknąłem bez zapału:

- Jim? Alison? Jesteście tam?

Stałem oddychając szybko, płytko. Byłem przerażony i modliłem się, by nikt nie odpowiedział. Wiedziałem, że Jim i Alison kiedyś byli moimi przyjaciółmi. Należała się im ode mnie choć próba niesienia pomocy. Ale wiedziałem też, że znajduję się w środku ciemnego lasu, pełnego niepokojących szmerów, że szaleje burza i za chwilę mam stanąć oko

w oko z przerażającymi stworami. Wcale mi się ta perspektywa nie uśmiechała.

Zawołałem raz jeszcze, by się upewnić, że ich tam naprawdę nie ma. Znów żadnej odpowiedzi, więc odwróciwszy się, ruszyłem w stronę stajni. Latareczka zrobiła co w jej mocy i zaświeciła trochę jaśniej, jakby jej moc rosła, gdy się mniej bałem.

Już niemal dotarłem na skraj lasu, gdy coś usłyszałem. Niski, chrapliwy dźwięk, jakby chrząkało zwierzę. Po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz, zamarłem. Znów dobiegł mnie ten dźwięk, tym razem wyraźniej.

Był niski, gardłowy. I nieludzki. Ale wydawała go istota obdarzona człowieczym mózgiem, bo powtarzała z bolesną powolnością jedno słowo:

- Mason. Maassoonn.

Stałem jak wryty. Ogarnął mnie tak paniczny lęk, że nie wiedziałem, co robić: uciekać czy stać. Nic nie widziałem w ciemnościach wśród przyginanych wiatrem drzew, ale zdawało mi się, że słyszę coś jeszcze innego. Może to gra wyobraźni podsycanej lękiem, ale ten niezwykle dźwięk rozbrzmiewał wyraźnie i donośnie. Szmer kropli deszczu rozpryskujących się na twardym pancerzu.

- Jim? - zapytałem ciekawym głosem. - Jim? To ty?

- Mmaassoonnn - powtórzył głos - poomózz miiii...

- Jim? - zawołałem. - Jim, to ty? Nie widzę cię! Po chwili milczenia odezwał się gardłowy głos:

- Nie... podchodź... Stój... tam, gdzie... jesteś...

Z natężeniem wpatrywałem się w ciemność pod drzewami.

- Jim, jak ci mogę pomóc, skoro cię nie widzę? Czy to ty? Jest z tobą Alison?

- Coś... się... stało... Nie mogliśmy...

Znów zapadło milczenie, potem usłyszałem ciężkie stąpanie przy kępie ostrokrzewów

na skraju lasu. Postąpiłem rażno w tym kierunku, świecąc latarką, by coś zobaczyć wśród ciemnozielonych lśniących liści.

- Jim, jesteś tam? Widzisz moje światło? Po chwili ciszy usłyszałem:

- Taaak... Maasoon. Widzę... Nie... podchodź...

- Co się z tobą stało? Znaleźliśmy Olivera. Przyjechaliśmy was ostrzec, żebyście nie pili wody i go znaleźliśmy.

- Wiemy... o Oliverze... Był... zbyt powolny...

- Jak to? Co się tam stało? Jak on utonął?

- Był... zbyt... powolny... Nie... pił... tak szybko... jak trzeba... Nie... starczyło... mu... czasu... na...

- Jim, na co? Żeby mu wyrósł pancerz? Aby uciekł przed wodą? Skąd ona się tam wzięła? Jak oni napełnili cały pokój?

Cały czas, gdy Jim przemawiał gardłowym, chropowatym głosem, okrążałem kępę krzewów, starając się coś dostrzec. Krzaki rosły tak gęsto i były tak kolczaste, że każdy, kto by się chciał między nimi ukryć, podarłby sobie skórę na strzępy, ale widać Jim znalazł szczelinę w tym gąszczu. Jeśli natomiast pokrywał go pancerz, to mógł się wepchnąć bez najmniejszego draśnięcia między najostrzejsze kolce. Modliłem się, bym się mylił. Modliłem się, by zostało w nim coś z człowieka.

- Gdzie Alison? - zawołałem. - Jest tu z tobą?

- Nie... mogę... powiedzieć...

- Nie wiesz, czy nie chcesz?

- Poszła...

- Co masz na myśli? Dokąd poszła?

- Nie... mogę... powiedzieć...

- No to czego ode mnie chcesz? Przybiegł do mnie śmiertelnie przerażony Paul

Denton i twierdził, że potrzebujesz mojej pomocy. Więc jestem i chce wiedzieć, jak ci pomóc.

Znów zapadło milczenie. Powąchałem mokre powietrze, z całą pewnością czuć było

rozkładającą się rybę. Postąpiłem jeszcze parę kroków w stronę krzewów, ale nabierałem

coraz większej pewności, że absolutnie nie można się między nie wsunąć. Ja nie mogłbym na

pewno.

- To... nastąpiło... tak... szybko - odezwał się chrapliwie Jim.

Zatrzymałem się.

- Co? Co nastąpiło tak szybko?

- Zmiana.

- Jim - mówiłem z naciskiem - jeśli mam ci pomóc, to muszę cię zobaczyć. To, co z

ciebie zrobiła ta woda.

- Jesteśmy... znacznie... mocniejsi...

- Mocniejsi? A cóż siła ma do tego?

- Od... samego... początku... tacy... mieliśmy... być... Uniosłem latarkę i tym razem na

pewno zobaczyłem coś ciemnego, lśniącego, co poruszało się między gałęziami. Pochyliłem

się do przodu, ale nie rozpoznałem kształtów. Otarłszy krople deszczu z powiek i twarzy,

wsunąłem się odrobinę między kłujące ciernie.

- Dopiero... teraz... wiemy... gdzie... jest... prawdziwa... siła... i jak... długo... była...

uśpiona...

- Jim, nie rozumiem, o czym mówisz - rzuciłem niecierpliwie. - Najpierw musisz mi

się pokazać, pokazać, co się z tobą stało. To przecież żadna tajemnica. Widziałem Olivera,

łuski na jego plecach i udach. Wiem, co się z nim stało, a teraz chcę zobaczyć, jak źle jest z

tobą.

- Nic... nie... rozumiesz... Nigdy... nie... pojdziesz... wielkości... starożytnego...

świata...

Odchrząknąłem zdenerwowany.

- Jim, zrób to dla mnie - zacząłem ostrożnie. - Wiem,

że chowasz się w tych krzakach i domyślałem się, dlaczego tam się wcisnąłeś bez

draśnięcia, ale ja tam nie zdołałem się wczłógać, rozumiesz? Czy mógłbyś wystawić na

zewnątrz rękę? Chcę, żebyś wystawił rękę i pokazał mi, jak ona teraz wygląda. Sądzisz, że

tyle dla mnie możesz zrobić?

Deszcz zadudnił tak głośno na liściach ostrokrzewów, że odskoczyłem przerażony.

Głęboko zaczerpnąłem powietrza i zaparłem się stopami w ziemię, ale marzyłem tylko

o jednym: by się odwrócić i uciec, co sił w nogach.

- Nic... z tego... nie... rozumiesz...

- Jim - błagałem. - Nie mogę tu tkwić bez końca, a i szeryf Carter niedługo zacznie

cię szukać. Jeśli sam nie wyjdiesz, on wypłoszy cię z bronią w rękę. Mówię absolutnie serio.

Oboje jesteście podejrzanymi w sprawie śmierci Olivera i dorwą was jak dwa i dwa cztery.

Nie możesz kryć się w lesie do końca życia.

Jim nie zwrócił uwagi na moje słowa, tylko ciągnął dziwnym, niewyraźnym

głosem:

- Ten... dzień... zapowiadano... przed... tysiącami... lat... Byłem zupełnie mokry i

przerażony.

- Jim, przestań opowiadać takie rzeczy i posłuchaj! Proszę, tylko posłuchaj. Chcę,

żebyś stamtąd wyszedł, bo w przeciwnym razie oni ciebie zabiją.

W zaroślach rozległ się trzask, odskoczyłem zatrwożony. Błagałem Jima, by wyszedł i

mi się pokazał, ale w głębi duszy trząsałem się ze strachu, że spełni moje prośby i ujrzę go w

całej okazałości. Sądząc po niewyraźnym, chrapliwym głosie, z Bodine'em stało się coś strasznego, a ciężkie sapania, dobiegające z zarośli, brzmiały jeszcze bardziej przerażająco. Zrobiłem krok do tyłu, później następny i jeszcze jeden - stanąłem w bezpiecznej odległości i czekałem na pojawienie się mego dawnego znajomego.

Nie usłyszałem za sobą chrząkania ani szelestu gałęzi. Nie usłyszałem nawet skradających się stąpań na ziemi pokrytej liśćmi. Zrobiłem kolejny krok do tyłu i wtedy za gardło chwyciło mnie coś potwornego, jakby żelazne szczypce. Były twarde, umięśnione, długości ramienia dorosłego mężczyzny i przynajmniej trzy razy grubsze. Złapały mnie za ramiona, po czym poderwały z ziemi tak gwałtownie i brutalnie, że nawet nie zdążyłem krzyknąć. Gdy przebierałem nogami w powietrzu, pomyślałem tylko, że za ułamek sekundy moja głowa zostanie urwana i będzie po wszystkim.

Huśtałem się nad ziemią, dławiąc i krztusząc, a kleszcze przypominające imadło coraz mocniej zaciskały się na moim gardle. Chwyciłem je obiema dłońmi i choć ciągnąłem z całych sił, nawet nie drgnęły.

Gwałtownie próbowałem zaczerpnąć powietrza, ale ucisk na tchawicę był zbyt silny. Ciemny las jeszcze bardziej pociemniał. Przed oczami zawirowały mi gwiazdy. Chyba zdołałem raz wydusić: "Dan!", ale tak słabym głosem, że na pewno mnie nie usłyszał. Szczypce z zamachem cisnęły mnie o pień drzewa, próbując roztrzaskać na kawałki, i poczułem ostry ból, gdy drugie mniejsze kleszcze zaczęły macać mnie po plecach w poszukiwaniu łatwiej dostępnych, bardziej miękkich narządów.

Wokół mnie panowała absolutna ciemność, czułem tylko wszechogarniający ból i byłem pewien, że umieram. Nie wiem, jak długo to trwało, zapewne ułamki sekund, gdy nagle rozległ się trzask i kleszcze rozluźniły chwyt wokół mojej szyi. Głęboko zaczerpnąłem zimnego powietrza, które cuchnęło rozkładającą się rybą. Rozległ się odgłos kolejnego ciosu,

trzask i pisk, który przeraził mnie tak bardzo, że się szarpnąłem i potoczyłem po mokrej trawie. Teraz nieludzki pisk był tak przepełniony zwierzęcą wściekłością i bólem, że musiał pochodzić z gardła bestii porośniętej czarną szczeciną.

W mroku niewiele widziałem, ale dostrzegłem zarys sylwetki Dana i jego lśniąca łysinę. W ręce uniesionej nad głową dzierżył największy z moich kluczy. Wołał: "Iaa! Iaa!" głosem, który miał brzmieć przerażająco, ale wysoki ton zdradzał paniczny strach.

W ciemnościach za nim dostrzegłem coś jeszcze: krępą i ciężką postać, która wolno poruszała ramionami niczym stworzenia zwykle żyjące w głębinach morskich. Ten ruch przypominał mi bezskuteczne wysiłki żywych homarów leżących na ladzie w sklepie rybnym, tylko że stwór wzrostem dorównywał wyrośniętemu mężczyźnie i był bardzo silny. Teraz uciekał w głąb lasu.

Zakręciło mi się w głowie, usiadłem na ziemi, rozcierając posiniaczoną szyję, i z trudem łapałem powietrze. Dan podszedł do mnie i położył na ziemi klucz.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. - Myślałem, że to diabelstwo rozerwie cię na strzępy.

- Nie ty jeden tak myślałeś. Przyjrzałeś mu się dobrze? Pokręcił głową.

- Nie, widziałem tylko szczypcę i dużą, kościstą głowę. Nawet go dobrze nie obejrzałem, tylko się zamachnąłem kluczem i modliłem, żeby cię puścił.

- Bogu dzięki, że to zrobiłeś. Jeszcze chwila, a by mnie załatwił.

Dan przyglądał mi się uważnie w mroku, starając ocenić, czy jestem bardzo poraniony.

- Krwawisz? - zapytał. Pokręciłem przecząco głową. - To dobrze, wracajmy do samochodu. Lepiej się tu nie szwendać bez potrzeby.

Pomógł mi wstać. Byłem przerażony i chwiałem się na nogach, ale mogłem iść o własnych siłach.



- Nie zapomnij o kluczu - zwróciłem się do Dana. - Narzędzia kosztują fortunę.

Wyczłapaliśmy z lasu i okrążyliśmy podwórko starego Pascoe. Gdy wyszliśmy spod osłony drzew, deszcz uderzył w nas ze zdwojoną siłą i nim dotarliśmy do samochodu, byliśmy kompletnie przemoczeni. Wsunąłem się na przednie siedzenie i zatrzasnąłem drzwi.

- Na pewno możesz prowadzić? - spytał Dan.

- Czuję się dobrze - odparłem rozcierając kark. - Przynajmniej w miarę dobrze. Ten stwór tylko trochę mnie przydusił.

- To było jedno z nich? Jim czy Alison?

- Tak myślę. - Przełknąłem ślinę. - Raczej Alison. Kiedy to się stało, rozmawiałem z Jimem.

- Rozmawiałeś z Jimem? Czy go widziałeś?

- Nie. Ukrył się w samym środku kępy kłujących krzewów. Nawet mi się nie udało zobaczyć zarysu sylwetki.

Dan wytarł mgiełkę z okna samochodu i zapatrzył się w ciemność i deszcz.

- Wiesz co - odezwał się po chwili - walenie w tego stwora przypominało rozcinanie chrupkiej skórki na chlebie. Kiedy uderzyłem po raz drugi, to nawet zachrobotąło.

- Miałem wrażenie, że go zraniłeś.

- Gdybym wiedział, że to Alison... Przerwałem mu unosząc dłonie.

- Gdybyś wiedział, że to Alison, zrobiłbyś dokładnie to samo. A ze słów Jima wynika, że oni nie są już tymi samymi ludźmi, którymi byli kiedyś. To nie znani nam Jim i Alison. I nie przebrali się w stroje maskaradowe, zmieniły się nie tylko ich ciała, ale również sposób myślenia. Jim nie odpowiedział na żadne z pytań, które mu zadałem, tylko mamrotał, że go nie rozumiem i nie pojmem tego, co robi.

- Może doznali głębokiego urazu psychicznego. - Dan popatrzył na mnie poważnie. -

Gdyby któryś z nas uległ tak drastycznej i okropnej przemianie, jaka im się zdarzyła...

- Moim zdaniem nie na tym polega problem - odparłem. - Całkowicie zmieniło się ich podejście do podstawowych spraw, rzeczy. Jim zachowywał się spokojnie, mówił logicznie, z sensem, tylko że opowiadał o wielkości starożytnego świata i że ten dzień zapowiadano przed tysiącami lat.

Dan zmarszczył brwi.

- Wielkość starożytnego świata? A skąd u Jima Bodine'a zainteresowanie starożytnością?

- To właśnie próbuję wyjaśnić. Jim Bodine nigdy się nie interesował starożytnością ani żadnymi przepowiedniami czy prorocत्वami. Był prostoduszny, zwyczajny, praktyczny. A teraz zmienił się w kogoś zupełnie innego, zarówno fizycznie, jak i umysłowo. Ale chyba traktuje to spokojnie. Zagadywał mnie, kiedy Alison zaszła od tyłu. Zachowywał się przebiegle, zmierzał wprost do celu. Tylko mnie nie pytaj, co to za cel albo co on próbował osiągnąć, bo nie wiem.

Na tylnym siedzeniu Shelley wylizywał futerko gwałtownymi ruchami. Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, tylko deszcz szeleścił na zewnątrz, a kot mlaskał języczkiem.

W końcu Dan odezwał się pierwszy:

- I co teraz? Ostrzec Cartera? Oni najwyraźniej mają mordercze zamiary, choć nie znamy powodów ich działania.

Pokiwałem głową.

- Myślę, że tak musimy zrobić.

Zapaliłem silnik i włączyłem wycieraczki. Gdy już miałem ruszać, z tyłu samochodu dobiegł głośny stuk. Odwróciłem się zdziwiony, sądząc, że o coś zahaczyłem zderzakiem.

Ku swemu przerażeniu ujrzałem, jak cała tylna szyba rozpryskuje się w drobny mak i przez otwór wsuwają się ogromne, czarno-zielone kleszcze, które sięgają w naszym kierunku, z łoskotem roztrącając wrzucone do bagażnika narzędzia, rury i blachy.

- To oni! - wrzasnął Dan. - Uciekajmy! Wdepnąłem pedał gazu, tylne koła zabuksowały na mokrym żuźlu. Gdy samochód gwałtownie ruszał, szczypce chwyciły za tylne drzwi i wyrwały je z zawiasów z przenikliwym chrzęstem, od którego piekielne ciarki przeszły mi po grzbiecie. Pędziłem jak szaleniec ku głównej drodze i błagałem wszystkich świętych, by te stwory nie potrafiły szybko biegać. Gdy samochód podskoczył na ostatnim wyboju, w mroku zamajaczyła druga krępa sylwetka. Ujrzałem wzniesione do ataku szczypce.

Próbowałem ją ominąć. Skręciłem kierownicę, spod kół trysnęła fontanna żwiru. Nie udało się. Potężne kleszcze strzaskały przednią szybę. Posypały się odłamki szkła.

- Jezu! Moja twarz! - krzyknął Dan.

Ja jednak nie odrywałem wzroku od potwora, który teraz próbował dosięgnąć bocznych drzwi.

Nacisnąłem gaz do dechy, silnik zawył. Szczypce utrzymały drzwi tylko przez moment. Blacha ustąpiła, a okno od mojej strony rozprysło się na tysiące kawałków. Kleszcze załomotały po karoserii. Silnik o mało nie wyskoczył spod maski, gdy wjechaliśmy na drogę.

Zarzuciło nas na zakręcie. Z rozerwanego bagażnika posypały się rury i narzędzia.

Skierowałem się ku New Milford i posterunkowi szeryfa. Gnałem tak szybko, jak pozwalały mi na to deszcz i wiatr zacinające przez wyrwane okno.

Dan całą drogę powtarzał tylko:

- Jestem ranny. Cholera, moja twarz. Ranny.

## **ROZDZIAŁ 5**

Kiedy przyjechaliśmy do biura szeryfa, wszędzie panowało potworne zamieszanie. Na ulicy stało sześć czy siedem samochodów policyjnych z włączonymi kogutami. Gdy zaparkowałem pogruchotany wóz obok nich i przepchnęliśmy się do holu przez wahadłowe drzwi z mlecznymi szybami, powitały nas natarczywe dzwonki telefonów, bieganina zaaferowanych policjantów i ostre światło jupiterów ekipy telewizyjnej.

Przecisnąłem się do kontuaru, za którym młoda policjantka o zmęczonej twarzy starała się w miarę sprawnie obsługiwać centralkę telefoniczną. Dan kroczył też za mną, trzymając przy policzku zakrwawioną chusteczkę. Rana co prawda nie była poważna, lecz atak potwora bardzo Danem wstrząsnął.

- Muszę rozmawiać z szeryfem - zwróciłem się do policjantki. - Nazywam się Mason Perkins. Szeryf wie, kim jestem.

Dziewczyna popatrzyła na mnie jak na szaleńca.

- Szeryf nie będzie teraz z nikim rozmawiał. Z nikim - podkreśliła.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, że mam niezwykle pilną sprawę?

Przerwała jedno połączenie telefoniczne i natychmiast łączyła następne.

- Bardzo mi przykro, ale wszyscy zupełnie poszaleli, a szeryf Wilkes ma pełne ręce roboty.

Rozejrzałem się dokoła. W powietrzu było aż szaro od dymu papierosów palonych przez oczekujących dziennikarzy. Hałas, jaki robili, niemal mnie ogłuszył. Obsługa kamer telewizyjnych włączała i wyłączała reflektory, przestawiała sprzęt, telefony dzwoniły uparcie, choć nikt ich nie odbierał.

- Co tu się dzieje? - spytałem dziewczynę. - Ostre pogotowie?

- Przykro mi, ale nie wolno mi udzielać informacji. Jak tylko szeryf Wilkes będzie miał chwilę czasu, natychmiast dam mu znać, że pan tu jest.

Zdenerwowany odszedłem od kontuaru. Natychmiast zauważyłem starego kumpla od kielicha, Jacka Balio, dziennikarza lokalnej gazety, który stał oparty niedbale o framugę drzwi, z papierosem w kąciku ust i zielonym tyrolskim kapelusikiem zsuniętym na tył głowy.

- Poczekaj chwilę - rzuciłem Danowi i przepychając się przez tłum policjantów i reporterów dotarłem w drugi koniec holu.

Jack zobaczył, że się zbliżam, i uniósł dłoń w geście powitania.

- Jak leci? - spytał, gdy przesunąłem się obok grubego policjanta.

- Świetnie - odparłem. - Przynajmniej ja tak uważam. Co się, u licha, tu dzieje?

- Nic nie słyszałeś? Wyjątkowo okropne morderstwo w Washington Depot.

Dziewczynka została niemal rozerwana na strzępy.

- Ktoś znajomy?

Jack wyciągnął notes z kieszeni wymiętego płaszcza i przerzucił parę stron.

- Wątpię. Z rodziny Steadmanów, przeprowadzili się tu zaledwie parę tygodni temu.

- Mają jakiś trop? Pokręcił głową.

- Wygląda na robotę zbrojnego. I mam na myśli prawdziwego maniaka. Skręcił jej

kark, poszarpał całe ciało, wyrwał większość narządów wewnętrznych. Oddział śledczy jeszcze ich szuka w pobliżu miejsca, gdzie ją znaleziono. Serce, wątroba, płuca, wszystko wybebeszone. W ustach mi zaschło, jakbym palił przez cały dzień papierosy i nie wypił ani łyka wody. Czułem, jak mi drży lewa powieka ze zmęczenia i nerwów.

- Ktoś jest podejrzany? Carter coś wspominał? - zapytałem.

Jack uniósł brew.

- Mam nadzieję, że mi zapłacisz za informacje, najchętniej w płynnej, wysokoprocentowej walucie.

- Jack, posłuchaj, to naprawdę bardzo ważne. Chyba wiem coś więcej o tej sprawie.

Powiesz mi, o co chodzi?

- Puszczę farbę, jeśli ty obiecasz mówić.

- Umowa stoi - zgodziłem się. - A teraz wal szybko, prosto z mostu.

Jeszcze raz zajrzał do notesu.

- No więc - zaczął z wolna - wygląda na to, że zniknęły trzy osoby mieszkające w okolicach drogi 109: Jim i Alison Bodine'owie, którzy są poszukiwani w związku ze śmiercią ich syna, oraz mężczyzna Frederick Karlen, który parę dni temu przyjechał w odwiedziny do ciotki. Ona się nazywa Elsa Greene i twierdzi, że Frederick to uroczy, spokojny człowiek.

- Czy wspominała, że pił wodę - zapytałem. Jack zmarszczył brwi.

- Wodę? A cóż to ma wspólnego z całą sprawą?

- Jeszcze nie wiem. Ale czy ją o to pytałeś?

- Nie pamiętam. - Jack wyglądał na zakłopotanego. - Przecież takich pytań nie zadaje się ludziom, którym właśnie zaginął siostrzeniec, no nie?

Myślałem intensywnie przez chwilę, przyciskając dłoń do czoła.

- Ktoś to powinien był zrobić. Przede wszystkim Carter. Mam nadzieję, że nie zapomniał.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że to zabójstwo jest powiązane z zatruciem wody?

- zagadnął ostrożnie.

- Nic takiego nie twierdzę.

- Mason, daj spokój, przecież zawarliśmy umowę. Jesteś hydraulikiem, nie? Co tutaj robisz, jeśli śmierć dziewczyny nie łączy się ze skażeniem wody?

Popatrzyłem mu prosto w oczy.

- Czy obiecasz, że nie puścisz pary z ust, dopóki ci nie pozwolę?

- Nie wiem, czy mogę ci to przyrzec.

- Albo obiecasz, albo będę milczał.

- No dobrze - westchnął. - Tylko pamiętaj, żeby mnie ktoś nie uprzedził z drukiem.

Co się dzieje?

Starannie doбираłem słowa.

- Istnieje podejrzenie - załedwie podejrzenie - że zatrucie wody stało się przyczyną śmierci zarówno Olivera Bodine'a, jak i dziewczyny. To nie jest całkowicie pewne, ale Dan Kirk zbadał próbki i odkrył w nich bardzo dziwne rzeczy.

- Jakie dziwne rzeczy?

Przełknąłem ślinę. Nie powinienem był nawet o tym wspominać Jackowi, ale to stary przyjaciel, choć zarazem niepoprawny plotkarz, i teraz mógłby mi pomóc, zwłaszcza jeśli szeryf Wilkes nie znajdzie dla mnie czasu i nie dowiem się, co ustaliła policja.

- Woda zawiera nie zidentyfikowane mikroorganizmy. Jack wyjął długopis i nakreślił w swoim notesie kilka znaczków stenograficznych.

- Coś jeszcze? - zapytał. Zaprzeczyłem.

- Tyle wiem. Ale kiedy Dan zakończy badania, wyniki mogą okazać się szokujące.

- Wiec, co to za mikroorganizmy? - dopytywał się Jack.

- To on jest naukowcem, nie ja. Nawet gdyby mi powiedział i tak bym tego nie zrozumiał.

- Na pewno ci nie wspomniał o jakiejś hipotezie roboczej?

Zerknąłem na tłum w holu i na czekającego na mnie Dana, który co jakiś czas ocierał zraniony policzek.

- To ostrożny facet - zwróciłem się do Jacka. -

Kiedy ostatecznie zidentyfikuje te organizmy, to chyba mi powie, a wtedy ja ci wszystko powtórzę. Ale wcześniej ani pary z gęby, dobra? Jeśli to pomyłka i ty to

wydrukujesz, zrobisz z siebie idiotę, a Carter rozerwie mnie na strzępy. Jack schował notes do kieszeni.

- Zgoda, Mason. Zaufam ci tym razem. Ale jeśli się coś wyjaśni, chcę o tym wiedzieć w tej samej sekundzie, w której ty o tym usłyszysz, jasne?

Skinąłem potakująco i zacząłem się przepychać między rozkrzyczanymi dziennikarzami i policjantami. Kiedy stanąłem przy Danie, uśmiechnął się blado.

- Świetnie trafiłeś, już miałem zemdleć.

- Weź się w garść - odparłem. - Jesteś mocny jak tur. Może i łysy tur, ale mocny.

Wiesz, co się tu dzieje? Doszło do następnego morderstwa. Dziewczyna została rozszarpana na strzępy, tu w okolicy. Nic nie bujam: dosłownie rozszarpana.

Dan gapił się na mnie, w końcu zamrugał powiekami.

- Rozszarpana? Co to za jedna?

- Nie znamy jej. Nazywała się Steadman. Jej rodzina sprowadziła się tu parę tygodni temu. Jack twierdzi, że to wygląda na robotę zbrojnego. Rozerwana na kawałki, zniknęły jej organy wewnętrzne.

- Jezu! - Dan zbladł jak ściana. Podtrzymałem go za ramię, żeby nie upadł.

Choć wkoło rozbrzmiewały okrzyki, polecenia i dzwonki telefonów, powróciło do mnie wspomnienie tych ciemnych, straszliwych sekund w lesie za zagrodą starego Pascoe.

Znów poczułem twardy uścisk gigantycznych kleszczy na gardle i dotyk mniejszych, które macały mnie po plecach i brzuchu, szukając miękkich, łatwo dostępnych organów.

Przypomniałem sobie bajkę, którą czytał mi w dzieciństwie ojciec: był w niej opis ciała utopionego pirata, którego twarz zmieniła się w szarą maź, a we wnętrzościach zamieszkały setki krabów.

- Czy myślisz o tym samym co ja? - zapytałem Dana.



- Że to właśnie Jim lub Alison mogli zabić dziewczynę? - Rzucił mi szybkie, ponure spojrzenie. - Tak, o tym myślałem.

- A więc musimy natychmiast porozmawiać z Carterem. Może byś tak roztoczył trochę swojego nieodpartego uroku naukowca i poczarował tę panią policjantkę, a ja przekradnę się do korytarza i zobaczę, czy uda mi się zamienić słówko z szeryfem?

- Nikt się nie nabierze na mój wdzięk. - Dan się skrzywił. - Popatrz na to rozcięcie.

- Śmieszny jesteś, tylko ci przydaje uroku - zapewniłem go. - Wyglądasz jak Douglas Fairbanks Jr. po ciężkim pojedynku na szpady, ot co.

- Dobra - westchnął. - Zrobię, co w mojej mocy. Ruszyliśmy w przeciwnie strony i gdy Dan pochylił się nad kontuarem, by zabawić młodą policjantkę błahą rozmową, ja precyzyjnie przeczesałem się przez tłum w holu i dotarłem do zamkniętych drzwi z mlecznej szyby z gustownym czarnym napisem: "Gabinet szeryfa. Nie wchodzić".

Stałem przed nimi, rozejrzałem się, czy żaden z policjantów nie patrzy w moją stronę, uchyliłem je nieco i wsunąłem się do środka. Poczekalem chwilę, by się upewnić, czy nikt nie rusza za mną w pogoń, ale nikogo nie zobaczyłem, więc szybko, na palcach, poszedłem starannie wyfroterowanym korytarzem, który prowadził do wydziału drogowego, sali odpraw i królestwa Cartera Wilkesa.

Przez uchylone drzwi do jego gabinetu waliły kłęby dymu papierosowego niczym obłok gazu łzawiącego. Szeryf zwołał widać naradę wojenną, bo pokój wypełniali zastępcy i policjanci w mundurach. Gdy zerknąłem do środka, by zobaczyć, co się tam dzieje, ujrzałem mapy, plany oraz stosy teczek i zeznań.

Carter, potężny, z wydatnym brzuchem, spocony pod pachami, wpatrywał się z napięciem przez okulary w mapę Washington Depot i okolicznych wzgórz.

- Ten teren musi być dokładnie przeszukany - mówił chrapliwie - krok po kroku,

wzgórza, doliny, wszystko. Chłopcy, jak skończycie robotę, muszą wiedzieć, że każdy liść czy papierek od cukierka został sprawdzony.

Zadzwonił telefon na biurku, Wilkes podniósł słuchawkę. Wszyscy czekali w napięciu, gdy odpowiadał rozmówcy:

- Taa, rozumiem. Dobra, dobra... Wiem.

Odłożył słuchawkę na widełki i zdjawszy okulary, rozejrzał się po pokoju.

- To z biura koronera. Zrobili wstępną sekcję zwłok Susan Steadman. Została uderzona jakimś mechanicznym przyrządem, który złamał jej kark i zmiażdżył dolną szczękę. Nie wiedzą, co to mogło być ani jak działa, ale ich zdaniem nacisk wynosił około tysiąca funtów. Kiedy dziewczyna upadła na ziemię, została rozszarpana tępym narzędziem. Może łopata. Nie mają najmniejszego pojęcia, jak dokonano morderstwa, szacunkowo wyznaczają czas śmierci na trochę po dwunastej w południe.

- Napastowana seksualnie? - spytał szczupły, młody oficer z długim nosem.

- Nie. Bielizna nie tknięta, żadnych śladów penetracji.

- Czego brakuje? - zapytał inny policjant. - Pieniędzy? Biżuterii? Coś z tych rzeczy?

Carter Wilkes przecierał okulary kawałkiem miękkiego materiału.

- Susan Steadman miała przy sobie cztery dolary osiemdziesiąt pięć centów w portmonetce haftowanej we wzory indiańskie oraz zegarek wart dwanaście dolarów. Obie rzeczy znaleziono przy niej.

- Czyli jak dotąd brak jednoznacznego motywu? - wtrącił pierwszy oficer.

Carter potaknął, ale nawet nie spojrzał w kierunku mówiącego. Sprawiał wrażenie przygnębionego i zamyślnego, jego zachowanie nie przypominało zwykłego, szorstkiego i aroganckiego sposobu bycia. Miał się nad czym głowić. Zwykle morderstwo to twardy orzech do zgryzienia, a cóż dopiero takie jak te obecnie.

- Szeryfie? Czy mogę coś powiedzieć? - spytałem dobitnie.

Carter podniósł wzrok. Nie wydawał się zdziwiony czy zirytowany moją obecnością.

- O co chodzi, Mason? Masz jakieś informacje od Dana?

- Udało mi się znaleźć Jima i Alison Bodine'ów. Widziałem ich pół godziny temu przy zagrodzie starego Pascoe.

Przez pokój przebiegł szmer zdumienia, ale Carter gestem poprosił o ciszę.

- Przywiozłeś ich ze sobą? - spytał. - Nic im nie jest? Pokręciłem przecząco głową.

- Zostali w lesie. No, przynajmniej myśmy ich tam zostawili. Daleko im do normalności.

- A cóż, u diabła, to znaczy? Wejdz i mów, o co chodzi? Dwóch oficerów przesunęło się nieco, tak że zdołałem się wsunąć do wnętrza zadymionego, dusznego pokoju. Powiodłem wzrokiem po młodych, uczciwych twarzach, po schludnych mundurach i poczułem się niczym na kiepskim filmie kryminalnym. Odezwałem się mocno skrępowany:

- Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, że wtargnąłem tutaj nieproszony.

Carter oparł dużą stopę w czarnym bucie na siedzeniu krzesła i wetknął wykałaczkę między zęby. Rzucił ostrym tonem:

- Mason, powiedz nam tylko, co masz na wątrobie, to wystarczy.

Przełknąłem ślinę.

- Paul Denton ich odnalazł. Nie wiem, jakim sposobem natrafił na Jima i Alison ani dlaczego wysłali go po mnie, ale dotarł do mojego domu.

- Nic mi wcześniej o tym nie wspominałeś - warknął szeryf.

- Hmm, prawda i teraz żałuję. Ale Paul uparcie twierdził, że Jim i Alison nalegali, by policję trzymać od tego z daleka, więc zdecydowałem posłuchać. Nie chciałem ich wystraszyć.

Carter wzniósł oczy ku niebu.

- Nie chciał ich wystraszyć. Czyż to nie wspaniałe? Idzie się spotkać z dwojgiem poszukiwanych, którzy są podejrzani o zamordowanie własnego syna, i nie chce ich wystraszyć powiadomieniem policji.

- Posłuchajcie - przerwałem. - To dopiero początek. Wiesz, co się stało z Oliverem?

No więc to samo przydarzyło się jego rodzicom. Tyle że w ich wypadku cały proces przebiegł do samego końca.

Tylko Carter i ja wiedzieliśmy, co mam na myśli. Zgromadzeni popatrzyli po sobie i zrobili zdumione miny, po czym skierowali spojrzenia na nasze twarze i próbowali z nich wyczytać, o co chodzi.

Carter przyjrzał mi się uważnie.

- Cały proces? Wszystko? Całkiem?

- Obaj ich widzieliśmy: Dan Kirk i ja. Spotkaliśmy się z nimi w lesie na tyłach zagrody starego Pascoe. Tam się na nas zaczaili.

- Zaczaili? Cóż to znaczy?

Rozpiąłem kożuszek i guziki koszuli. Policjanci z fascynacją obserwowali mnie w milczeniu. Gdy odchyliłem ubranie, ujrzeli ślady, które zostawiło stworzenie, będące kiedyś Alison Bodine. Przez górną część torsu, szyję i prawe ramię biegły dwa rzędy czerwono-fioletowych sińców o nieregularnych kształtach. Gdy sam przyjrzałem się własnemu ciału, zrobiło mi się równie słabo, jak wcześniej Danowi. Do złudzenia przypominałem ofiarę pobicia łańcuchem rowerowym.

- To naprawdę zrobili Bodine'owie? - zapytał zdumiony Carter.

- Nie oboje Bodine'owie, lecz Alison, jeśli się nie mylę. Jeden z oficerów, blady, niski blondyn o włosach gęstych i krótko ostrzyżonych na jeża, wetknął w usta papierosa, zapalił

go i rzucił pytanie:

- Jakiej użyli broni? Mocny bat? Łańcuch?

- Nic z tych rzeczy - odparłem. - Alison Bodine użyła jedynie gołej ręki, choć tylko wariat nazwałby to "ręką".

- Te ślady bardzo przypominają obrażenia na zwłokach Susan Steadman - odezwał się inny z policjantów. - Tylko że jej były znacznie gorsze.

- To właśnie próbuję wam uświadomić. Moim zdaniem to Bodine'owie mogli dokonać tego zabójstwa - powiedziałem.

Carter podnosząc wzrok, zwrócił się do zgromadzonych:

- Jerry, Martino, zbierzcie około dwudziestu uzbrojonych ludzi. I to szybko.

- Zgadzasz się z moim zdaniem? - spytałem. Sięgnął po kapelusz leżący na wierzchu szafki i zdecydowanym ruchem wcisnął go na głowę.

- Nie wiem, czy masz rację, czy nie. Może robisz sobie, jak zwykle, żarty. Ale jeśli po rozmowie z Bodine'ami doszedłeś do wniosku, że to oni zabili Susan Steadman i wykończyli własnego syna, to moim obowiązkiem jest pędzić do zagrody starego Pascoe i dopaść ich, nie uważasz? Do diabła, to znacznie lepsze od siedzenia tutaj i wgapienia się w mapy. - Zapiął pas z pistoletami. - Trenton - rzucił rozkazująco - pod moją nieobecność przejmujesz dowodzenie nad poszukiwaniami w okolicy. Ken, zostajesz przy radiu i zapewniasz stały kontakt. Ruszamy prosto na miejsce, gdzie Mason widział po raz ostatni Bodine'ów, tam się rozproszymy i zaczniemy poszukiwania. Zawiadom Huntleya, żeby przygotował dla mnie wszystkie psy.

Przetarłem oczy, które mnie piekły od gęstego dymu papierosów.

- Radziłbym raczej postarać się o koty - wtrąciłem. - Shelley dostaje szału, gdy tylko poczuje ten rybi zapach.

Kiedy wszyscy zaczęli się już zbierać do odejścia, porządkować papiery i w pośpiechu dopijać kawę, odezwał się blady oficer.

- Szeryfie, chciałbym o coś zapytać. Mam wrażenie, że coś tu nie gra.

- Nie gra? - warknął Carter. - O czym ty mówisz?

- Ze słów pana Perkinsa - ciągnął dalej niezrażony - wywnioskowałem, że Jim i

Alison wyglądają teraz inaczej niż dotychczas. Poza tym pan Perkins twierdzi, że ślady na jego ciele zostały zrobione ręką Alison Bodine.

Carter zerknął na mnie, a ja tylko wzruszyłem ramionami.

Wiedzieliśmy, że całemu New Milford i okolicy grozi ogromne niebezpieczeństwo i że nie uda się długo utrzymać tego w tajemnicy. Szeryf po chwili milczenia westchnął głęboko i położył na biurku plik papierów, które trzymał w dłoni. W pokoju rozległ się szelest stóp, ktoś zakasłał.

- Wcześniej czy później i tak wszystko wyjdzie na jaw - burknął. - Do tej pory nie puściłem pary z gęby w obawie przed niepotrzebną paniką. Nie chciałem, by ludzie biegali wokoło jak opętani, wykrzykując, że wylądowali Marsjanie czy inne takie bzdury. Ale rozwój wypadków wskazuje, że się myliłem i wszyscy tu zgromadzeni mają prawo dowiedzieć się prawdy. - Popatrzył w moim kierunku, a ja zachęcająco skinąłem głową. Obliznął wargi i ciągnął: - Chcę, abyście na razie zachowali to wyłącznie do własnej wiadomości. Jutro poinformujemy prasę i telewizję. Mam nadzieję, że przed świtem złapiemy morderców, bo tylko w ten sposób możemy uniknąć znacznie poważniejszych kłopotów. - Zrobił krótką przerwę i kontynuował cichszym głosem: - Muszę stwierdzić, że w wyglądzie Jima i Alison Bodine'ów nastąpiła bardzo dziwaczna przemiana. Nie pytajcie mnie, jaka lub dlaczego, ale zapewniam was, że tak się stało. Zamiast skóry mają twardą, chitynową powłokę i z tego, co twierdzi Mason, wynika, że mają również szczypce jak kraby czy homary.

Przez chwilę panowała cisza pełna niedowierzania. Po czym jeden z policjantów zachichotał, inny zaś wykrztusił:

- Homary?

- Słyszeliście - twardym tonem, z gniewem odparł Carter. - Mają pancerze i szczypce i skoro atakują ludzi, a przecież napadli na Masona, to rzecz jasna, są niebezpieczni.

- Trochę trudno w to uwierzyć - zauważył blady oficer. - Czy to są fakty, czy tylko podejrzenia?

- Williams - burknął szeryf, wpatrując się w policjanta. - Uważasz mnie za naiwnego? Po tylu latach wspólnej służby sądzisz, że jestem idiotą?

- Nie, panie szeryfie.

- Nie, panie szeryfie - przedrzeźniał Carter. - Więc jeśli wam mówię, że Jim i Alison Bodine'owie wyglądają teraz jak kraby, to, do cholery, właśnie tak wyglądają. Macie wierzyć w to, co mówię, i robić, co każę, a wyjdziecie z tego z tyłkiem w całości. Najpierw ich znajdźcie i dostarczcie tutaj, a jak to zrobicie, to sobie podyskutujemy na temat ich wyglądu.

- Tak jest - odparł Williams.

- Chyba powinniśmy wziąć pod uwagę jeszcze jedną rzecz - wtrąciłem.

- Co znowu? - spytał Carter, biorąc papiery z biurka.

- Z Sherman do Washington Depot jest parę mil i zastanawiam się, jak Jim i Alison przedostali się tam nie zauważeni.

- Co masz na myśli? - dopytywał się zniecierpliwiony Carter, który chciał już ruszać w noc ze strzelbami, psami i oddziałem policji.

Rozejrzałem się po pokoju. Zgromadzeni najwyraźniej mieli już dość moich rewelacji.

Widząc ich surowe, wyczekujące twarze, wahałem się przez kilka sekund, nim zacząłem mówić.

- Może to ten Karlen zabił dziewczynę - powiedziałem cicho. - Był bliżej Washington

Depot, prawda? A to przecież gość, który mógł nie słyszeć o zakazie picia wody ze studni.

- Pytałem jego ciotkę, czy pił wodę - odparł Carter spokojnie. - Sądzi, że raczej nie pił.

- Raczej? A jeśli nie widziała?

- Nie wiem, Mason. I w tej chwili wolałbym raczej zająć się szukaniem Jima i Alison Bodine'ów, niż zastanawiać się, czy czyjś marnotrawny siostrzeniec popijał wodę ze studni.

- Ale to może być on - upierałem się. - Równie dobrze mógł to być Karlen, jak Jim czy Alison. A nawet bardziej prawdopodobne, że on, skoro znajdował się bliżej miejsca morderstwa. On też się mógł zmienić w człowieka-kraba.

Carter otarł dłonią pot z czoła.

- Dobrze, Mason, przekonałeś mnie. Karlen też mógł ulec przemianie. Jeśli tak się stało, a on nadal znajduje się w pobliżu miejsca przestępstwa, to moi ludzie go znajdą. Ale teraz najważniejsze, żeby ruszyć za Jimem i Alison, nim stracimy trop.

- Dobra, zgoda - powiedziałem. - Ale bez paniki. Choć wyglądają teraz inaczej, nie chciałbym, żebyście ich zabili. Myślę, że Alison już została zraniona. Dan Kirk wyratował mnie z opałów, używając największego klucza do rur z mojej kolekcji, i twierdzi, że przy uderzeniu słyszał chrzęst pękającego pancerza.

Carter skinął głową, a jeden z zastępców mruknął pod nosem:

- To idiotyzm. Całkowity idiotyzm.

- Bez komentarzy. Ruszamy do akcji - odparł szeryf. Wyszedł z gabinetu, a za nim wysypali się policjanci.

Rozpoczęła się akcja poszukiwania Bodine'ów. Zostałem sam i słuchałem dzwoneków telefonów, trzasku otwieranych i zamykanych drzwi oraz natarczywych pytań, kierowanych



przez dziennikarzy do Cartera, który wraz ze swoją świtą oficerów pojawił się w wahadłowych drzwiach na końcu korytarza. Po chwili rozlegały się już tylko gorączkowe rozmowy dziennikarzy telefonujących do swoich redakcji. W zaśmieconym, opustoszałym gabinecie szeryfa pozostała woń starego dymu papierosowego i ludzkiego potu.

Usłyszałem, że wahadłowe drzwi znów się otwierają, w korytarzu rozległy się kroki i pojawił się Dan Kirk. Przez chwilę stał w progu, przytrzymując prowizoryczny opatrunek przy policzku, w końcu się odezwał:

- Co się stało? Carter wyleciał stąd, jakby go osy goniły.

- Szukają Bodine'ów.

- Powiedziałeś im?

- Jasne, że tak. Musiałem. Przecież są niebezpieczni dla samych siebie, nie wspominając już o innych ludziach. Jeśli Carter ich znajdzie, będzie można coś dla nich zrobić.

- Naprawdę chcesz coś dla nich robić? - Dan przyjrzał mi się uważnie. - Nie sądzisz, że dla nich lepsza byłaby śmierć? Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. Byli kiedyś moimi przyjaciółmi, nie? Może znajdzie się sposób, żeby im przywrócić dawną postać. Ludzką postać. I jeśli to możliwe, nie chciałbym mieć wyrzutów sumienia i poczucia, że ponoszę odpowiedzialność za ich śmierć.

- Nie ponosisz odpowiedzialności. Jesteś przecież tutaj, nie na polowaniu - odparł Dan.

- Niech cię diabli! - Popatrzyłem na niego ostro. - Obaj przykładamy do tego rękę.

Nie słyszałeś przykazania: "Kochaj bliźniego swego jak siebie samego"?

- Nigdy nie słyszałem o kochaniu kraba swego - odparł dobrotliwie.

Wyszliśmy z gabinetu Cartera. W milczeniu pokonaliśmy korytarz i gdy weszliśmy do

holu, okazało się, że wszyscy gdzieś zniknęli, tylko technik z ekipy telewizyjnej pakuje reflektory. Z zewnątrz wpadało zimne, nocne powietrze.

- Oni nie są krabami - powiedziałem cicho. - Ten sam błąd popełni pewnie Carter. To są ludzie. Pokrywa ich pancerz, są agresywni, niebezpieczni, ale to nadal ludzie. Potrafią mówić jak ludzie i tak myślą. Zmienili się, lecz mimo wszystko pozostali ludźmi. My zaś musimy odkryć, jakim rodzajem istot ludzkich się stali.

- Naprawdę sądzisz, że ci się to uda? - zapytał Dan niepewnie.

Stałem na schodach, patrząc w kierunku poobijanego, zniszczonego samochodu.

- Nie - odparłem. - Ale musimy próbować z całych sił.

Wracałem do New Preston z prędkością dziesięciu mil na godzinę, a lodowaty wiatr wpadał przez strzaskane okna, tak że aż mi łzawiły oczy. Shelleyowi bardzo nie odpowiadało zimno panujące w samochodzie, więc skulił się na podłodze przy przednim siedzeniu, gdzie z nawiewu płynęło ciepłe powietrze, muskając futerko. Kot widać uznał, że lepiej być potarganym niż zziębniętym. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek mi przebaczy, że narażam go na takie niedogodności. Czy to ma zresztą znaczenie? Przecież jest kotem i to tylko mój błąd, że czasem o tym zapominam i traktuję go jak istotę ludzką.

Przy takiej prędkości dotarcie do wynajętego domu zajęło mi blisko dwadzieścia minut, ale wreszcie zakręciłem w stromą drogę, która prowadziła do kamienistego podjazdu kończącego się przed moimi drzwiami. Z garażu wyciągnąłem stary, przetarty namiot i nakryłem nim maskę, by osłonić silnik w razie deszczu w nocy. Zmęczony, ciężkim krokiem powlokłem się wąskimi schodami na ganek. Kot ruszył za mną, potargany i zziębnięty.

Wewnątrz domu temperatura spadła do dziesięciu stopni. Ogień na kominku już dawno wygasł, obok zamiast stosu polan leżało tylko parę gałązek, więc czekało mnie wyjście na podwórko po opał. Nagle ogarnął mnie smutek i ponury nastrój, bezskutecznie

przeganiałem popiół, szukając tłęcego się żaru. W końcu rzuciłem na podpałkę kilka starych egzemplarzy gazety telewizyjnej i otworzywszy tylne drzwi, wyszedłem na ciemne, zimne podwórko.

Każdy, kto spędził późną jesień w Connecticut, zna przenikliwe zimno oraz lodowatą wilgoć w powietrzu, które sprawiają, że chce się tylko siedzieć przy ogniu z butelką Jack daniela pod ręką i oglądać telewizję, nawet jeśli program jest beznadziejny. Temperatura wprawdzie nie spada u nas tak nisko, jak w New Hampshire czy Vermont, ale dla kogoś marzącego o życiu na Florydzie nawet takie zimno daje się we znaki. Kiedy po trawie zsuwałem się w dół zbocza, dźwigając drewno, drżący z zimna i wydmuchujący z ust imponujące obłoki pary, nagle przeraził mnie trzask, który rozległ się między drzewami. Brzmiał, jakby chodziło tam coś ciężkiego.

Stanąłem nasłuchując. Dźwięk się powtórzył, może cichszy, ale bez wątplenia przypominał szelest gałązek pod stopami. Nie był to szum liści targanych wiatrem na gałęziach, nie była to przemykająca wiewiórka czy zabłąkany pies. Coś ciężkiego i potężnego, rozmiarów człowieka, kryło się w zaroślach otaczających dom.

Puls zaczął mi bić szybciej i pewnie ciśnienie krwi też znacznie podskoczyło. Z szeroko otwartymi oczami ruszyłem wolno, ostrożnie, w stronę domu, mając nadzieję, że to coś czające się w krzakach nie wyskoczy nagle i nie odetnie mi drogi do uchylonych drzwi. Dzieliło mnie od nich około pięćdziesięciu jardów, a płynące z wnętrza światło było tak kuszące, jak plasterek dobrego sera.

Zdawało mi się, że minęły godziny, nim znalazłem się bezpieczny w domu. Gdy wreszcie tam dotarłem i zamknąłem za sobą drzwi, na dywanie przed zimnym kominkiem ujrzałem jak zwykle niezadowolonego Shelleya. Rzuciłem polana na podłogę i zwróciłem się do kota:

- Któregoś wieczoru ciebie wysłę po drewno. Za bardzo się pietram na dworze.

Kot zastrzygł uszami i nie odpowiedział. Ułożyłem polana i podpaliłem gazety. Już po chwili ogień migotał przyjemnie, mogłem więc pójść do jadalni i nalać sobie porządnego bourbona. Muszę przyznać, że pierwszego wychyliłem natychmiast, stojąc przy wózku z butelkami, po czym dopełniłem szklankę, by zabrać ją do salonu. Chyba nie można mnie za to potępiać. Najpierw spotkanie z Bodline'ami, później podejrzane dźwięki na dworze: w takiej sytuacji każdy by chyba szukał pociechy w kwadratowej butelce z czarną nalepką.

Posiedziałem chwilę na sofie, czując ciepło wolno rozchodzące się po moim ciele, po czym spróbowałem dodzwonić się do Rhety. Ani w laboratorium, ani w jej domu nikt nie podnosił słuchawki, więc najwidoczniej znów gdzieś wyszła z Twardzielem Packerem.

Nabrałem ochoty, by mu rozkwasić nos. Marzyłem z całego serca, by Rheta siedziała teraz przy mnie, ubrana w coś luźnego, i by czekała nas zachęcająca i miła perspektywa wspólnego spania w wygodnym łóżku. Niestety, miałem przed sobą jedynie samotność

i skopaną pościel. W końcu zdjąłem czerwoną czapkę baseballową i wyjąłem cygaro, ale nim je zapaliłem, dokładnie przyjrzałem się plastikowej lufce. Może Greg McAllister miał rację wspominając o raku? Może miał rację w wielu innych sprawach.

Postanowiłem rano pojechać do Składu Candlewooda i odnaleźć książkę Legendy z Litchfield.

Drzwi frontowe zadrżały i usłyszałem szelest liści na podwórku. Może powinienem włączyć telewizor, by zagłuszyć dochodzące z dworu dźwięki, ale wolałem się bać szelestów, które słyszałem, niż myśleć o ewentualnych niebezpieczeństwach, oglądając program. A zresztą podobno oglądanie telewizji szkodzi duszy. Tylko koty są całkowicie odporne na jej negatywny wpływ.

Na dworze rozległ się kolejny szmer. Próbowałem nie zwracać na to uwagi, ale po

minucie szelest się powtórzył. Z udaną beztróską podniosłem się z sofy i stanąłem przy oknie. Ponieważ nie zaciągnąłem zasłon, a na zewnątrz panowały całkowite ciemności, zobaczyłem więc tylko swoje zmęczone oblicze przypatrujące mi się uważnie. Wzniosłem szklanką toast i wróciłem na dawne miejsce.

Minęło około dziesięciu minut. Zacząłem przysypiać. Byłem tak zmęczony, że właściwie z chęcią położyłbym się do łóżka. Ale dochodziła dopiero siódma wieczorem i gdybym poszedł teraz spać, to większość nocy przewracałbym się z boku na bok i wpatrywał w sufit, a najbardziej na świecie nie znoszę bezsenne leżenia i czekania, aż świt zajaśnieje za żaluzjami. Ogień rozpalił się na dobre, płomyki pełgały wesoło i z przyjemnością rozparłem się na sofie.

Zapadłem w półsen. Śniłem, że płynę w ciemnym oceanie, próbując znaleźć drogę między płataniną śliskich skał. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że nadal siedzę wygodnie na sofie, u boku mam kota, a migotliwy blask płomieni oświetla jego pyszczek.

Znów zasnąłem i znów śniłem, że płynę w ciemnościach, wykonując mocne, szerokie ruchy ramionami. Wiedziałem, że czegoś szukam, że muszę szybko wydostać się z fal oceanu, zapaść w groty i zakamarki między skałami. Morze było dziś niebezpieczne. Zimne, obce i wrogie. Spojrzałem przez ramię, wysilając wzrok, by dojrzeć w mętnej wodzie, czy nikt mnie nie ściga. Widziałem tylko ciemne kształty, mogły to być wodorosty lub węgorze.

Obudziło mnie głośnie puknięcie. Otworzyłem oczy, choć jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się dzieje. Popatrzyłem na ogień: nic się nie zmieniło. Gdy nagle rozległo się drugie puknięcie, trochę głośniejsze, spojrzałem w okno. Serce uciekło mi w piętę tak szybko, że chyba wylądowało na podłodze.

Za szybą w mroku machały do mnie kleszcze. A za nimi, ledwo widoczne w ciemnościach, majaczyły cienkie macki i coś przypominającego czarne, przenikliwe oczy.

Kleszcze pukały w okno, one chciały mojego ciała.

Rozległ się przenikliwy trzask i Shelley podskoczył jak dźgnięty szpikulcem. Szyba rozpadła się w drobny mak i wielkie szczypce wdarły się do pokoju. Poderwałem się z sofy i ruszyłem w kierunku jadalni, ale nie zdołałem uciec przed tym, co za moment nastąpiło.

Przez wybite okno z hukiem wdarła się kaskadami spieniona woda, która niczym lawina miażdżyła krzesła, rzuciła stołem o ścianę, uniosła odbiornik telewizyjny nad podłogę i w ułamku sekundy zgasiła ogień w kominku. Nim zdołałem dotrzeć do kuchni, powaliła mnie na próg z siłą pędzącej lokomotywy.

Przerażony starałem się zerwać na nogi, ale nie mogłem utrzymać równowagi, gdyż pokój wypełniał się takimi ilościami wody, że nie sięgałem stopami do podłogi. Gorączkowo pracując nogami zdołałem wypłynąć nad powierzchnię tuż pod sufitem i zaczerpnąć nieco powietrza. Zachłysnąłem się, ale kurczowo chwyciłem żyrandola, woda jednak wzbierała szybko z groźnym bulgotem i wiedziałem, że za parę sekund wypełni cały pokój. Nerwowo rozglądałem się za Shelleyem, ale nigdzie go nie spostrzegłem. Miałem nadzieję, że umknął przez kuchnię na zewnątrz, nim zalała nas główna fala.

W końcu woda sięgnęła sufitu, zdołałem ostatni raz głęboko zaczerpnąć powietrza i zostałem pochłonięty przez żywioł. Zanurkowałem, starając się płynąć w kierunku okna, ale w głębokich podwodnych ciemnościach straciłem orientację i w żaden sposób nie potrafiłem ocenić, gdzie jest kuchnia, a gdzie okno. Z przerażającą dokładnością przypomniałem sobie sen o pływaniu w oceanie i zmusiłem się do jeszcze głębszego zanurkowania w dół, ku podłodze. Czulem silny, lodowaty prąd. Wokół mnie pływały polana z kominka, serwetki ze stołu, butelki, gazety. Gdzieś obok przewrócił się i dryfował wózek z napojami, a na wpół opróżnione butelki stukały i obijały się o mnie.

Zaczynało mi brakować tchu, w głowie pulsowało jak przy świątecznym kacu, a w

napełnionych wodą uszach przerażająco rezonowały bulgoty zatapianego domu. Uderzyłem w jakąś ścianę, popłynąłem więc wzdłuż niej, ale nie natrafiłem na żaden otwór.

Wtedy właśnie przypomniałem sobie jeszcze jeden fragment snu: uczucie, że ktoś na mnie poluje, że podąża za mną krwiożerczy drapieżnik. Okręciłem się wokół własnej osi, z całych sił walcząc z silnym prądem, i choć wszędzie panowały ciemności, to jednak dostrzegłem, że istotnie coś płynie w moją stronę. Czarny, przerażający kształt, który w wodzie poruszał się pewniej i skuteczniej niż na lądzie. Widziałem coraz gorzej, płuca niemal mi pękały, ale z nadludzkim wysiłkiem rzuciłem się w bok, gorączkowo szukając drogi ucieczki.

Ciemny kształt zbliżał się nieuchronnie. Zamajaczyły ciężka, nieforemna głowa i szczypcy uniesione do ciosu. Zakrztusiłem się wodą, ale desperacko odepchnąłem nogami. Stwór może na lądzie poruszał się niepewnie, ale w wodzie jego ruchy miały szybkość i niezwykłą grację. Mniejsze szczypcy sięgnęły do moich spodni, a większe zacisnęły się wokół kolan. Uchwyt był mocny, brutalny, poczułem się tak, jakby w moją goleń walnął samochód. Wtedy pojąłem, że zostanę utopiony i pożarty.

Potwór zaczął mnie ciągnąć w dół, ku podłodze, a ja zrozumiałem, że nie mam najmniejszych szans. Teraz, gdy już mnie dopadł, najwyraźniej postanowił się nie śpieszyć. Zanurzył się powoli, w niemym skupieniu. Nie potrafiłem myśleć o niczym. Podobno kiedy człowiek się topi, przed oczami staje mu całe życie, ale to chyba przywilej zarezerwowany dla tych, którzy idą na dno i wypływają trzykrotnie. Mnie nie było dane wynurzyć się ani razu.

Plecami uderzyłem o podłogę. Próbowałem chwycić się czegoś, by złapać równowagę, miałem nadzieję, że natrafię na drzwi lub ścianę, od których odbiję się i ruszę do walki z drapieżnikiem. Wymacałem ciężki, metalowy pogrzebacz, którym przegarniałem żar

w kominku. Sięgnąłem po niego, zaczął wysuwać mi się z dłoni, ale w końcu udało mi się zacisnąć na nim palce.

Mniejsze kleszcze puściły moje spodnie i zaczęły się przesuwać w górę nogi. Były twarde i ostro zakończone, doskonale pamiętałem, co zrobiły z biedną Susan Steadman.

Miałem nadzieję, że nim przystąpią do dzieła, ja już się uduszę i nie będę czuł bólu.

Instynktownie, z całych sił wepchnąłem pogrzebacz w brzuch potwora. Wprawdzie uderzenie nie było mocne i nie strzaskało pancerza, ale wystarczyło, by na ułamek sekundy szczytce rozluźniły uścisk. Wykorzystałem ten moment, odepchnąłem się od podłogi i wyrwałem na wolność.

Stwór natychmiast ruszył za mną w pościg, a dźwięki, jakie przy tym wydawał, przypominały jęki potępionej duszy. Rzucił się gwałtownie w przód, ale ja tymczasem znalazłem okno i otworzyłem je po krótkiej szamotaninie. Na potężnej fali wody wypłynąłem z jadalni wprost na podwórko.

Toczyłem się po zboczu, powietrze mnie wręcz dławiło. Woda chlustała z otwartego okna, zalewając palenisko do barbecue i ogródek. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia, liczyło się tylko, że byłem na zewnątrz domu i oddychałem. Z wolna stanąłem na nogi, zaniósłem się kaszlem i plułem wodą, musiałem się oprzeć o stolik ogrodowy.

Gdy wreszcie uniosłem głowę i spojrzałem w stronę domu, zdałem sobie sprawę, że woda przestała już się wylewać z okna. Wprawdzie w środku panowały ciemności, ale wiedziałem, że gdzieś zniknęła. Słysząc było tylko kapanie z przemoczonych zasłon i mebli, a z pobliskiego lasu dobiegało pohukiwanie sowy uszatej.

Odczekawszy jeszcze parę minut, ostrożnie podszedłem do okna, przez które uciekłem. Drżałem z zimna, mokre ubranie przylegało do ciała niczym świeży cement.

Zerknąłem do wnętrza: dostrzegłem jedynie mokry dywan, wywrócony stół i porozrzucane



butelki. Ani śladu potwora, który chwycił mnie za nogi, ani śladu po sześciu czy siedmiu tysiącach galonów wody.

Obszedłem dom i udałem się do garażu. Zdjąłem powieszoną na haku latarkę i ją zapaliłem. Na pewno wysiadła elektryczność, a chciałem widzieć drogę przed sobą, w razie gdyby mój prześladowca gdzieś się ukrył.

Po stopniach dotarłem do drzwi frontowych. Zobaczyłem stąd zrujnowane okno salonu, ale nie dostrzegłem żadnych znaków, które mogłyby wskazać, w jaki sposób udało się zatopić cały dom. Ani śladu nawet najmniejszego węża ogrodowego. Gdyby nie to, że byłem mokry, pewnie uznałbym wydarzenia ostatnich paru minut za koszmarny sen.

Włączyłem latarkę i cicho otworzyłem drzwi. Kręgiem światła omiotłem przedpokój - był pusty. Zatrzymałem się na chwilę, nasłuchując, po czym ruszyłem dalej na uginających się nogach, machając szeroko latarką, w razie gdyby potwór próbował mnie zaatakować od tyłu.

W salonie wszystko przemokło i okropnie cuchnęło. Znałem ten zapach, zemdlilo mnie od niego. Zdechła, rozkładająca się ryba. Nim pozbędę się tego smrodu, minie ładne parę tygodni ciężkiej harówki i zużyję z pięćdziesiąt wiader lizolu. Skierowałem strumień światła w stronę jadalni, gdzie wcześniej niemal utonąłem, i zobaczyłem połamane meble i potłuczone drobiazgi. Żelazny pogrzebacz, mój wybawiciel, leżał na podłodze.

Szybko sprawdziłem wszystkie kąty w domu. Woda bardzo zniszczyła dywany i meble, wszędzie cuchnęło jak w porcie rybackim, ale nigdzie nie znalazłem potwora.

Najwidoczniej umknął szybko, gdy otworzyłem okno.

Wziąłem telefon i wylałem z niego wodę. Działał, więc zadzwoniłem do Dana.

Właśnie przyjechał do domu i sprawiał wrażenie zmęczonego.

- Mason? To ty?

Odkaszlnąłem. Nagle dotarło do mnie to, co się wydarzyło, i nie potrafiłem ruszyć ustami. Dan tego nie widział, i bardzo dobrze, bo moje oczy wypełniły się łzami.

- Dan - zacząłem niepewnie - jeden z tych krabów był tutaj.

- Coś się stało? Nic ci nie jest?

Znów zakasłałem. Krab mnie nie wykończył, ale pewnie dopadnie mnie ciężkie zapalenie płuc.

- Dobrze - odparłem. - Tylko przemokłem do nitki. Zrobili tę samą sztuczkę, co w domu Bodine'ów. Zalali cały budynek wodą i prawie mnie utopili.

- Żartujesz!

- Dan, to nie jest temat do żartów. Napełnili wodą salon, jadalnię i kuchnię. Nastąpiło to tak szybko, że woda nie zdążyła wypłynąć szparami. Musieli mieć tysiące galonów płynu. Wyglądało to jak cholernie wielki wytrysk z wywiercanej studni.

- Widziałeś, jak to robili? - zapytał.

- Dan, ja byłem pod wodą - tłumaczyłem cierpliwie. - W poważnych tarapatach, więc na nic nie zważałem.

- Chcesz, żebym po ciebie przyjechał?

- Byłbym wdzięczny. Samochód nie ma szyb, łóżko jest przemoczone do cna, i mówiąc szczerze nie uśmiecha mi się nocowanie w domu na pustkowiu, gdy te potwory krążą po okolicy.

Dan przez chwilę się namyślał.

- Jasne - rzekł w końcu. - Dochodzi właśnie dziewiąta. Będę u ciebie najpóźniej o dziesiątej. Carter się nie odzywał?

- Nie. Moim zdaniem mogą trafić na ślad Bodine'ów dopiero rankiem.

- Też tak myślę. Dobra, Mason. Za godzinę będę u ciebie.

- Dan - powiedziałem cicho.

- Tak?

- Dziękuję.

- Nie ma sprawy. - Roześmiał się. - Pewnego dnia i mnie może się trafić coś takiego.

Odłożyłem słuchawkę, po czym znów ją podniosłem i wykręciłem numer szeryfa.

Telefon dzwonił parę minut, ale nikt się nie zgłosił, więc zrezygnowałem. Postanowiłem

znaleźć jakieś suche ubranie i spakować potrzebne mi rzeczy.

Gdy szedłem korytarzem do sypialni, usłyszałem chrobot. Stałem wstrzymując oddech. Przez chwilę panowała cisza, po czym znów rozległo się ciche drapanie. Dobiegało z szafy z bielizną pościelową.

Tylko jedno stworzenie mogło instynktownie ratować się ucieczką w takie miejsce i na pewno nie należało do rodziny skorupiaków. Otworzyłem szafę: w środku siedział Shelley, nastroszony, wściekły i niezbyt zachwycony moim widokiem. Zeskoczył z półki i majestatycznym krokiem ruszył po dywanie, choć podejrzewam, że był tak samo przerażony i czujny jak ja.

## **ROZDZIAŁ 6**

Rheta przyjechała do Dana rano, około siódmej trzydzieści, z wiadomością, że Carter Wilkes i jego ludzie całą noc bezskutecznie szukali Bodine'ów. Na rozmiękczonej deszczem ziemi nie zostały żadne odciski stóp - w każdym razie nie stóp ludzkich - ani żaden zapach, który mogłyby wywęszyć psy. O świcie szeryf przerwał poszukiwania i oświadczył prasie, że zamierza czekać na ruch przeciwnika. Ostrzegł mieszkańców New Milford i okolicznych zagród, że na wolności znajduje się dwóch lub nawet trzech wariatów o morderczych skłonnościach, wszyscy powinni więc uważać na dzieci i o zmroku zamykać drzwi na klucz. Kiedy Rheta weszła do mieszkania, siedziałem z kolanami wciśniętymi pod mikroskopijny stół w kuchni i jadłem obfite śniadanie: smażony bekon, kiełbaski i jaja, które przygotowała dla mnie gospodyni Dana. Wszystko, co o niej wcześniej mówił, okazało się wierutnym łgarstwem. Była ładną, energiczną wdową po czterdziestce, miała rosnącego syna ubranego w skórzaną kurtkę nabijaną ćwiekami, psa, wilczarza irlandzkiego, przypominającego Normana Mailera po ciężkiej nocy, i schludny, drewniany domek o przestronnych pokojach, który stał naprzeciwko szpitala w New Milford. Zacząłem

podejrzewać Dana o żywienie bardziej serdecznych uczuć wobec tej uroczej osoby, zwłaszcza że zawsze opowiadał, jaka to z niej wścibska zmora o zapieczonych loczkach, nieustannie popijająca dżin.

Dan stał w drugim końcu pomieszczenia, czyli o dwa kroki ode mnie, i robił kawę. W nocy się przetarło i przez kraciaste zasłonki błyskały promienie słońca.

- Cześć, Rheta - powiedział. - Wejdz. Masz ochotę na płatki śniadaniowe?

- Rano nic nie jem - odparła, zdejmując z ramienia torebkę ozdobioną frędzlami i wieszając ją na poręczy krzesła. - Poproszę kawę, bez mleka.

Popatrzyłem na nią, wkładając do ust plaster kielbaski umoczonej w jajku.

- Hmm, to dlatego masz taką świetną figurę. Rano nic nie jesz?

- Ani po południu.

Wsypałem do filiżanki cztery łyżeczki cukru i dokładnie wymieszałem, by kawa była odpowiednio słodka. My, hydraulicy, potrzebujemy dużo kalorii. Rheta przyglądała mi się z obrzydzeniem i fascynacją, jakbym właśnie ucałował ropuchę. Miała na sobie luźną sukienkę w kwiatki i botki, przypominała paniusię, która zajada pestki słonecznika i nie łuskany ryż oraz własnoręcznie tka kapy na łóżko, ale mnie to nie przeszkadzało. Nadal emanował z niej wdzięk wykształconej kobiety, który mnie ,pociągał, i nadal pragnąłem, żeby Twardziel Packer wpadł pod autobus szkolny.

Popijając kawę, Rheta opowiedziała o bezskutecznych poszukiwaniach szeryfa

Wilkesa. Dziwne, ale z ulgą słuchałem, że Bodine'ów nie odnaleziono; gdy to nastąpi, bez wątplenia czeka ich marny los: zostaną posiekani kulami w drobny mak. Nasi miejscowi gorliwcy wychowani na filmach science fiction z lat pięćdziesiątych na pewno nie zaryzykują brania żywcem dziwacznie wyglądających stworów. Według nich najpierw trzeba strzelać, a z wyrzutami sumienia i wątpliwościami poczekać na później.

Dan oparty o zlew popijał gorącą kawę dużymi łykami.

- Szukali wokół zagrody starego Pascoe? - zapytał.

- Myślę, że tak, ale dokładnie mi nie powiedzieli.

- Ciekawe, czy po tym, jak uderzyłem Alison, został gdzieś jakiś kawałek ukruszonego pancerza.

- Nawet jeśli coś znaleźli, to o tym nie wspominali. - Pokręciła głową. - No i nie rozmawiałam z samym Carterem. Pete Abrams jest tylko zastępcą i znasz jego zdanie na temat współpracy z policją: my musimy współpracować z nimi, ale oni z nami nie muszą. Skończyłem bekon i odłożyłem widelec.

- Może nic nie znaleźli. Te pancerze wyglądały na bardzo mocne.

- Chyba takie są - skrzywił się Dan. - Ale na pewno słyszałem chrzęst pękającej muszli i przysięgłbym, że widziałem odpadający kawałek.

- Mdl mi od takich historii - powiedziała Rheta.

- Bo to i taka sprawa. Czy Abrams coś jeszcze mówił?

- Tak, że zastanawiają się nad rozwierceniem studni Bodine'ów, żeby zobaczyć, skąd się bierze ta zatruta woda.

- To najlepszy pomysł, na jaki wpadli w ciągu ostatnich dwóch dni.

- Zawiadomią nas, kiedy dostaną zezwolenie na rozpoczęcie pracy. Chcieliby, żebyśmy pobierali próbki, jak oni będą wiercić.

- A ja? - spytałem.

- O tobie nic nie wspominali.

- Jeden z tych stworów prawie mnie zmiądzzył, a drugi niemal utopił, tymczasem policja lekceważy moją osobę? Stałem się przecież ekspertem.

- Pójdiesz z nami. Mianuję cię honorowym członkiem mojego zespołu badawczego -

stwierdził Dan.

- Miło, że ktoś mnie w końcu docenił. Przede wszystkim muszę coś zrobić z samochodem. Będziecie siedzieli w laboratorium cały ranek?

- Jasne - odparł Dan. - Muszę skończyć badanie próbek, które pobraliśmy u Bodine'ów wczoraj po południu.

Z kieszeni wyjąłem list polecający Grega McAllistera do właściciela Składu Candlewooda.

- Dobra, kiedy wy będziecie robić badania, ja pojedę po tę książkę Legendy z Litchfield. Nigdy nic nie wiadomo, może coś w niej znajdę. Spotkamy się na lunchu?

- Zjadłeś takie gigantyczne śniadanie i już myślisz o lunchu? - zdziwiła się Rheta.

- Muszę mieć dużo sił - wyjaśniłem. - Nigdy nie wiadomo, kiedy okoliczności zmuszą mnie do wykazania się męskością.

- Szkoda, że w tym mieście nie mamy zwykłego, normalnego hydraulika, który tylko reperowałby rury i nie wtykał nosa w nie swoje sprawy - rzuciła Rheta, biorąc torebkę.

- Nie mówiłaś tego serio.

Przez chwilę się nie ruszała. Promień słońca spoczął na jej twarzy i w oczach zatańczyły ogniki.

- Nie - powiedziała cicho. - Nie.

Dan obrzucił uważnym spojrzeniem najpierw mnie, potem dziewczynę i wrócił do picia kawy.

Skład Candlewooda mieścił się w dużej stajni przy drodze 202 za tablicami z reklamą MacDonalda oraz wielką postacią złotej rączki zachęcającą do kupowania farb. Pożyczyłem volkswagena Rhety, był tak mały i tak podskakiwał na wybojach, że czułem się niczym komik we francuskim filmie. Shelleyowi jednak odpowiadały te wstrząsy, bo natychmiast

usnął. Dzień był pogodny, nie padało, w licznych kałużach odbijało się słońce, a mokre liście leżały na poboczach.

Zjechałem z autostrady i zaparkowałem obok drewnianej tablicy z napisem: "Skład Candlewooda: Tanie, eleganckie wyposażenie domów. Nasza specjalność: meble stylowe i antyki. Przeprowadzki i składowanie. Wł.: F. Martin". Wysunąłem się z samochodu i mocno zatrzasałem drzwiami. Po żwirowym podejździe ruszyłem ku dużej witrynie, gdzie właściciel F. Martin ustawił ze smakiem najcenniejsze egzemplarze stylowych mebli z okresu wojny secesyjnej. Mnie najbardziej podobały się zabytkowy telewizor i aparat telefoniczny. Znalazłem drzwi i wszedłem do środka. Wnętrze wypełniały brzydkie, typowe prowincjonalne meble, z tyłu pomieszczenia, w maleńkim kantorku, siedział słuchając radia siwowłosy mężczyzna w okularach o grubych szklach, ubrany w brązowy, wełniany garnitur.

- Pan Martin? - spytałem, gdy podniósł wzrok i mnie zauważył.

Wyszedł do mnie, wyciągając rękę na powitanie.

- Tak, Frederick Martin. Czym mógłbym służyć?

- To naprawdę drobiazg. Mam list od pana Grega McAllistera, który mieszka w pobliżu Washington Depot. Oddał tutaj książkę na przechowanie i pozwolił, żebym ją przejrzał.

Fred Martin uważnie przeczytał list.

- Zdaje pan sobie sprawę, jak długo potrwa znalezienie tej książki? - spytał w końcu.

- Hmm, nie, ale to chyba nic trudnego, prawda?

- Trudnego? Panie Perkins, pan chyba nie rozumie znaczenia tego słowa, skoro go pan użył w tej sytuacji.

- Przepraszam, wydawało mi się... Odrzucił siwe włosy melodramatycznym gestem.

- Czy pan wie, ile stóp kwadratowych składu mam z tyłu budynku? Czy pan wie, ile



rodzin popakowało swój dobytek w kartony i tu złożyło? Ile trafiło tu biurka i stołów? Ile kredensów, foteli i całych serwisów porcelanowych? Ile barometrów?

- Barometrów? - przerwałem zdumiony.

- Barometrów i książek. Tysiące książek. Więcej niż w całej bibliotece miejskiej.

Miliony. A pan chce jedną książkę spośród tych milionów i twierdzi pan, że znajdzie ją bez trudu.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zdobiło mi się głupio, że w ogóle tu przyjechałem.

Ale Fred Martin jeszcze raz przeczytał list od farmera i powiedział spokojniejszym tonem:

- Lecz w tym szczególnym wypadku ma pan szczęście.

- Co pan ma na myśli?

- Szuka pan książki Legendy z Litchfield, prawda?

- Tak jest.

Martin zdjął okulary i przyjrzał mi się wyblakłymi, niebieskimi oczami.

- Tak się składa, że z zainteresowaniem czytam miejscowe legendy i podania. To moje hobby. Widzi pan po meblach, jakie sprzedaję, że staram się utrzymać dawne tradycje tych okolic. Wierzę w tradycję. Oznacza bowiem szacunek dla własnych korzeni.

Rozejrzałem się dookoła.

- Osiemnastowieczny stolik pod telefon też należy do tradycji? - zapytałem.

- Wiem, do czego to aluzja. - Popatrzył na mnie groźnie. - Wiem, co pan chce przez to powiedzieć. Ale moim zdaniem barek podrabiany pod antyczny mebel jest lepszy od barku z czarnego winylu. Czarny plastik i złocenia to przekleństwo amerykańskich mebli. Nie wspominając o białym plastiku, który jest sto razy gorszy. I podrabianym onyksie. Niech pan nawet o nim przy mnie nie wspomina.

- Zgoda. Nie puszczę pary z ust na temat podrabiania onyksu. Ale co z tą książką?

Wie pan, gdzie ona jest?

- Oczywiście. Na półce, o tutaj. Zwróciłem na nią uwagę, przeglądając inwentarz rzeczy McAllistera, i odkopałem ją parę lat temu. To bardzo ciekawa książka. Naprawdę stara. Zawiera podania, na które się nie natrafi, słuchając opowieści krążących po okolicy. Sięga głęboko w przeszłość. Może ma pan ochotę na kawę?

- Nie, dziękuję, ale chętnie skorzystam z toalety.

- W tamtą stronę, za tą dębową, podniszczoną skrzynią.

I nim pan wróci, wyciągnę książkę.

Toaleta była tak tradycyjna, że zamiast papieru toaletowego wisiały w niej pocięte na kawałki strony z lokalnej gazety. Po powrocie zastałem Freda Martina siedzącego za biurkiem w kantorku. Przerzucał pożółkłe strony zniszczonej, oprawionej w skórę książki. Wszędzie walały się kartki, rachunki, faktury, teczki z aktami, czasopisma i gazety, a na ścianie wisiał kalendarz Playboya sprzed trzech lat. Martin popijał rozpuszczalną kawę z kubka, na którym widniał rysunek Strzelca.

- Niech pan siądzie.

Wskazał nowiutki fotel opakowany jeszcze w karton. Usiadłem spoglądając ukradkiem na zegarek. Miałem nadzieję, że nie stracę tu całego ranka. Nie mogłem się doczekać lunchu z Rheta.

- Interesują mnie legendy związane ze źródłami wody z okolic New Milford i

Washington - zacząłem. - Wie pan, że w ciągu ostatniego tygodnia pojawiły się ostrzeżenia w związku z zatruciem studni. Chciałbym wiedzieć, czy coś takiego wydarzyło się już wcześniej. Pan McAllister twierdzi, że jego rodzina nigdy nie piła wody ze studni, obawiając się kłątwy. Wierzyli, że ich skóra zmieni się w pancerz jak u kraba. Nawet mi powiedział o tym wiersz.

Fred Martin wsunął okulary na koniec nosa i wpatrzył się w książkę. Z białymi, gęstymi brwiami, długim nosem i wydętymi wargami przypominał jakieś inteligentne zwierzę, na przykład lamę umiejącą czytać. Prychnął pod nosem i zamyślony przewrócił kilka stron.

- O tu, to pana zainteresuje - rzekł, podając mi tom. Wskazał palcem nagłówek na górze kartki, po czym pociągnął długim, białym paznokciem aż do samego dołu, gdzie przeczytałem napis: "strona dwieście dwudziesta dziewiąta".

Delikatnie ująłem książkę. Okładka była spleśniała i popękana, na kartkach widniały brązowe plamy. Założywszy palcem miejsce wskazane przez Freda Martina, wróciłem do strony tytułowej, gdzie widniał napis wydrukowany artystycznie wykrojonymi literami:

"Dyskurs nad legendami i podaniami z Litchfield w Connecticut, włączając akuratne opisanie procesu czarownic w Kent. Spisane przez Adama Prescottta. Wydrukowano i oprawiono u Unicorna w Dan-burye. A. D. 1784". Na sąsiedniej stronie zobaczyłem zamazany drzeworyt przedstawiający młodego mężczyznę, którego usta obwisały podobnie jak u George'a Washingtona na banknocie dolarowym; widać obu często bolały zęby i większość już stracili.

- To pierwsza książka tego typu, z jaką się w życiu spotkałem - zauważył Martin. - I nie sądzę, bym kiedykolwiek znów taką znalazł. To prawdziwy biały kruk, bez wątpienia wart parę setek.

Wróciłem do strony, którą mi wskazał na początku. Litery były drobne, umieszczone ciasno jedna przy drugiej i tak zamazane, że z wielkim trudem można je było odczytać. Ale kiedy się przyzwyczaiłem do niezwykłej pisowni, niespotykanej już w miejscowych szkołach, zrozumiałem, że ta część dyskursu pana Adama Prescottta dotyczy właśnie zatrutych studni w New Milford.

Tytuł rozdziału brzmiał: "Starożytne historie dotyczące źródeł i studni w Washington i

Kent”. Autor w długim wstępie rozplątywał się nad pięknem okolic oraz życzliwością mieszkańców i wymieniał poszczególne domy, opisując szczegółowo ich położenie. W końcu jednak dotarłem do fragmentu, który zacząłem czytać ze wzrastającym zainteresowaniem.

“Starzy mieszkańcy Lichfielde nie pijają wody z własnych studzien, twierdząc, że nie należy nią gasić pragnienia, jako że jest skażona przez bestyje warujące w głębinach pod wzgórzami, a o których wyglądzie nikt mówić nie chce. Wszyscy zgodnie twierdzą, że wiedzą o tym z podań zasłyszanych od Indian, co mieszkali tutaj przed wiekami, i choć w owych dawnych czasach biali z nimi wielokroć walki toczyli, to jednak starszyzna plemion indiańskich przed piciem źródlanej wody osadników przestrzegała. Wielokroć słyszałem od starych ludzi z Lichfielde, że owe pradawne bestyje żyły w niepamiętnych czasach na podmorskim lądzie, Atlantyda zwanym, choć Indianie mówią nań Mic-Mac, co Krainę Bogów-Bestyj oznacza. Gdy straszliwe podmorskie trzęsienie ziemi zniszczyło domostwa i tereny łowieckie bogów-bestyj, skazili oni nasieniem swoim studnie i źródła podziemne Nowej Anglii i innych ziem wschodnich, aby wrócić do życia w ciele tych, którzy wodą ową pragnienie gasić zechcą. Powiada się, że Atlantyda nigdy nie była prawdziwym lądem ponad fale mórz wyniesionym, jeno włością straszliwych potworów, które pływały i polowały wśród podwodnych gór i grot. Gdy zagadnąć kogo z mieszkańców tych okolic o wygląd owych bestyj-bogów, rzadko odpowiedź usłyszeć można, choć przecie wszyscy dobrze znają ich oblicza. Tylko Josiah Walters z Boardmans Bridge wyznał, że wedle Indian owe potwory pochodzą z niebios, w ich języku ye muskun, ale mają macki niczym ośmiornice i szczytce niczym kraby, a odór z nich bije jak z ryby gnijącej. Indianie miejsce, gdzie owych bestyj siedlisko, zwą Pontanipo, czyli Zimne Wody, a tych, którzy żyli w toniach morskich w czasach Atlantydy, zowią Neipfolk, co Ludzi Głębokich Wód oznacza. Bogowie-bestyje wielką siłę magiczną posiadają, dzięki której w dawnych czasach siedem razy po siedem

zdołali zalać Nową Anglię, by zatopić mężów zastępy i utopionych pożreć. A szczęśliwcy i żeglarze, którzy z życiem z owych powodzi uszli i ujrzeli bogów-bestyje, ni słowem nie chcieli o tym opowiadać, a i oni długo po swym ocaleniu zdrowiem cieszyć się nie mogli, wszyscy bowiem, co pili wody przez bogów-bestyje popsowane, na trąd chorowali, a gdy koniec ich nadszedł, wnętrzności ich spalone zostały”.

W następnym akapicie znajdował się już tylko bardzo niejasny opis dziwnych łoskotów słyszanych pod ziemią w czasie burz oraz trzech tajemniczych zatonięć w latach siedemdziesiątych osiemnastego wieku. Pozostałe legendy opowiadały o wrózkach, duchach i objawieniach przeróżnych świętych. I choć były one bardzo starannie i precyzyjnie opisane, w żaden sposób nie mogłem sprawdzić ich prawdziwości. Oddałbym miesięczne zarobki za możliwość rozmowy z Josiahem Waltersem z Boardman's Bridge, bo jego relacja o “bogach-bestyjach” pokrywała się z moimi wrażeniami na temat stanu, w jakim się znaleźli Jim i Alison. Na nieszczęście ów człowiek zmarł przynajmniej sto osiemdziesiąt lat temu i wątpiłem, bym odnalazł jakichś jego potomków.

- Co pan sądzi o tych historiach? - spytałem Freda Martina, który w milczeniu obserwował, jak czytam. - Jest w nich choć odrobina prawdy?

Podrapał się po siwych, potarganych włosach.

- W podaniu o Atlantydzie? Moim zdaniem nie. Przeczytawszy wszystkie ciekawe książki znajdujące się tutaj, doszedłem do wniosku, że każdy z krajów położonych nad Oceanem Atlantyckim ma legendę czy przekaz o Atlantydzie czy jakimś podobnym miejscu oraz o potworach i bestiach zamieszkujących morze. Ale czy to prawda? Nie sądzę. To pasjonujące historie. Dobre, pocziwe, przerażające legendy. Ale to wszystko, co się da o nich powiedzieć.

- A gdybym się upierał, że w nie wierzę? Wzruszył ramionami.

- Może sobie pan wierzyć. To wolny kraj. A wiara w stare podania nie robi im krzywdy, bo dzięki niej przetrwają. Dobrej zabawy. - Z poważną miną zamieszał kawę i dodał: - Wielu ludzi wierzyło, że Atlantyda istniała naprawdę. Mam tu książkę o Majach. Wierzyli w to. I druidzi. I starożytni Grecy. Stworzyli mity o Gigantach i innych potworach, które wychodziły z morza i zjadały ludzi na śniadanie. Wie pan co, w Anglii, w Kornwalii nadal żyją ludzie, którzy myślą, że czarodziejska wyspa Lyonesse naprawdę istnieje i mieszkają na niej Giganci. A żeglarze w Szkocji ciągle opowiadają o Shonym, stworzeniu morskim, które woła, że tonie i błaga o pomoc, a gdy rybak śpieszy mu na ratunek, wciąga go pod wodę i zjada żywcem. Shony miał też jeszcze inne imię: Shellycoat.

- Shellycoat? Dlaczego?

Fred Martin z wahaniem sięgnął na półkę i wyciągnął książkę w pomarańczowej oprawie, która bez wątplenia pochodziła z biblioteki publicznej. Przewrócił kilka stron, nim się odezwał:

- O, proszę. To z sir Waltera Scotta. Tak opisuje Shony'ego: "Wydaje się pochodzić z morskich odmętów, zwłaszcza pancierz, który klekocząc zwiastuje jego przybycie".

Zadrzałem. W kantorku Freda Martina było dość chłodno.

- A co ze studniami? - spytałem chrapliwym szeptem. - Czy pan sądzi, że w tym kryje się ziarno prawdy?

- W czym?

- W legendzie o bogach-bestiach ukrytych we wnętrzu studni i czekających na okazję, by powrócić do życia?

Martin zmarszczył brwi. Ujawszy ołówek obgryziony na końcu, zaczął stukać nim w oprawkę okularów.

- Panie Perkins - odezwał się po chwili. - Musi pan zrozumieć, że to tylko podania.

Może i mają jakieś odniesienia do rzeczywistych wydarzeń, ale pochodzą sprzed setek albo i tysięcy lat. To tylko legendy. Układają je ludzie, by znaleźć wytłumaczenie dla niezrozumiałych rzeczy. Wtedy nie dysponowali obecną wiedzą naukowców, więc gdy zdarzyło się coś przerażającego, tłumaczyli to czarami. Nie potrafię sobie wyobrazić stworzeń żyjących w głębinach studni, a pan? Przecież chyba rozmawiamy poważnie.

Ująłem w dłonie Legendy z Litchfield.

- Rozumie pan, co tu jest napisane? - zapytałem. - Kiedy Atlantyda uległa zagładzie, bogowie-bestie, te krwiożercze bóstwa, zapewnili sobie przetrwanie pozostawiając nasienie w naturalnym systemie wodnym Nowej Anglii. Mówiąc dzisiejszym językiem, mogły to być zapłodnione jaja, ikra czy coś innego, dzięki czemu się rozmnażają. Fred Martin odkaszlnął nerwowo.

- Tak, to może znaczyć coś takiego. Ale dosłownie to brzmi trochę inaczej, prawda?

- Dosłownie to brzmi: "skazili oni nasieniem swoim studnie i źródła Nowej Anglii i innych ziem wschodnich". Jak jeszcze można to interpretować?

Milczał przez chwilę, pukając ołówkiem, w końcu się odezwał:

- Moim zdaniem to wszystko mogło zostać wymyślone.

Też jakaś interpretacja legendy.

- Oczywiście. Ale większość legend ma w sobie ziarno prawdy.

- Tak. Tylko że ja nie rozumiem, do czego pan zmierza. Jak już wspominałem, jeśli chce pan w to wierzyć, wolna droga. Ale ja spędziłem w New Milford całe życie i nie wierzę w ani jedno słowo.

Otworzywszy książkę jeszcze raz przeczytałem, co Adam Prescott napisał o bogach-bestiach z Atlantydy.

- Dobrze więc, czy mógłbym pożyczyć ją na jakiś czas? - poprosiłem.

- Oczywiście. Przecież Greg McAllister wyraził na to zgodę. - Wstał, jakby chciał się mnie jak najszybciej pozbyć. - Jedno chciałbym podkreślić: niech pan nie ufa wszystkiemu, co tam napisano. Przeczytałem w moich książkach bardzo dziwne historie, od których włos się jeży na głowie. Ale przecież nie spisano ich dlatego, że ludzie w nie wierzyli, lecz dlatego, że były intrygujące. Tyle słowa przestrogi.

Podniosłem się z owiniętego tekturą fotela. Kantorek był tak mały, że staliśmy z Martinem twarzą w twarz, niemal się dotykając nosami.

- Będę pamiętał o pańskich radach - oświadczyłem tonem pełnym szacunku.

Przeszedłem przez główne pomieszczenie i już trzymałem dłoń na klamce, gdy Fred Martin zawołał:

- Proszę pozdrowić Grega McAllistera, dobrze?

- Oczywiście.

Uśmiechnął się do mnie niepewnie.

- Dziękuję.

- Czy jeszcze coś? - spytałem.

- Hmm, nic. Tylko tyle. Chociaż, hmm, nie ma pan żadnych powodów, by wierzyć w te legendy, prawda? Czy wydarzyło się w okolicy coś, o czym powinienem usłyszeć?

Milczałem. Naprawdę nie wiedziałem, co odpowiedzieć. W końcu rzekłem:

- Jeśli się coś zdarzy, to dam panu znać, zgoda?

- Zgoda - odparł bez przekonania. Obserwował mnie z kantorka, gdy szedłem do volkswagena Rhety, wsiadałem i zapalałem silnik. Nadal stał w swoim wzorcowym osiemnastowiecznym saloniku, gdy z hałasem wycofałem samochód i wrzuciłem prawy kierunkowskaz, dając znać, że jadę do New Milford. Pomachałem ręką, ale Martin nie odpowiedział na mój gest. Widać ludzi, którzy nie wierzą w podania i legendy, łatwo obrazić.



Gdy wszedłem do laboratorium, pani Wardell przekazała mi wiadomość, że Dan i Rheta opuścili je niedawno w wielkim pośpiechu i z przykrością musieli odwołać nasz lunch. Okulary pani Wardell przekrzywiły się bardziej niż zwykle, tak była podniecona i zdenerwowana. Gdy rozerwałem kopertę, zagryzła uszmiłkowane na karminowo wargi i nerwowo zakładała nogę na nogę - z całych sił starała się zapanować nad chęcią opowiedzenia mi wszystkiego, co się stało, nim to sam przeczytam.

Wyjąłem kartkę od Rhety, skreśloną jej okrągłym, kobiecym pismem. "Carter wezwał nas do Gaylordsville. Przyjeżdżaj jak najszybciej. Zjedź w prawo z drogi numer 7 przy drogowskazie na South Kent, a później skręć na pierwszym skrzyżowaniu za pierwszym mostem. Ucałowania. Rheta".

Hmm, przynajmniej zakończyła ucałowaniami, pomyślałem. Złożyłem kartkę i uśmiechnąwszy się zdawkowo do pani Wardell, zszedłem po schodach na ulicę. Na przednim siedzeniu volkswagena siedział Shelley i czekał na mnie. Chyba już mu minął pierwszy zachwyty nad podróżowaniem garbusem i marzył o powrocie do komfortu mojego samochodu. Przymknął ślepia i położył uszy po sobie w geście niechęci, gdy zatrzasnąłem drzwi i uruchomiłem głośny silnik.

Przez większość drogi wlokłem się za powolną ciężarówką, zniecierpliwiony wdychałem spaliny diesla i w kółko czytałem napis na tyle pojazdu: "Pączki Konitza smakują jak domowe". W końcu dotarłem do Gaylordsville, schludnego miasteczka z oryginalną starą pocztą i osiemnasto-wiecznym budynkiem straży pożarnej, po czym skręciłem w prawo na South Kent.

Nawet gdybym się bardzo starał, nie mógłbym przeoczyć Dana, Rhety i szeryfa Wilkesa. Drogę blokowały dwa radiowozy, karetka pogotowia oraz samochód do holowania, a na wszystkich pojazdach migwały koguty. Dwóch policjantów zatrzymywało ciekawskich,

natomiast Carter z trzema zastępcami oraz dwoma sanitariuszami zgromadzili się wokół czerwonego chevroleta impala, który stał przechylony w rowie. Dan i Rheta przyglądali się wszystkiemu z boku, oboje byli bladzi i bardzo przejęci. Zaparkowałem volkswagena i podszedłem do nich.

- Co się tu stało? - spytałem.

Rheta mocniej zacisnęła usta, jakby starała się powstrzymać krzyk, wymioty lub wybuch histerycznego śmiechu. Dan zaś skinął w kierunku czerwonego samochodu i powiedział:

- Znow do tego doszło. Może to Jim i Alison. Może ktoś inny. Może ich jest nawet więcej.

- Ktoś został zabity?

Dan głęboko zaczerpnął powietrza, by się uspokoić.

- Tak. Lepiej zapytaj Cartera. On zna wszystkie szczegóły.

- Jak się czujesz? - zwróciłem się do Rhety. - Może pójdziesz do samochodu posiedzieć z Shelleyem?

Pokręciła przecząco głową.

- Zaraz mi przejdzie. To chwilowe. Minie za parę minut.

- Jasne.

Ruszyłem w kierunku grupki policjantów i sanitariuszy.

Gdy znalazłem się bliżej, dostrzegłem otwór w dachu samochodu jakby go ktoś wyciął gigantycznym kluczem do konserw. Jeden z sanitariuszy zaglądał do wnętrza przez przednią szybę z bardzo nieszczęśliwym wyrazem twarzy.

- Carter - zacząłem podchodząc do szeryfa. - I jak ci leci?

Wilkes popatrzył na mnie z namysłem.

- Cześć, Mason. A jak może lecieć w takich okolicznościach?

Przysłoniłem oczy przed ostrym światłem dziennym. Nie byłem pewien, ale najwyraźniej okna samochodu pomalowano na czerwono pod kolor maski. Wtem przyszło mi do głowy, że to może nie jest farba. Przecież nikt nie maluje okien. To musi być krew. Odwróciłem się do Cartera, ale nie wiedziałem, o co pytać. On zaś pocierał dłonią podbródek, jakby nie wiedział, co mi powiedzieć.

- Ktoś tam jest w środku? - wykrztusiłem w końcu.

- Wedle naszego rozeznania cała rodzina. Ojciec, matka i dwoje małych dzieci.

- Carter... co się stało?

- Nie wiem. Zawieziemy cały samochód prosto na posterunek. Oni wszyscy nie żyją.

Wygląda na to, że coś rozcięło dach, wtargnęło do środka i rozerwało pasażerów na strzępy.

- Coś? A niby co? Co może zrobić coś takiego? Co, u diabła, potrafi rozerwać dach samochodu i zabić wszystkich znajdujących się wewnątrz?

- Nie wiem. - Szeryf spuścił oczy. - Może koparka mechaniczna?

- Albo stworzenie krabopodobne? Wzdrygnął się.

- Widziałeś te krabopodobne stwory na własne oczy. Twierdziłeś, że są wielkości człowieka, tak? Te miały być przynajmniej czterokrotnie większe od istoty ludzkiej.

Rozcięły dach, rozumiesz moje słowa? Rozcięły dach, sięgnęły do środka i rozerwały wszystkich na strzępy.

Był bardzo przejęty, wręcz bliski płaczu. Wyjął chusteczkę i wytarł nos trąbiącym na fagocie.

W tym momencie tylne drzwi samochodu zakołysały się i uchyliły szerzej, zerknąłem więc do wnętrza. Poczułem przerażenie i mdłości, ale nie potrafiłem oderwać wzroku. W ułamku sekundy sanitariusz zatrzasnął drzwi, by nie narazić na straszny widok nikogo z

gapiów, ale mimo wszystko zrobił to zbyt wolno, bo ja już swoje widziałem. Zamarłem na drodze niczym żona Lota.

Dostrzegłem odrzuconą do tyłu głowę kobiety z jasnymi włosami spływającymi z oparcia przedniego siedzenia i oczy patrzące prosto na mnie przez otwarte drzwi. Dzięki Bogu nie widziałem całego ciała, ale i tak w rozerwanej szyi dojrzałem błękitne poszarpane żyły. Tylne siedzenia pokrywała krew i śluz, z pasów bezpieczeństwa zwisały wątroby i inne wnętrzności, wszystko w ciemnoczerwonym kolorze. Cuchnęło świeżą krwią i psującą się rybą. Wiedziałem równie dobrze jak Carter, kto to zrobił.

- Dzieci - odezwał się szeryf zduszonym głosem. - Dwoje niewinnych dzieciaczków, przed którymi życie dopiero stawało otworem.

- Jakies ślady? Tropy? - spytałem.

- Jak dotąd nic. Puściliśmy psy. Mówię ci, że złapię tych sukinsynów. Nie obchodzi mnie, czy to potwory, ludzie czy coś innego. Złapię ich i drogo zapłacą za te zbrodnie.

- Wygląda na to, że są więksi? Może rosną? Przytaknął.

- Nie wiem jakim sposobem i w tej chwili nic mnie to nie obchodzi. Ta historia od samego początku zupełnie przeczy prawom logiki, więc mam zamiar wierzyć we wszystko, co słyszę, w każdy idiotyzm, bo w innym razie znacznie więcej niewinnych ludzi zostanie rozerwanych na strzępy tak jak ci tutaj. I przysięgam, Mason, nie pozwolę, by się to jeszcze raz zdarzyło.

Położyłem dłoń na jego ramieniu.

- Wiem, Carter, wiem, że ich dopadniesz. Głęboko odetchnął.

- O to się nie martw, już ja im się dobiore do skóry. Dziś po południu mamy zamiar rozwiercić studnię Bodine'ów i obejrzeć to przeklęte źródło. Chcesz przyjść?

- Dan już mnie zaprosił.

- Dobrze, wpadnij. Zobaczysz, jak im zadamy bobu.

- Jasne, szeryfie.

Wróciłem do Dana i Rhety. Gdy zobaczyli moją minę, nie pytali o samochód i jego zawartość. Mechanicy zakładali łańcuchy na tylny zderzak i jeden powiedział:

- Musimy go zdjąć z biegu. Może ktoś to zrobi? Któryś z sanitariuszy otworzył

przednie drzwi i szybkim ruchem wrzucił luz. Kiedy się wyprostował, był blady jak ściana, a dłonie miał umazane krwią. Mechanicy popatrzyli po sobie. Nieraz widzieli straszne wypadki, ale tu była prawdziwa masakra.

- Kraby znacznie urosły - zwróciłem się do Dana. - Inaczej nie zdołałyby rozciąć dachu szczypcami i sięgnąć do wnętrza pojazdu.

- Jedno wiemy na pewno, są krwiożercze - odparł. Rheta odwróciła wzrok i powiedziała cicho:

- Jeśli są tak wielkie, że potrafią rozerwać samochód, to policja szybko je znajdzie. Nie mogły uciec zbyt daleko.

- Kto wie? Jak szybko porusza się krab w porównaniu z człowiekiem? - spytałem.

- Bardzo szybko - odparł Dan. - Może prześcignąć konia wyścigowego nawet na długim dystansie.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, niemal czułem, jak ziemia wiruje mi pod stopami.

- A jak idą badania? - odezwałem się w końcu. - Sprawdziliście już nowe próbki?

- Zrobiłem wstępne testy - potaknął Dan. - W wodzie mnóstwo organizmów tego samego typu. Tak na oko to jest ich nawet więcej.

- O czym to świadczy?

- Skąd mam wiedzieć? Nie rozumiem nic z tego, co się dzieje. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Zakończyliśmy badanie myszy, ustaliliśmy ostatecznie, że uległa

przemianie po wypiciu wody ze studni Bodine'ów. Ale nadal nie wiemy dlaczego i w jaki sposób.

- Czy Newsom wspominał coś o wynikach sekcji Olivera Bodine'a?

- Tylko nieoficjalnie - wtrąciła Rheta. - Nie chciał mówić nic konkretnego, póki nie skończą w Nowym Jorku specjalnych testów. Po przyjacielsku dorzucił, że wie tyle co my, czyli prawie nic. Jego zdaniem to na pewno woda, a raczej pływające w niej mikroorganizmy spowodowały przemianę. Ale nie ma pojęcia, jak do tego doszło, i nie rozumie cyklu życiowego tych mikrobów.

- Czyli wracamy do punktu wyjścia - rzucił Dan ponuro. - Pozostaje mieć tylko nadzieję na jakieś cudowne odkrycie we wnętrzu studni.

Wyjąłem cygaro i zapaliłem je, osłaniając dłońmi płomień przed wiatrem.

Zaciągnąłem się parę razy, nim zacząłem:

- Z tego wynika, że odkryłem więcej niż wy. Rheta podniosła na mnie wzrok.

- To dziś rano miałeś poszukać tej książki z legendami?

- Tak. Mam ją w samochodzie. Znajduje się w niej cała strona o studniach w

Washington i wyjaśnienie, dlaczego ludzie nie powinni z nich pić wody. Opisywana historia sięga osiemnastego wieku, jeśli nie czasów wcześniejszych.

Kierowca holownika zapalił silnik i na tle nieba pojawiła się chmura czarnych spalin.

Przy wtórze szczęk łańcuchów i dzwonienia pociętych kawałków metalu samochód powoli został wyciągnięty z rowu. Czerwone okna sprawiały makabryczne wrażenie. Odwróciliśmy wzrok, gdy pojazd przykrywano płachtą szarego plastiku i mocowano dla pewności sznurami.

Nie patrzyliśmy, gdy ciężarówka pociągnęła wrak niczym zwłoki rozszarpanego zwierzęcia.

Po chwili samochody zniknęły za zakrętem szosy prowadzącej do Gaylordsville.

Szeryf Wilkes podszedł do nas i stał z rękami wspartymi na biodrach. W zębach

trzymał wykałaczkę, którą przez cały czas gryzł przesuwając z prawego kącika ust w lewy.

Milczał przez dłuższy moment, patrząc w głąb drogi, na której zniknął holownik. W końcu się odezwał:

- Nie macie żadnych ciekawych pomysłów, co, chłopaki?

- Może i mamy, trudno powiedzieć - stwierdziłem.

- Nowe ślady? - zaciekawiał się.

- Nie. Bardzo stare. Ale mogą się okazać przydatne. Właśnie mamy zamiar je obejrzeć. Powiemy ci coś bliższego, jak się spotkamy po południu przy domu Bodine'ów.

- Dobra. Z góry dziękuję.

W tym momencie w samochodowym radiu Cartera rozległ się sygnał.

- Poczekajcie.

Szeryf ruszył do wozu. Ponieważ staliśmy tuż obok, więc bez trudu usłyszeliśmy przekazywaną wiadomość. Carter patrzył na nas poważnie, w zamyśleniu, gdy odbierał meldunek policjanta.

- Centrala do szeryfa i wszystkich radiowozów. Helikopter patrolowy krążący nad drogą 7 około czterech mil na północ od Gaylordsville zameldował, że podejrzani przekroczyli autostradę i posuwają się lasem na wschód.

- Tu Wilkes - burknął szeryf - ruszamy natychmiast. Bez odbioru... - Odwrócił się i zakrzyknął do stojących wkoło mundurowych: - Patrol helikopterowy widział Bodine'ów! Za nimi!

Trzasnęły zamykane energicznie drzwi, zawyły syreny i policja w szyku ruszyła w stronę miasteczka.

- Jedźmy za nimi - zwróciłem się do Dana. - Może zdołamy im pomóc.

- Komu? - spytała Rheta, gdy wsiadaliśmy do volkswagena. - Szeryfowi czy

Bodine'om?

- Tym, którzy będą tego bardziej potrzebowali - odparłem zwięźle, bo sam nie znałem odpowiedzi na to pytanie.

Samochód zapalił z trudem i cały dygotał, gdy pędziliśmy jak najszybciej ku północy.

Uwijałem się przy zmianie biegów, jakbym na polecenie babci kręcił jaja z cukrem do świątecznego ciasta. Na prostej za miastem dostrzegłem w oddali tył pędzącego wozu Cartera, ale nie udało mi się go doścignąć. Może i Niemcy dokonali cudu ekonomicznego, lecz w żaden sposób nie da się przegonić garbusem dobrze podrasowanego wozu policji.

Mimo to cisnąłem pedał gazu do granic możliwości.

- Książka z legendami leży na tylnym siedzeniu - zwróciłem się do Dana. - Założyłem kopertą fragment o studniach.

- Już ją znalazłem.

Zaczął czytać na głos. Wpatrywałem się w szosę, trzymając cały czas nogę na pedale gazu i modląc się, by nie spotkało nas coś nieprzyjemnego, nim doścignemy policję.

Danowi zadrżał głos, gdy dotarł do opisu Josiaha Waltersa.

“Bogowie-bestyje mają macki niczym ośmiornice i szczypce niczym kraby, a odór z nich bije jak z ryby gnijącej”. - Wyprostował się na siedzeniu i szerzej otworzył oczy. - Przecież to dokładny opis obecnego wyglądu Jima i Alison - powiedział głucho. - Właśnie tak wyglądają i cuchną. Kiedy napisano tę książkę? - Spojrzał na stronę tytułową. - Tysiąc siedemset osiemdziesiąty czwarty. Mój Boże. Zerknąłem na niego.

- Fred Martin nie wierzy, że to prawda. Ale się myli. Opis jest zbyt dokładny.

Kimkolwiek był Josiah Walters, brzmi wiarygodnie. Jego charakterystyka stworów pozwala przypuszczać, że widział je na własne oczy.

- Czy te stwory rzeczywiście mogły pochodzić z Atlantydy? - wyszeptała Rheta.



- Atlantyda to nie taki znów szalony pomysł - powiedział Dan, opierając się łokciem o mój fotel. - Na potwierdzenie jej istnienia zebrano wiele przekonujących dowodów. Nie był to raczej szósty kontynent pośrodku Oceanu Atlantyckiego, lecz archipelag wysp i skał podwodnych wzdłuż wschodnich wybrzeży Ameryki. Bermudy to najprawdopodobniej jedyna wyspa, która pozostała po zatopieniu Atlantydy, ale wcześniej znajdowały się tam setki innych i nawet jeśli teoria Adama Prescottta tylko w części pokrywa się z prawdą, mogła się wykształcić rasa wodnych stworzeń żyjących wśród gór i raf oceanu.

- A co ze szkieletem znalezionym przez Curriego w Afryce? I z ludźmi, których ten lekarz, no jak mu tam było, badał w Indiach? Skąd oni się wzięli?

- Nie sposób na to odpowiedzieć bez dokładnej analizy wszystkich śladów. - Dan wzruszył ramionami. - Ale może po zalaniu Atlantydy te stwory popłynęły na wschód i starały się przeniknąć w system wodny Afryki i Indii, podobnie jak utrzymały się tu, w Connecticut. - Po chwili namysłu ciągnął dalej: - Wiem, że to brzmi jak rozważania wariata, ale dzwoniли do mnie z laboratorium w White Plains i potwierdzają, że te organizmy mają po dwa miliony lat, a może nawet więcej. Ta legenda to jedyne wyjaśnienie, jakie się udało dotąd znaleźć. Przeanalizujmy fakty. Woda zawiera pradawne organizmy, które zmieniają układ kostny ludzi i zwierząt. Do tej pory przynajmniej dwa domy zostały wypełnione tysiącami galonów wody, nie wiadomo skąd pochodzącej; widzieliśmy ludzi zabitych, rozdartych na strzępy. A na dodatek w każdym podręczniku antropologii autorzy przytaczają mnóstwo dowodów na istnienie Atlantydy lub czegoś do niej podobnego. Teraz mamy jeszcze książkę zawierającą tę legendę. Jakiż inny wniosek możemy wyciągnąć? To musi być prawda.

- Dan, sama nie wiem - odezwała się Rheta. - To zbyt fantastyczne.

- Tak się wydaje, jeśli odrzucisz dowody gromadzone przez całe stulecia. Czytałem trochę o tym w trakcie studiów. Niemal każdy naród na świecie ma legendy o gigantach i

potworach żyjących w morzu. Majowie wierzyli w Quetzalcoatl, który wyszedł z oceanu i dźwigał Ziemię na swych ramionach, może się to okazać typowym przykładem tego, o czym rozmawiamy. Kiedy twierdzili, że wyszedł z oceanu i dźwigał Ziemię na swych ramionach, może nie myśleli o podnoszeniu świata jak w wypadku mitu o Atlasie, lecz o tym, że zniknął w głębinach razem z lądem.

- Może tak - wtrąciłem. - Ale to wszystko tylko gdybania.

- Oczywiście, że tak. Ale na Wyspach Karoliny żyje plemię Ponape, które oddaje cześć bogowi-rybie. Podobno przemienia on najwierniejszych wyznawców w wodnych ludzi ze skrzelami na szyjach i mackami zwisającymi z boków.

Wpatrywałem się w brudną przednią szybę, ale nie dostrzegałem nawet zarysu pojazdu szeryfa czy jego ludzi.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz o tych legendach, ja również podchodzę do nich krytycznie, lecz ten cały Adam Prescott dotarł do najlepszego źródła informacji. Indianie żyjący na wschodnich wybrzeżach Ameryki mieli niesłychanie głęboki, naturalny związek z oceanem i ogromne wycucie jego nadnaturalnej mocy. Przyjrzyj się słowom Prescottta, że starszyzna plemion indiańskich przestrzegała białych, najeźdźców i wrogów przed bogami-bestiami, tak krwiożercze były owe bóstwa. Europejczycy wprawdzie zabijali czerwonoskórych, ale tu chodziło o niebezpieczeństwo straszniejsze i większe, niż człowiek może stworzyć innemu człowiekowi.

- Dostaję od tego gęziej skórki - przyznała Rheta.

- I bardzo dobrze - parsknął Dan - ale jeśli legenda w tej książce jest zgodna z prawdą, to Jim i Alison przemienili się w bezpośrednich następców bogów-bestii, którzy zstąpili z otchłani wszechświata.

- Dan, to zupełnie do ciebie niepodobne - zaprotestowałem. - Sądziłem, że

przedstawisz chłodną, naukową analizę, która mnie uspokoi.

Dan milczał przez dłuższą chwilę, nim się odezwał.

- Mówię tyle, ile sam wiem. Antropologia nie jest moją specjalnością. Ale pamiętam, czego mnie uczyli o języku i temu podobnych rzeczach i ta legenda świetnie pasuje do owych teorii. Widzisz, co tu napisano: "Wedle Indian owe potwory pochodzą z niebios, w ich języku ye muskun". Muskun w języku Indian oznacza sklepienie niebieskie, miejsce, gdzie przebywały najważniejsze bóstwa razem z pradawnymi, straszliwymi demonami. Raz bóstwa zdołały namówić jakiegoś człowieka, by ich zaprosił na ziemię, a wtedy zniszczyły ląd i wodę, jadły ciała ludzkie. Czytałeś, co H. P. Lovecraft napisał o najważniejszych bóstwach? I o najstraszniejszym z nich, demonie żyjącym w morzu Cthulhu? Mój nauczyciel języka twierdził, że jego prawdziwa nazwa brzmi Quithe. Po staroceltycku oznacza jamę lub otchłań. Indianie mówili o nim Ottawaquechee, co się tłumaczy jako "wody otchłani".

- I do czegoż ma prowadzić ten wspaniały popis wiedzy uniwersyteckiej? - zapytałem.

- Do wyjaśnienia wielu spraw - upierał się Dan. - Otóż skoro w tak wielu kulturach znajdują się przekazy o bogach-bestiach, krwiożerczych bóstwach, które wyszły z morza i powracały do niego, skoro tak wiele kultur nadało im imiona, powtarza legendy o ich pochodzeniu i zamierzeniach, to w historii tu zapisanej musi się znajdować ziarno prawdy. Do takiego przekonania doprowadza logiczna analiza faktów. Może to i dziwaczne, przerażające, szalone, ale to prawda. Wytarłem chusteczką do nosa zaparowaną przednią szybę.

- Dan - powiedziałem po chwili. - Zawsze się zgadzałem z twoim zdaniem. Wiem, że jesteś mądrym facetem, więc i teraz się z tobą zgadzam. Tylko szkoda, że właśnie mnie się to przytrafiło.

- Masz i mój głos - wymamrotała Rheta. Zobaczyłem ostry, długi zakręt, na którym

tańczyły unoszone wiatrem liście. Z całej siły nacisnąłem hamulec. W poprzek szosy stał samochód Cartera z włączonym kogutem. Dalej dostrześliśmy inny wóz policyjny, który wyglądał, jakby się wpakował na drzewo. Na poboczu zobaczyłem tylko jednego policjanta: mój rudowłosy znajomy z gabinetu szeryfa wymachując ramionami wskazywał w stronę lasu rosnącego po obu stronach.

- Widzieli te stwory! - krzyknął. - Poszli tam! W dół strumienia. Wysiadłem z samochodu, a Dan szybko odchylił siedzenie i również wydostał się na zewnątrz.

- To są samochody dla krasnoludków - stwierdził masując ramię. - I co robimy? Idziemy za nimi?

- Czemu nie? - odparłem. - Przecież podobno jesteście ekspertami. Rheto, wprawdzie ty też jesteś ekspertem, ale lepiej zostań tutaj. Popilnujesz samochodu, żeby go nikt nie ukradł.

Kiedy przeszliśmy przez drogę i suche liście na poboczu zaszeleściły nam pod stopami, dobiegło nas wołanie policjanta:

- Uważajcie, żeby was szeryf nie postrzelił! Od czasu do czasu pokrzykujcie, to będzie wiedział, że to wy, a nie potwory!

Pomachałem mu ręką i zagłębiliśmy się w las, starając się poruszać niezwykle cicho, ale przez te liście pewnie robiliśmy taki hałas, jak podczas marszu w misce pełnej płatków śniadaniowych.

- Widzisz ich? - spytał Dan. - Bo ja nikogo. Zatrzymaliśmy się na chwilę. Od drogi zasłaniał nas gąszcz jesionów, brzoź i jeżyn, dziwne cienie otaczały nas z każdej strony, a nad nami wisiało bladożółte niebo.

- Są chyba bardziej z przodu - stwierdził Dan - bo inaczej byśmy ich usłyszeli.

Już mieliśmy ruszać dalej, gdy wtem rozległa się kanonada i okrzyk bólu tak straszny,

że jego wspomnienie pewnie mnie będzie budziło w nocy przez długie lata.

## ROZDZIAŁ 7

Suche liście szeleściły pod stopami, gdy bieглиśmy na skos po zboczu wzgórza aż na dno wilgotnego wąwozu. Drzewa i zimozielone krzewy porastały go tak gęsto, że panował tu zmrok, wszędzie unosił się zapach gnijącego zielska i stęchlizny. Z trudem łapaliśmy powietrze, ale bez zatrzymywania gnaliśmy dalej przez krzewy oplatanie kolczastymi pnączami. W końcu trafiliśmy na polanę niemal całkowicie zasłoniętą zwartą gęstwiną roślin, gdzie ujrzeliśmy szeryfa Wilkesa i dwóch jego zastępców. Byli kredowobiali i wyglądali na przerażonych. Szeryf gorączkowo wykrzykiwał coś do krótkofalówki, starając się połączyć z samochodami.

- Co się dzieje? Ktoś jest ranny? - spytałem.

- Cholerne paskudztwo. - Potrząsnął nadajnikiem. - Widać coś pękło, kiedy upadłem.

- Dopadli Huntleya - odezwał się długonosy policjant Martino. - Zeszliśmy na dół, a wtedy ten przeklęty stwór wyskoczył z krzaków, chwycił go za ramię i wciągnął tutaj. Stało się to tak szybko, że ledwo zauważyliśmy. Wprawdzie wypaliliśmy parę razy, ale chyba nie trafiliśmy.

Carter wepchnął urządzenie do kieszeni spodni. Patrzył wściekły pociemniałymi z gniewu oczami.

- Powiedziałem, że dopadnę tego potwora, i dotrzymam słowa. Martino, wracaj do samochodu, zawiadom centralę i powiedz, żeby mi przysłali granatnik przeciwczołgowy. Ma go pułkownik Phelps, pewnie będzie żądał wyjaśnień, ale musi poczekać. Nie chcę ściągnąć sobie na kark całej Gwardii Narodowej, to ostateczność.

- Tak jest - odparł Martino i pobiegł do samochodów.

- Widziałeś, dokąd ten stwór poszedł? - zapytał Dan. Carter wskazał grubym palcem

największe chaszcze.

- Tam. Chwycił Huntleya za ramię. Trzask, prask i po zawodach. Gęstwina taka, że igły nie wetkniesz. Skurwysyn.

- Zauważyłeś, jaki był duży? - dopytywał się Dan. Szeryf skinął głową i szeroko rozłożył ręce, jak przy opisywaniu rozmiarów złowionej ryby.

- Duży, naprawdę duży. Jedne kleszcze większe, drugie mniejsze. Te większe były jak u kraba ważącego pięćset, sześćset funtów.

- A głowa i tułów? Dobrze widziałeś?

- Nie. Za szybko zniknął. Huntley szedł za nami, zobaczyłem tylko szczypce i czubek łba pokrytego chropowatym, pomarszczonym pancerzem. Jak kask, tylko w zielone i czarne plamy.

Dan popatrzył na mnie.

- To Jim albo Alison. Albo ten facet, Karlen.

- Z Jimem lub Alison przynajmniej mógłbym spróbować porozmawiać - odparłem.

Carter Wilkes wgapił się we mnie, jakbym powiedział coś nieprzyzwoitego.

- Porozmawiać z nimi? Do diabła, co masz na myśli?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Wcześniej zdołałem się dogadać z Jimem, wprawdzie z miernymi rezultatami, ale wtedy nie znałem całej sytuacji.

- A teraz już znasz?

- Przynajmniej wiem więcej niż na początku. Wiem, dlaczego ulegli przemianie, więc może zdołam im pomóc.

Carter z westchnieniem oparł dłonie na biodrach.

- To już szczyt wszystkiego. Sądzisz, że się wpakujesz w te cholerne jeżyny i ostrokrzewy, żeby sobie pogawędzić z krabem-mordercą, który na śniadanie rozrywa na

strzępy pięcioro ludzi?

- Mogę chociaż spróbować, nie? - spytałem.

- Tylko nie rozumiem po co? - warknął.

- Carter. - Dan mówił w imieniu nas obu. - Jim i Alison byli miłą, sympatyczną parą i w tym, co się wydarzyło, nie ma ich winy. Naszym zdaniem stali się narzędziami w ręku przedstawicieli jakiejś pradawnej cywilizacji, która zdołała przetrwać w głębi studni na terenie zagrody Bodine'ów.

- Cywilizacja? Co wy bredzicie? Dan pogładził łysą czaszkę.

- W tych stronach ludzie już od setek lat powtarzali historie o bóstwach żyjących pod ziemią i moim zdaniem opierali się na faktach. Wystarczy dokonać analizy wody ze studni Bodine'ów, by się przekonać, że jest absolutnie wyjątkowa, a organizmy w niej żyjące niezwykle i szczególne. To nie ich wina, Jima i Alison, że się napili tej wody. Nie wiedzieli, że w niej coś jest. Padli ofiarą tego, co kryje się pod ziemią. A na ich zachowanie wpływa siła przemożniejsza od nas i co gorsza Bodine'owie nie mają wyboru.

- Właśnie dlatego wolę rozmawiać niż strzelać - dodałem cicho. - Zasłużyli, by im dać szansę.

- A nie sądzisz, że i ty na nią zasługujesz? - warknął Carter. - Przecież już dwukrotnie cię zaatakowali, I co według ciebie się stanie, jeśli ruszysz za tym potworem w krzaki? Co on zrobi? Zafunduje ci piątkę?

- Sam się muszę przekonać - odparłem. - Ale jeśli ja nie pójdę, nikt inny tego nie zrobi.

- Cholera, to prawda - lakonicznie rzucił drugi z policjantów.

- Wiesz, że mam prawo ci zabronić - odezwał się szeryf. - To rzecz policji i mógłbym ci kazać się wynosić i nie przeszkadzać.

- Ale tego nie zrobisz.

- Nie. Też lubiłem Bodine'ów. I jeśli uważasz, że masz szansę ocalenia ich, to sumienie mi nakazuje udzielić ci pomocy. Pamiętaj, nie obowiązek, lecz sumienie. I dlatego dostaniesz tylko pięć minut. Zrozumiałeś? Pięć minut i ani sekundy więcej. Potem puszczamy gaz łzawiący i zaczynamy strzelać. Uśmiechnąłem się nerwowo.

- Jeśli tak uważasz...

- Właśnie tak. Nie życzę sobie następnych rodzin rozdartych na strzępy tylko dlatego, że okazaliśmy odrobinę dobroci krabom.

- Dobrze, wszystko jasne - odparłem. Pożyczyłem od policjanta parę skórzanych, czarnych

rękawiczek i szalikiem Dana okręciłem uszy oraz dolną część twarzy. Kiedy w skarpetki upychałem mankiety spodni, przybiegł zadyszany Martino i powiedział, że centrala wysłała dwa samochody z ludźmi, bronią i granatnikiem, obsługiwanym przez stanowczego i zdecydowanego sierżanta Kominsky'ego z Gwardii Narodowej, ale to akurat nie zmartwiło Cartera. Potrafił sobie poradzić z każdym sierżantem.

- Dobra, Mason - odezwał się szeryf, patrząc na zegarek. - Masz pięć minut. W razie kłopotów zawołaj. Albo wrzaśnij, zależy, jak duże będą kłopoty.

- To pewne jak w banku - odparłem ponuro. Starąłem się nie planować, co będę robić, gdy przedrę się przez jeżyny. Jeszcze chwila wahania i wystarczyłoby proste zdanie: "Nie idź", bym stojąc z boku przyglądał się, jak pociski rozrywają kraby na strzępy, Dan położył dłonie na moich ramionach.

- Nikt cię do tego nie zmusza - Dowiedział cicho.

- Wiem, nie musisz mi przypominać.

- No, to powodzenia.



Carter wręczył mi swoją trzydziestkęósemkę.

- Umiesz się tym posługiwać?

- Niezbyt.

- Oglądałeś serial Starsky i Hutch.

- Tak, na swoje nieszczęście.

Carter uniósł do poziomu wyprostowaną rękę, a drugą podtrzymał ją w łokciu.

Wyciągnięty palec imitował broń.

- Robisz to tak: podtrzymujesz, mierzysz, naciskasz.

Nie bój się i celuj w narządy wyglądające na ważne: głowa, oczy.

Bez większego entuzjazmu popatrzyłem na trzymany w dłoniach rewolwer.

Najwidoczniej strzelanie było amerykańskim sposobem na rozwiązywanie wszystkich problemów. Może właśnie dlatego porzuciłem psychologię. Ludzie oczekiwali, że każdy problem, od impotencji po lęk przestrzeni, da się rozwiązać dzięki psychologicznemu bing-bang.

- Pięć minut - rzucił Carter, odwracając się na pięcie.

Pomachałem do Dana i ruszyłem na skraj polany.

Przedzieranie się przez krzewy przypominało spacer między zwojami drutu kolczastego. Ostre gałęzie rozdzierały ubranie, raniły twarz i ze złośliwą elastycznością odskakiwały, gdy próbowałem je odginać. Zdawało mi się, że upłynęło już parę minut, a ja pokonałem zaledwie pierwszą kępę, lecz zobaczyłem Dana i Cartera, którzy trzymali uniesione kciuki życząc mi powodzenia. Pomachałem do nich bez przekonania i głębiej wsunąłem się w gąszcz.

Gdy wreszcie przedostałem się przez pierwszą linię jeżyn i ostrokrzewów, droga zrobiła się łatwiejsza. Wprawdzie rozciąłem sobie czoło i podarłem rękawiczki, ale poza tym

nic mi się nie stało. Wsunąłem rewolwer za pasek, bo bardziej mi przeszkadzał, niż pomagał, i zupełnie nie dodawał odwagi. Skoro Carter zażądał granatnika, który potrafi wyrwać dziurę w zbrojonej stali, to ta broń stanowi dla mnie nikłą obronę.

Spojrzałem na zegarek. Minęły już dwie minuty, może dwie minuty i trzydzieści sekund. Stąpałem jak najciszej po suchych, poskręcanych liściach, osłaniając twarz uniesionym ramieniem i zatrzymując się co chwila, by nasłuchiwać.

Rozlegał się tylko szelest liści i bardzo delikatny szum wiatru wśród krzewów. Wtem usłyszałem coś jeszcze: trzask pękających gałęzi i dźwięk rozdierania, mlaskania.

Zmartwiałem. W powietrzu rozniósł się zapach ryby.

Szybciej ruszyłem do przodu, dotarłem przed zwartą ścianę jeżyn i kolczastych pnączy. Na czworakach poczołgałem się około dwudziestu stóp, chowając się w poszyciu.

Mlaskanie dobiegało teraz wyraźniej. Niezwykle ostrożnie uniosłem głowę ponad krzewy, by zobaczyć, co się dzieje.

Potwór znajdował się zaledwie piętnaście stóp ode mnie. Nigdy go wcześniej nie widziałem w świetle dziennym i teraz ogarnął mnie paniczny lęk. Po plecach przebiegły mi ciarki, aż się skuliłem, a w głowie łomotała tylko jedna myśl: wyskocz z ukrycia i uciekaj co sił w nogach.

To stworzenie zupełnie nie przypominało ani kraba, ani homara; ogromne, ohydne, rozmiarem dorównywało niewielkiej cysternie benzynowej. Skorupa pokrywająca grzbiet była chropowata i groteskowo nakrapiana. Nad nią wyrastał łeb niczym u owada, z ruszającymi się czułkami i czarnymi, lśniąco ślepiami na nieustannie obracających się szypułkach. Co chwila szare, pomarszczone powieki, niczym napletek na odrażającym penisie, przesłaniały gałki oczne.

Główne kleszcze osiągnęły niezwykle rozmiary i przypominały ciężkie, mordercze

narzędzie. Poniżej skorupy wyrastała płatanina pajęczych nóg pokrytych twardym, czarnym włosiem i skostniałymi wyrostkami przypominającymi wyschnięte strupy. Na tułowiu wiły się macki niczym u ośmiornicy: miękkie, białawe, pozostające w ciągłym ruchu, które trzymały poszarpane ciało Huntleya.

Potwór mlaskając pożerał wnętrzności policjanta, z rogowego dzioba zwisały zakrwawione resztki, ale mniejsze kleszcze wciąż rozrywały żebra, szukając pod nimi bardziej miękkich, smakowitszych kąsków.

Zawartość żołądka podeszła mi do gardła i przez dłuższy moment walczyłem z mdłościami. Udało mi się jakoś je powstrzymać, lecz oblałem się zimnym potem i dygotałem jak liść. Głęboko zaczerpnąłem powietrza i wyciągnąłem trzydziestkęósemkę. Zapewne wobec tak wielkiego i straszego potwora okaże się bezużyteczna, ale nie posiadałem żadnej innej broni.

- Jim? Alison? - próbowałem zawołać, ale z wyschniętych ust nie wydobył się żaden dźwięk. Odkasznawszy spróbowałem jeszcze raz. - Jim! Alison!

Obrzydliwy stwór przestał jeść i gwałtownie uniósł łeb. Na ziemię z dzioba kapłała krew. Przez chwilę panowała absolutna cisza nie przerywana nawet śpiewem ptaka czy szelestem liści na drzewach.

- Jim? To ja, Mason Perkins! Tu jestem!

Potwór odwrócił się ku mnie. Jeszcze mógłbym wydostać się z tych zarośli, ale nie chciałem uciekać. Przecież nie po to się tu przedzierałem. Przyszedłem sprawdzić, czy w jakiś sposób można uratować Bodine'ów. Przyszedłem, bo kiedyś byli ludźmi i może nadal nimi pozostali. Przyszedłem wyłącznie dlatego, że również jestem człowiekiem.

Powoli wstałem z ziemi. Bestia była zaledwie o dziesięć stóp ode mnie i niemal się dusiłem, czując gorący smród poszarpanego ciała i psującej się ryby. Szczęki powoli

przeżuwały resztki trzewi Huntleya, a czarne ślepią bez ruchu wpatrywały się we mnie. Szare powieki rytmicznie unosiły się i opadały.

- Jim, jeśli to jesteś ty, to musimy porozmawiać - zacząłem drżącym głosem.

Chyba zwariowałem, odzywając się tak do czegoś, co przypominało istotę z plakatów reklamujących filmy grozy. Na pobliskiej gałęzce usiadł mały, brązowy drozd i przyglądał się nam z ciekawością. Wiatr zaszeleścił wśród liści drzew.

Przez kilka długich sekund sądziłem, że stwór nie odpowie. Był przecież teraz jeszcze bardziej przerażający, niż gdy spotkaliśmy się w zagrodzie starego Pascoe, i może utracił zdolność mówienia. W końcu usłyszałem świszczący dźwięk w jego gardle, niewyraźne, wydobywające się z trudem syczenie i zacząłem mieć nadzieję, że nadal posiada mózg istoty ludzkiej.

- Mason.., - wykrztusił.

Ruszył w moim kierunku na pajęczych nogach, a macki falowały w powietrzu.

Cofnąłem się o krok.

- Jim, to ty? - zapytałem głośno. - To naprawdę ty?

- Nie... - szepnął stwór. - Już... nie...

- Jim, czy mnie rozumiesz? Rozumiesz, co do ciebie mówię? Przyszedłem ci pomóc.

- Pomóc?... Nie... potrzebuję... pomocy...

- Ale szeryf zamierza sprowadzić granatnik przeciw-czołgowy. I zabije cię, choćbyś miał nie wiadomo jak twardy pancerz. Przedrze się przez ten gąszcz i rozgniecie cię na miazgę.

Stwór podszedł jeszcze bliżej, więc znów się cofnąłem, by utrzymać stały dystans. W uniesionej dłoni dzierżyłem rewolwer i czułem, jak kolba lepi się od mojego potu.

- Nic... mnie... nie... powstrzyma... Mam... obowiązki... zadanie... do... wypełnienia...

- Obowiązki? Zadanie? A co z twoimi zobowiązaniami wobec Alisona? Wobec

Olivera? I nas wszystkich?

Po chwili milczenia bestia zasyczała:

- Jesteście... wszyscy... niczym... Ta... ziemia... będzie... teraz... nasza...

- Jim, jeśli nadal potrafisz mówić, to masz w sobie jeszcze coś z człowieka -

powiedziałem głośno. - Musisz próbować stawić opór. Gdy zdołasz uwierzyć, że nadal jesteś człowiekiem, może nie wszystko będzie stracone. W przeciwnym razie oni cię zabiją jak amen w pacierzu.

- Nic... nie... pojmujesz...

Nie drgnąłem, choć potwór się zbliżył.

- Czyżby? Wiem o Atlantydzie i o tym, jak twoi władcy ukryli się w źródłach, aby przetrwać po katastrofie - rzuciłem wyzywająco. - I wiem o Quetzalcoatl i Quithe, i nawet o Ottauquechee.

Stał przez chwilę w milczeniu. W lesie zapadał zmrok. Nieoczekiwanie przypomniała mi się scena z Alicji w Krainie Czarów, gdy cień gigantycznej wrony zaciemnia niebo. W mokrych zaroślach Connecticut świat z drugiej strony lustra wydawał się szalony i nierealny, a jednak poczułem niezwykle wyraźną woń śmierci i pierwotnej żądz. Niebezpieczeństwo było bardzo blisko.

Powoli, chrzęszcząc łuskami, stwór, który kiedyś był Jimem Bodine'em, uniósł się na tylnych łapach. W pierwszej chwili sądziłem, że szykuje się do ciosu niczym rozwścieczona kobra, ale on stał tylko wyprostowany, jego czułki wiły się gwałtownie, a czarne ślepia patrzyły na mnie, szeroko rozwarte. Łbem sięgał niższych gałęzi drzew i przypominał pionowo ustawiony samochód.

- Kto... ci... powiedział... o... Ottauquechee? - wyszeptał.

- Nikt mi nie mówił, przeczytałem. O bestiach pod ziemią i o bóstwach, które przybyły z gwiazd i władały Atlantydą. Jim, wiem, kim teraz jesteś, co próbujesz zrobić, i postaram się udaremnić twoje plany. Ze względu na ciebie, bo kiedyś byłeś moim przyjacielem, na Alison, a przede wszystkim ze względu na tych niewinnych ludzi, których zabijacie,

Na moich oczach krabopodobnego stwora zaczęła spowijać mgła. Zamrugałem oczami i wpatrywałem się z napięciem: on naprawdę się zmieniał. Czułki rozwiewały się niczym obłok, a łeb jakby się kulił. W powietrzu rozchodziły się jakieś drgania i miałem wrażenie, że ktoś przy głowie ustawił mi drżący kamerton.

Dym się wił i pełzał formując najróżniejsze kształty. Zdawało mi się, że widzę człowieka niezwyklej postury w kapturze na głowie, później zaś kolczaste stworzenia. Zdawało mi się, że widzę znajome twarze, których jednak do końca nie rozpoznawałem, zamazane twarze ze smutnych, samotnych snów. Zdawało mi się, że widzę nieśmiało uśmiechniętego Jima Bodine'a. Zdawało mi się, że widzę siebie.

- Jestem wszystkim i każdym - wyszeptał głos. - Jestem sługą boga wieków minionych i wieków przyszłych. Mam na imię legion, a obliczem moim miliony. Przygotowuję zmartwychwstanie największego spośród żyjących w głębiach wszechświata, w otchłani pradawnego wygnania, skąd nikt nie może powrócić nieproszony. Masz rację, to do nas należały źródła, gdy po raz pierwszy objęliśmy we władanie ziemskie posiadłości. Musieliśmy uciekać, gdy morskie odmęty zaczęły się zapadać, i szukać schronienia w zatokach i rzekach oraz zostawić nasze nasienie pomiędzy warstwami ziemi.

To był głos Bodine'a, łagodniejszy, wytworniejszy niż normalnie, ale bez wątplenia głos Bodine'a. Z uwagą wpatrywałem się w dym i ujrzałem Jima, jak stoi pośrodku lasu, ubrany w robocze spodnie, uśmiechnięty i zadowolony. Jak to możliwe? Zmienił się w

potwora czy nie? W ogromnego, krwiożerczego kraba? A może to był tylko sen, jak ten o pływaniu w głębinach oceanu i wdychaniu zimnej, słonawej wody? A może to jakieś bezsensowne złudzenie?

- Jestem sługą boga wieków minionych i wieków przyszłych - powtórzył szept. -

Stworzono mnie, bym zaspokoił każdą jego zachciankę, przywrócił go do życia zgodnie z ceremoniałem, który był jedynym prawem, gdy na nieboskłonie lśniły inne gwiazdy, a ludzie służyli bestii, Quithe, demonowi zwanemu przez Indian Ottauquechee, który panuje nad wodami otchłani. A w głębinach wszechświata jego imię to bóg wieków minionych i wieków przyszłych, on jest panem moim i panem waszym, on powstanie z grobu, by znów panować nad ludźmi tej ziemi jak za czasów potęgi Atlantydy.

Jim postąpił parę kroków w moim kierunku. Słyszałem niepokojące, dziwaczne mamrotanie, z trudem rozróżniałem we mgle zarys jego postaci. Zdawało mi się, że faluje i rozplywa się niczym obraz na ekranie kiepskiego telewizora i momentami przypominał zaledwie cień samego siebie. Ale nadal się uśmiechał i trzymał dłoń wyciągniętą w geście powitania, jakby wcześniejsze wydarzenia były tylko nocnym koszmarem, a potwór nigdy nie istniał. Jego uśmiech mówił: "Już dobrze, znów jestem Jimem, o nic się nie martw. Wszystko to było tylko snem, grą wyobraźni. Nadal możemy być przyjaciółmi".

- Jim? - zapytałem zdenerwowanym głosem, unosząc broń. Wiedziałem, że to on, ale nadal się bałem.

- Nie masz się czego obawiać - wyszeptał głos. -

Wkrótce nadejdzie dzień, gdy wielki bóg powstanie ze źródła, w którym spał od tak dawna, i wszyscy ludzie złożą mu pokłon, z radością oddając siebie w dobrowolnej ofierze. Nadejdzie dzień, gdy bóg ponownie zawładnie umysłami ludzi i ogień zapłonie na tym kontynencie od wybrzeża do wybrzeża. Nadchodzi dzień sądu, a sędziami będą bogowie-

bestie. O nim mówią uczeni mężowie pradawnych czasów, uczniowie Sa-to-ga i Ya-go-sath. To oni pierwsi zawezwali Quithe, mego pana, i założyli podwodny kontynent, Atlantyde. W owych czasach ludzie wody panowali nad oceanem, największym władztwem na ziemi. To były dni chwały i ofiary, owe dni powrócą.

Jim znalazł się zaledwie o trzy stopy ode mnie. Sunął miękkimi, płynnymi ruchami, jego oczy patrzyły martwo niczym zdechłe, czarne robaki. W tym właśnie momencie zdałem sobie sprawę, że popełniłem fatalny błąd, że to wcale nie Jim, i jeśli coś z niego pozostało, to włada tym niepodzielnie ów sługa Quithe. Jim stojący przede mną stanowił zaledwie przelotne złudzenie, projekcję wspomnień samego Jima o tym, jak wyglądał w lustrze. Wszystko miał po niewłaściwej stronie! Przedziałek we włosach, guziki na wełnianym bezrękawniku, dziwacznie wykrzywioną twarz, co dostrzegamy w lustrzanych odbiciach innych ludzi. Był taki jak we własnych wspomnieniach, ale ja pamiętałem innego człowieka. Musiał wyczuć mój nagły niepokój, bo gwałtownie sięgnął ku mnie prawą dłońią. Cofnąłem się o krok i przewróciłem, zawadziwszy o krzak jeżyn, a wtedy jego ręka przemieniła się w gigantyczne kleszcze, które mocno ugodziły mnie w głowę. Półprzytomny potoczyłem się po ziemi, zerwałem na równe nogi i zacząłem uciekać. Nie miałem czasu, by spojrzeć za siebie, ale przedzierając się przez chaszczę z uniesionymi ramionami, by osłonić oczy, słyszałem, że stwór podąża za mną. Łapy szurały po poszyciu lasu, a gigantyczne kleszcze szczękały niczym setka noży po setce talerzy.

Na nic moje wysiłki. Utknąłem w gąszczu jeżyn, ubranie miałem w strzępach, twarz pooraną, a pistolet upadł pod splątaną kępę cierni. Nie mogłem się nawet wymotać na tyle, by stanąć twarzą w twarz z potworem, który gnał za mną, chcąc roztrzaskać mi głowę i wydrzeć wnętrzności.

- Carter! Na Boga! - zawołałem tylko.



Przez długą, przeraźliwą chwilę słyszałem jedynie kłapanie dzioba i zgrzyt łusek pancerza. Zacisnąłem powieki i czekałem na pierwszy, miażdżący cios kleszczy.

Wtem usłyszałem wystrzały i otworzywszy oczy, zobaczyłem, jak Carter i dwaj policjanci pędzą ku mnie przez zarośla.

- Mason! - wrzeszczał Carter. - Głupia pierdoło! Minęło twoje pięć minut!

Wyplątałem się z cierni, rozrywając rękaw płaszcza i wyszarpując z tyłu spodni szeroką, trójkątną dziurę. Ale byłem wolny, biegłem, a wokół rozbrzmiewała palba rewolwerowa.

Gdy się wyrwałem z zarośli, Carter i policjanci ruszyli za mną biegiem i wkrótce znaleźliśmy się na polanie, kaszląc i ciężko dysząc niczym uczestnicy maratonu emerytów.

Ani razu nie spojrzałem za siebie. Na długo wystarczy mi widoku stworzenia, którym stał się teraz Jim. Może nawet na zawsze. Gdy już dotarliśmy w bezpieczne miejsce, usiadłem na ziemi z głową ukrytą między kolanami i dziękowałem Bogu, że nadal mam płuca, które bolą, podrapane nogi i oczy, które potrafią płakać nad młodym mężczyzną, który już nigdy nie stanie się człowiekiem.

Dan, sięgnąwszy do tylnej kieszeni spodni, wyjął małą, srebrną piersiówkę.

- Whisky? - zapytał. - Old Granddad. Popatrzyłem na niego. Miał łzy w oczach.

- Dan, kto by pomyślał, że jesteś zdolny do takich uczuć - powiedziałem, łykając alkohol z ulgą, która przychodzi po chwilach wielkiego zagrożenia.

Czekaliśmy na polanie, paląc, rozmawiając i popijając, a Martino obserwował, czy potwór nie nadchodzi. Gdy minęło dwadzieścia minut, a bestia się nie pojawiła, uznaliśmy, że uciekła w głąb lasu. Każdy, kto widział lasy Connecticut, wie, jak są gęste i jak cholernie trudno znaleźć w nich kogokolwiek tam się ukrywającego.

Tuż po trzynastej z hukiem wjechał na polanę czerwony dżip, wyskoczyło z niego

trzech zastępców szeryfa i zameldowało, że przybyły posiłki, dodatkowa broń i granatnik przeciwczołgowy. Szeryf podszedł do samochodu, skąd mierzył go badawczym spojrzeniem gruby sierżant z Gwardii Narodowej w doskonale odprasowanym mundurze. Miał furażerkę, okulary bez oprawek i cienki wąsik a la Rudolf Valentino.

- Przypuszczani, że wiecie, jak się tym posługiwać - sarkastycznie powitał go Carter.

Sierżant powoli, spokojnie zamrugał powiekami.

- Przeszedłem pełne przeszkolenie wojskowe, szeryfie. Obsługa broni przeciwczołgowej, raketnic, walka wręcz.

- Doskonale, sierżancie. Czy wiecie, przeciw komu będziecie walczyć?

- Pułkownik Phelps powiedział, że to tylko ćwiczenia. Współpraca z siłami cywilnymi na wypadek najazdu nieprzyjaciela.

- To niemal prawda - przytaknął Wilkes. - Tylko że to nie są ćwiczenia. Mamy tu naprawdę poważny problem i liczymy, że go nam rozwiążecie.

- Problem, szeryfie? - Sierżant znów zamrugał oczami. Oparłem się o drugi bok dżipa i zacząłem ostrożnie:

- Czy widział pan, sierżancie, jakiś film science fiction? O inwazji istot z innej planety? O potworach, które starają się opanować ziemię?

Patrzył na mnie, zastanawiając się, kim jestem.

- Noo, tak - odparł niepewnie.

- Właśnie taki problem pojawił się tutaj. W tych lasach kryje się wrogi stwór pokryty łuską i chcielibyśmy, żebyście go załatwili.

- Czy ten pan jest policjantem? - sierżant zapytał Cartera.

Wilkes zmierzył mnie rozbawionym spojrzeniem.

- Nie, sierżancie, ten pan nie jest policjantem. To najdroższy i najmniej pracowity

hydraulik w New Milford.

Sierżant najwidoczniej nie miał ani odrobiny poczucia humoru.

- By wypalić z tej broni, muszę mieć rozkaz wydany przez odpowiednie czynniki - stwierdził.

- Biorę na siebie pełną odpowiedzialność - oświadczył Carter. - A teraz zabieraj broń z dzipa i ruszamy. My tu gadu, gadu, a ten sukinsyn ucieka coraz dalej.

Sierżant powiódł wzrokiem od Cartera do mnie, ode mnie do Dana i od Dana do Martino. Dopiero, gdy się upewnił, że żaden z nas nie wygląda na żartownisia, powoli wytoczył się z pojazdu i sięgnął po broń. Granatnik był starannie owinięty w brezent khaki i minęły przynajmniej cztery minuty, nim sierżant uporał się ze zdjęciem płachty i zamocowaniem celownika. Wreszcie obwieścił, że jest gotów.

- Chciałbym jednak zaznaczyć - zwrócił się do nas wszystkich uroczyście - że ta broń ma cholerną siłę i mniejsze zwierzę zdmuchnie z powierzchni ziemi.

Carter klepnął go w plecy.

- To nasze nie jest takie małe, możesz się nie martwić. Wielkością dorównuje średniej ciężarówce, a charakter ma jeszcze gorszy.

- W takim razie prowadźcie mnie do niego. Aha, nazywam się Hubert Rosner.

- Dobra, Hubercie. Ja jestem Carter Wilkes. Możecie się do mnie zwracać szeryfie.

Utworzyliśmy półkole z sierżantem Rosnerem pośrodku i wolno, ostrożnie ruszyliśmy przez zarośla w kierunku miejsca, w którym ostatni raz widziałem potwora. Carter znalazł swoją trzydziestkę tam, gdzie ją upuściłem, i podał mi ją z grymasem, który dobitnie mówił, że cierpliwość szeryfa do mnie jest na wyczerpaniu. Uśmiechnąłem się do niego niepewnie.

Niebo pokryły chmury i zrobiło się dość ciemno, szliśmy więc bardzo powoli. Po

kilku minutach dotarliśmy do miejsca, gdzie na ziemi leżało to, co pozostało z Huntleya. Ten widok ostatecznie przekonał sierżanta Rosnera, że nie bawimy się w podchody, tylko rzeczywiście poszukujemy niebezpiecznej bestii.

- A niech to diabli - powiedział z szacunkiem, zdejmując furażerkę.

Carter stał w milczeniu, chwilę nasłuchiwał, przechyliwszy głowę na bok. W końcu rzucił:

- Chyba coś słyszę. Tam. Jakieś pół mili za drzewami. Rosner nie mógł oderwać oczu od poszarpanego ciała Huntleya.

- Szeryfie, pana zdaniem to ten stwór to zrobił? - zapytał z wyraźną niechęcią.

- A skąd mam wiedzieć - odburknął Carter. - Ale żeby się przekonać, musimy go poszukać, prawda?

- Tak, chyba tak.

Od tego miejsca las piał się w górę na grzbiet wzgórza, które opadało kamienistymi uskokami na wschód aż do wartko płynącego dopływu Housatonic. Pięliśmy się na szczyt w milczeniu przerywanym jedynie szczebiotem ptaków i ciężkim dyszeniem tych spośród nas, którzy lekceważyli ćwiczenia gimnastyczne. Carter pomimo swojej wagi znacznie nas wyprzedził i pierwszy dotarł do szczytu, gdzie stanął patrząc w dół, ku rzece. Nad jego głową ciągnęły skłębione, ciężkie chmury, a na pomoc, w kierunku Ellsworth Hill, migotały błyskawice. Mógłbym przysiąc, że przez moment czułem drganie podłoża, jakby coś wielkiego, ukrytego w głębi ziemi przewracało się we śnie.

- Coś tam jest na dole! - zawołał Wilkes. - Martino, podaj mi lornetkę. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy go dopaść.

- Szczęście - warknąłem pod nosem. - Jeśli tak wygląda szczęście, to wolałbym zostać w domu i modlić się o nieszczęścia.

W końcu wszyscy wdrapaliśmy się na skalisty grzbiet, pod nami rozciągała się ciemna dolina, którą przecinały nurty spienionej rzeki, płynącej na zachód przez szczeliny i progi, by wpaść w rozlane wody Housatonic. Carter wskazywał w dół na rudawą kępę jesionów, choć ja tam widziałem tylko zarośla, szare, poszarpane skały i splątane pnącza. Wiedziałem, że te okolice, aż po Ken, miały opinię tajemniczych, od stuleci krążyły tu opowieści o czarownicach, diabłach i demonach ukazujących się pod postacią dziwnych stworów.

Uwierzyłem we wszystko, ale z całą pewnością nie dostrzegłem krabopodobnego potwora.

- O tam! - wskazał Carter. - Widzę, jak się rusza jego grzbiet!

Wpatrywałem się w zbocze, ale tylko coś tam zamajaczyło, jakby drgnęło. Na pewno nie przysięgłbym przed sądem, że widziałem cokolwiek poza kilkoma przejętymi drozdami, a już w żadnym wypadku nie dostrzegłem celu godnego granatnika sierżanta Rosnera.

Wilkes przyjrzał się przez lornetkę kępie jesionów, po czym przywołał sierżanta niecierpliwym ruchem ręki. Ten posłusznie ruszył ku niemu.

- Hubercie, widzisz to? - spytał Carter. - Widzisz tam na dole tego przeklętego potwora?

Rosner ujął lornetkę i bardzo długo przez nią spoglądał. W końcu przytaknął.

- Coś widzę, szeryfie, ale nie wiem, co to jest. Jeśli chcecie, żebym w to strzelił, i bierzecie na siebie pełną odpowiedzialność, to strzelę.

- Dobra, sierżancie, do roboty. Załatwcie to krwiożercze bydlę i po zabawie.

Niespokojni, w milczeniu przyglądaliśmy się, jak Rosner niespiesznie zdejmuje broń i plecak pełen naboju. Załadował granatnik, położył się płasko na ziemi i opierając łokieć o spadłą gałąź, ustawiał celownik z tak powolną dokładnością, że Carter musiał odwrócić wzrok, by powstrzymać wybuch pasji.

W końcu sierżant pochylił się nad bronią i przymykając oko wycelował. Carter stał za

nim obgryzając paznokcie i wpatrując się w kępę jesionów, jakby zamierzał wypuścić z oczu deszcz błyskawic niczym bohater komiksów dla dzieci.

- Wał, jak już będziesz gotów - rzucił bardzo zgryźliwie.

- Gotów, szeryfie - odparł Rosner i wypalił. Zabłysło, coś zagwizdało i usłyszeliśmy stłumiony dźwięk,

jakby ktoś walnął w poduszkę. Z kępy jesionów uniósł się obłoczek szarawego dymu przypominający brudny kalafior płynący ku górze w zwolnionym tempie. Carter wyglądał na rozczarowanego.

- Trafiłeś go? - zapytał.

- Chyba tak. Chce pan, żebym jeszcze raz wystrzelił?

- Tak, na wszelki wypadek.

Przyglądaliśmy się, jak sierżant rozładowuje broń. Ustawił ponownie celownik, coś kombinował z ręcznym zegarkiem, w końcu po dobrych pięciu minutach wiercenia i dłubaniny przygotował się do oddania drugiego strzału. Jeśli Rosjanie kiedykolwiek by postanowili nas zaatakować, wdarliby się tutaj z całą armią, nim sierżant Rosner zakończyłby wstępne przygotowania i zabrał się do odpierania ataku.

- Gotów? - zapytał Carter.

W oddali rozległ się grzmot, a błyskawica niczym języczek węża polizała szczyty wzgórz South Kent.

- Tak jest, szeryfie - odparł i znów pochylił się nad lufą. - Wypalę natychmiast, gdy dostanę rozkaz.

Carter Wilkes uniósł rękę, jakby miał powiedzieć: "Ognia", gdy wtem stało się coś dziwnego. Znów rozległo się to regularne pulsowanie, które słyszałem w lesie, gdy bestia zmieniła się w zjawę Jima Bodine'a. Dźwięk był nieznośnie wysoki i miałem wrażenie, że

czaszka mi wibruje w rytm jednostajnej, niesłyszalnej nuty.

Przysięgam, że na naszych oczach, na smaganim wiatrem grzbiecie wzgórza w West

Connecticut postać sierżanta Rosnera zaczęła się rozplýwać i zamazywać, tak samo jak

wcześniej sylwetka Jima, kiedy potwór próbował mnie przekonać, że naprawdę rozmawiam z

Bodine'em. Wtem Rosner odwrócił się do nas z wyrazem zdumienia na twarzy, ale nie

rozumieliśmy, co się dzieje, i nie potrafiliśmy mu pomóc.

Jego twarz zrobiła się niebieska, potem przerażająco czerwonosina. Wił się po ziemi,

chwyając za gardło i szarpiąc ubranie, jakby się dusił. Nagle z potwornym gulgotem z jego

nosa i ust zaczęła płynąć woda gwałtowną falą, która dosłownie zatopiła go na naszych

oczach - zatopiła od wewnątrz!

Próbowaliśmy przytrzymać sierżanta na ziemi, kiedy się szarpał pragnąc zaczerpnąć

powietrza, a Carter nawet zaczął robić mu sztuczne oddychanie. Ale woda dalej wytryskiwała

strugami z żołądka i płuc biedaka, dusił się coraz bardziej. Po paru sekundach osunął się na

mech, policzki miał błękitne i zrozumieliśmy, że umarł. Woda wciąż płynęła z ust i nosa na

ziemię, choć sługa Quithe spełnił już swoją misję.

- Utonął - burknął Carter. - Tutaj, na szczycie tego cholernego wzgórza.

Pokiwałem głową.

- Potwory, z którymi walczymy, potrafią robić wręcz niewiarygodne rzeczy z wodą.

- To niemożliwe. Widziałem na własne oczy, a jednak nie wierzę.

Dan uklęknął przy rozdętym ciele Huberta Rosnera, które przypominało zwłoki

topielców wyciąganych z Hous-atic. Uniósł powiekę zmarłego i stwierdził:

- To rzeczywiście jest możliwe. Według mnie to potężne odwrócenie starego zaklęcia

sprowadzającego deszcz, które stosowali Indianie w Arizonie. Każdy czarownik o

wystarczająco potężnym zasobie fal alfa potrafi wytworzyć małe pole energii

elektropsychicznej, która przemieniła w wodę wilgoć z otaczającego go powietrza. Pewien czarownik skupiając fale o różnej częstotliwości potrafił wywołać opady deszczu na własnej dłoni, ta zaś siła jest tysiąc razy potężniejsza. Nie wiemy, skąd pochodzi, ale na pewno niczego dobrego nie przynosi.

- Przecież chyba pochodzi od kraba, nie? – spytał niespokojnie Carter.

- Nie wiem - odparł Dan - ale raczej nie. Wedle legendy o Atlantydzie, a potwierdza to wypowiedź stwora, w którego przemienił się Jim, te kraby są tylko sługami prawdziwych bogów. Za czasów rozkwitu podziemnego kontynentu bogowie zmusili ludzi, by im służyli i spełniali ich zachcianki, jak i teraz to robią. Ta energia psychiczna przepłynęła przez mózg kraba, ale nie pochodziła od niego. Najprawdopodobniej przyszła spod ziemi, ze źródła, w którym leży krwiożercze bóstwo.

Carter nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Nigdy wcześniej nie słyszał, by Dan tak mówił. Był dobrym szeryfem, bezpośrednim i rzeczowym człowiekiem, dlatego niepokoiły go i drażniły te mętne rozważania o bogach--bestiach oraz energii psychicznej. Miał jednak dość inteligencji, by wiedzieć, kiedy jego ludzie i przyjaciele naprawdę w coś wierzą. Pojmował też, że stary łyson Dan, poważny gość, nie opowiadałby takich historii bez racjonalnych przesłanek i empirycznych dowodów. Umysł Dana precyzją przypominał papierek lakmusowy i za to właśnie Carter darzył naukowca takim szacunkiem.

- A więc sądzisz, że coś tam jest? - spytał z wysiłkiem. - Jakiś potwór w głębi studni Bodine'ów?

- Fakty na to wskazują. Choć muszę przyznać, że to wątpliwe dowody i różnie je można interpretować. Ale tak, moim zdaniem tam coś jest.

- Może byśmy rozwiercili studnię i sprawdzili? Dan wzruszył ramionami.

- Rzecz bardzo niebezpieczna.



- A jeśli to zrobimy? - nalegał Carter. - Jeśli to coś znajdziemy i zabijemy? Czy dzięki temu pozbedziemy się i wszystkich innych stworów?

- Skąd mogę wiedzieć? Chyba tak. Trudno w tej chwili coś przesądzać.

Martino głośno kichnął i powiedział:

- Raczej warto spróbować. Nie złapiemy ich nigdy, skoro z odległości sześciuset stóp potrafią topić ludzi.

Carter popatrzył na nas obu.

- Co na to powiecie? Zacząć wiercenie natychmiast? Wczoraj zawiadomiłem inżyniera okręgowego, powinien już mieć przygotowane zaplecze.

- Chyba powinieneś - przyznał Dan. - Ale widzieliśmy, co się stało z ludźmi, którzy się narazili tym złowrogim bóstwom, więc według mnie trzeba to przeprowadzić nadzwyczaj ostrożnie.

- Oczywiście. Chyba nie sądzisz, że weźmiemy się do tego jak niedouczony hydraulik.

- Powinieneś się postarać o medium. O kogoś wrażliwego na psychiczne impulsy. Jeśli coś się będzie kroilo, zdołacie uciec, nim ktoś oberwie.

- Medium? Od kryształowych kul i takich innych banialuków?

- Właśnie tak.

Carter podrapał się po brodzie.

- Martino, znamy jakieś medium? Kogoś przepowiadającego przyszłość?

Martino myślał chwilę, nim odpowiedział.

- W Boardman's Bridge jest stara pani Thompson. Tylko ona mi przychodzi do głowy.

Zerknąłem na Dana, wysoko unosząc brwi.

- Wygląda na to, że w Boardman's Bridge mają często do czynienia z niezwykłymi zjawiskami. Pamiętasz Josiaha Waltersa z książki legend Litchfield?

Dan popatrzył na mnie z namysłem.

- Tak, to prawda. Może i ona się nadaje. Carter, pogadamy z nią z Masonem, a potem przyłączymy się do was u Bodine'ów. Ale na waszym miejscu nie zaczynałbym wiercenia, dopóki nie wrócimy. Nie potrzeba żadnych więcej utonięć ani rzeźni. To coś na dnie źródła najwidoczniej z wielką radością wykazuje swoją wyższość nad śmiertelnikami przykutymi do łądu.

- Szeryfie, ten krab wraca. Popatrzcie na dół, tam w lesie - odezwał się ponuro Martino.

W okamgnieniu odwróciliśmy się, by popatrzeć na skaliste zbocze. Po dłuższej chwili dostrzeżliśmy gwałtowne, szybkie ruchy w cieniu kępy drzew, gdzie ukrył się stwór. Carter sięgnął po granatnik upuszczony przez Huberta Rosnera i szybko sprawdził, czy jest naładowany i gotowy do strzału.

- Carter, na twoim miejscu zostawiłbym to i uciekał co sił w nogach - mruknął Dan przypatrując się ruchom w zaroślach. - Chyba dlatego zaatakował sierżanta, że ten mu zagrażał. Jeśli zrobisz to samo, może i ciebie utopić.

Carter oblizał wargi, jakby miał ochotę na mocniejszy trunek dla kurażu.

- Wystarczy jeden strzał. Kulka w łeb.

- Jeżeli rzeczywiście wykonuje polecenia boga-bestii z głębin ziemi, to nawet rozerwanie na kawałki go nie powstrzyma - upierał się Dan.

- Dan ma rację - wtrąciłem. - W tej sytuacji lepiej zrezygnować. Zabierajmy ciało biednego Huberta i w nogi.

Carter stał przez chwilę z bronią uniesioną do strzału. Po czym niechętnie skinął

głową i wszyscy chwyciwszy ciało sierżanta za ręce i nogi, podnieśliśmy je z ziemi. Był ciężki niczym martwy hipopotam, nadal miał w sobie mnóstwo wody i wątpiłem, czy nawet we czterech zdołamy donieść go przez las do drogi. Ale nikt nie chciał go tu zostawić.

Widzieliśmy przecież, co potwór zrobił z rodziną w samochodzie i z Huntleyem.

Gdy schodziliśmy z grzbietu, Martino zerknął przez ramię.

- Idzie w tę stronę. Może trochę skręca ku zachodowi, ale zdecydowanie podąża w naszym kierunku.

- Chce dorwać ciało - stwierdził Dan. - Albo żywi się mięsem, albo je gromadzi.

- Gromadzi? - zapytał z obrzydzeniem w głosie Carter. - A niby po co?

- Może przeczesuje okolice, by znaleźć ofiary dla swego pana w głębi źródeł? Tylko pomyśl. Jeśli tam pod ziemią kryje się jakaś bestia, która wraca do życia po setkach lat uśpienia, to czego najbardziej potrzebuje? Mnóstwa pokarmu.

Carter przystanął, by mocniej chwycić sierżanta za kostkę.

- Pokarm - powtórzył z goryczą, patrząc na zmarłego. Gdy zsuwaliśmy się nieporadnie po stoku, zdało mi się, że słyszę kogoś wołającego mnie po imieniu. Słuchanie utrudniały grzmoty dobiegające z oddali i szum porywistego wiatru. Ale po chwili znów doleciał mnie ten głos, tym razem wyraźniejszy, i nagle zdałem sobie sprawę, kto mnie woła.

- Poczekajcie - przystanąłem. - To Rheta.

- Co Rheta? - zapytał Dan.

- Jej głos. Widać ruszyła naszym śladem.

Dobiegł nas okrzyk na wpół zagłuszony przez wiatr i szum drzew.

- Mason! - A po chwili: - ...on!

Bez wątpienia wołała Rheta; znajdowała się za zachodnim grzbietem wzgórza, skąd właśnie uciekliśmy.

Carter położył na ziemi nogę Huberta, poszliśmy za jego przykładem i złożyliśmy ciało biednego sierżanta Gwardii Narodowej na ziemi.

- Jeśli ona tam jest - powiedział Martino - to wpadnie prosto na potwora. Właśnie tam podążał i to bardzo szybko.

- Może wyczuł, że ona się zbliża? - zasugerował Dan. - Może usłyszał ją przed nami.

Nic nie odpowiedziałem, bo biegłem co sił w nogach. Raz krzyknąłem: "Rheto!", ale postanowiłem oszczędzać oddech na wspinaczkę, pokonanie grzbietu wzgórza i dotarcie do dziewczyny przed cholernym potworem. Słyszałem, że pozostali mężczyźni ruszyli za mną. Modliłem się z całej duszy, by mi starczyło siły, bym biegł szybko i we właściwym kierunku. Zdawało mi się, że minęły wieki, nim dotarłem na szczyt i rozejrzałem się po dolinie. Niebo pociemniało jeszcze bardziej, nad głową załomotała seria grzmotów. W pierwszej chwili nic nie widziałem, ale gdy przystanąłem, dostrzegłem blond włosy Rhety i jej jasny płaszcz. Schodziła na drugą stronę grzbietu o jakieś dwieście stóp ode mnie. Wołała:

- Mason! Mason!

Stanowiła doskonałą przynętę dla potwora. Zobaczyłem, że ukrył się w krzakach zaledwie sześćdziesiąt stóp od niej. Widziałem porowatą, zielono-czarną łuskę, błyszczące ślepia i przerażające kleszcze uniesione do góry - tak strasznie przemienił się mój przyjaciel Jim. Zrozumiałem, że w żaden sposób nie zdołam jej ostrzec czy dobiec na czas.

## **ROZDZIAŁ 8**

Carter Wilkes musiał być bliżej mnie, niż sądziłem. Jako praworządny oficer widać uważał za swój obowiązek utrzymywanie dobrej kondycji, ale nigdy się pewnie nie dowiem, jakim cudem ten grubas wbiegł tak szybko po zboczu z ciężkim granatnikiem w dłoniach. Najważniejsze, że wbiegł.

- Rheto! Rheto! Tędy! Uciekaj w tę stronę! - krzyknąłem, a równocześnie Carter

przykłęknął na jedno kolano, wycelował i wypalił.

Rheta się odwróciła. Pocisk poleciał ze świstem, huknęło, błysnęło i na pancerzu kraba zatańczył pomarańczowy płomień. Wydawało mi się, że widzę czarno-zielone kawałki fruujące w powietrzu, choć może się myliłem. Stwór się zatrzymał, wymachując gniewnie kleszczami, a ja pędziłem po stoku, krzycząc do dziewczyny, by uciekała. Potknąłem się i upadłem, przez część drogi toczyłem się wśród kamieni i zarośli, ale dopadłem jej i chwyciłem za rękę, po czym ruszyliśmy ciężko dysząc pod górę.

Spojrzałem na szczyt. Na tle atramentowego nieba przecinanego błyskawicami widziałem zarys postaci umundurowanych policjantów. Carter i Martino przykucnęli, dzierżąc rewolwery w dłoniach i mierząc w kraba. Zaryzykowałem zerknięcie przez ramię: bestia gnała za nami i po chwili zamieszania spowodowanego wystrzałem z granatnika wróciła do poprzedniego tempa. Słyszałem, jak ziemia dudni pod łapami, a skorupa chrzęści ocierając się o skały.

Carter otworzył ogień. Kule latały ze świstem wokół nas, ale stwór się nie zatrzymał nawet na chwilę.

- O Boże! - wydusiła Rheta. - Już nie mogę!

- Mason, szybciej! - wołał szeryf. - Na Boga! Już was dogania! Szybciej!

Tym razem nie odważyłem się spojrzeć za siebie. Czuję, że potwór następuje nam na pięty. Przy każdym jego oddechu dolatywał do mnie odór gnijącej ryby. Na sekundę przymknąłem oczy, słyszałem tylko zmęczony tupot naszych stóp i ciężkie dyszenie. -

Mason! - wrzasnął Carter.

W tym momencie Rheta wykręciła nogę w kostce i upadła twarzą na ziemię. Od szczytu dzieliło nas zaledwie dziesięć stóp. Pistolety znów wypaliły, ale Carter wiedział, że kule nie robią potworowi krzywdy, słyszeliśmy, jak rykoszetem wałą w drzewa.

Chwyciłem Rhetę za ramię i krzyknąłem, by wstała. Uniosła się, ale jęknąwszy z bólu runęła na trawę. Poczulem na twarzy lodowaty oddech potwora i zrozumiałem, że nas dogonił.

Odwróciłem się, a ciemne niebo niemal całkowicie przesłoniła jeszcze ciemniejsza postać z kleszczami i dziobem. Zobaczyłem białawe, wijące się macki i po raz pierwszy w życiu ogarnął mnie obezwładniający, mrozący krew w żyłach strach. Potworny, śmiertelny strach.

- Jim! - wydusiłem. - Jim! Na litość boską, nie! Jim!

Kleszcze otwarły się z chrzęstem. Rheta tylko cienko pisnęła. Potwór stał nad nami i gdybym nawet próbował odtoczyć się na bok, i tak by mnie złapał. Pochylał się ku nam z dziką, niepowstrzymaną żądzą wyrwania naszych płuc, serc i wnętrzności.

- Jim! - zawyłem. - Jim, posłuchaj! Jim! Jim!

Potwór na moment zastygł w bezruchu. Powieki zakryły ślepia, znów je odsłoniły, macki falowały na lekkim wietrze. Było tak cicho, że słyszałem, jak czułki ocierają się o siebie. Carter oddalony o parę kroków stłumił kasznięcie.

Wtem, niesłychanie powoli, krab zaczął się cofać. Trwaliśmy bez ruchu, niemal tłumiąc oddech, by nie zakłócić tej chwili, i patrzyliśmy, jak bestia się odwraca i rusza w dół.

Rheta uniosła głowę i wpatrywała się we mnie, jakby nie wierzyła, że to naprawdę ja.

Uniosłem dłoń nakazując jej milczenie.

Potwór dotarł już prawie w cień lasu. Na ziemię spadły pierwsze krople deszczu.

- Patrzcie, co się dzieje - chrapliwie powiedział Carter. Wytężyłem wzrok. Krab

utykał, zataczał się. Przystanął na moment, wstrząsały nim gwałtowne dreszcze. Nagle

pochylił się na bok i przewrócił na plecy. Dopiero wtedy zobaczyliśmy, że ma na brzuchu

głęboką ranę i walczy o każdy oddech. Najwidoczniej ostatni pocisk Cartera po odbiciu od

drzewa trafił stwora w tułów. Jakie to szczęście, że Wilkes nie umiał dobrze celować.

- Zostań tutaj - szepnąłem do Rhety. - Pójdę go obejrzeć.

- Nie mam wyboru - uśmiechnęła się słabo. - Moja kostka odmówiła posłuszeństwa.

Ostrożnie ruszyłem po stoku w kierunku leżącego potwora. Zachowałem bezpieczną odległość, ale i z tego miejsca widziałem, że rana jest najprawdopodobniej śmiertelna. Pocisk wszedł w białe, nie pokryte łuską ciało tuż ponad pękiem macek i rozorał je, nim wybuchł. Smród palonej, popsutej ryby był nie do zniesienia, zwłaszcza że przyłączył się do niego jeszcze inny zapach, zapach ludzkich zwłok.

Ogarnęły mnie mdłości, odwróciłem się, a za moimi plecami deszcz łomotał o pancerz konającego stwora. Carter stanął trochę z boku z kapeluszem w dłoni.

- Nie musisz mu okazywać szacunku - rzuciłem. - To już na pewno nie jest Jim.

- Okazuję szacunek Huntleyowi i wszystkim niewinnym ofiarom tego monstrum - odparł nie patrząc na mnie. - Powiedziałem, że dopadnę łajdaka i dotrzymałem słowa.

- Jeszcze ich paru zostało. Przynajmniej dwoje, a może i więcej, jeżeli ludzie pili wodę.

Carter wcisnął kapelusz na głowę.

- Teraz się dobiore do ich szefa. Moim zdaniem, jedyny sposób, by z tym skończyć, to dopaść tego boga-bestię, czy jak on się tam zwie.

- Quithe, bóg otchłani.

- Dobra.

Dan i jeden z policjantów pomagali Rhecie kuśtykać w dół zbocza. Ominęli ciało sierżanta Rosnera, by zaoszczędzić jej przykrego widoku. Już nie musieliśmy znosić zwłok na dół. Spojrzałem po raz ostatni na potwora leżącego na stoku wzgórza, na jego białawy rozpruty brzuch, i pomyślałem o ugotowanych krabach na tackach w sklepie rybnym. Wtem

na moich oczach jakby zaczął się rozpadać, kurczyć. Rozległo się ni to westchnienie, ni mlaśnięcie i brzuch bestii rozsypał się w czarny, lśniący stos przetrawionych resztek z pożartych ludzi. Deszcz spłukiwał brązowoczerwony płyn na skały i mech, a pod pułapem z niskich, burzowych chmur krab zmałał do takich rozmiarów, jakby był zrobiony wyłącznie z tektury i plastiku. Po chwili zorientowałem się, że między dwiema skałami leży wciśnięte ciało Jima, ale nie chciałem tam schodzić i mu się dokładniej przyglądać. Może Bodine mi pomógł w tej ostatniej sekundzie, gdy krzyczałem, by nas nie zabijał, może i nie. Nie miałem ochoty zastanawiać się nad tym pytaniem.

- Idziemy - powiedział Carter. - Mamy jeszcze mnóstwo roboty.

- Tak - odparłem z roztargnieniem i ruszyłem za szeryfem w głąb lasu.

Dom pani Thompson, ciemny i zniszczony jak większość zabudowań w tych stronach, stał z dala od szosy. Otaczała go grupa dębów ostrolistnych i zarośla sumaka jadowitego, a niezwykle zielona, bujna trawa porastała grząską, czarną ziemię. Budynek musiał mieć przynajmniej ze dwieście pięćdziesiąt lat i na widok charakterystycznego podjazdu uznałem, że kiedyś służył jako stacja pocztowa dyliżansów. Zapewne wszystkie rury kanalizacyjne były ołowiane z miedzianymi zaworami, a zbiorniki cynowe.

Gdy z Danem podjechaliśmy tam volkswagenem Rhety, dawno już minęła trzecia po południu. Obaj znajdowaliśmy się w stanie dziwnego zmęczenia, które następuje po gwałtownych przeżyciach, i nadawaliśmy się wyłącznie do łóżka. Ale bez względu na to, czy zdołamy nakłonić panią Thompson do udzielenia nam pomocy, o piątej Carter zacznie rozwiercać studnię Bodine'ów, a do tego co najmniej dwa potwory kręciły się po okolicy, złowrogie bóstwo zaś pokazało już swoją siłę. Dlatego absolutnie nie mogliśmy sobie pozwolić na odpoczynek.

Gwałtowna ulewa zmieniła się w uporczywą, przenikliwą mżawkę, która otulała



drzewa niczym welon panny młodej-topielicy. Wysiedliśmy z samochodu i zatrzasnąwszy drzwi ruszyliśmy po zroszonej trawie ku ciemnej werandzie domu pani Thompson, gdzie na wyszczerbionej poręczy wisiał przemoczony chodnik, a bluszcz oplatał przegniłe oparcie bujanego fotela, który ktoś tu ustawił pewnie z dziesięć lat temu. Podszedłem do ciemnozielonych drzwi i zastukałem zardzewiałą kołatką w kształcie lwiego łba. Wydała dźwięk przypominający walenie młotkiem w pustą beczkę.

Ku naszemu zaskoczeniu właścicielka niemal natychmiast otworzyła jedno z podnoszonych okien wychodzących na werandę. Wcale nie była stara, trochę po czterdziestce, miała czarne włosy gęsto przetykane siwymi nitkami i twarz świetnie pasującą do postaci sierżanta od lat służącego w marynarce wojennej: gęste brwi, duży nos, ciężki podbródek.

- Przywieźliście materace?

- Materace? - spytałem. - Jakie materace?

- Te, które mieliście przywieźć. Te, które oddałam do pokrycia nowym materiałem.

- Nie jesteśmy tapicerami, proszę pani - odparłem.

- Nie?

- Nie. Ja jestem hydraulikiem, a mój przyjaciel chemikiem.

Zamrugała oczami, po czym powtórzyła:

- Hydraulik i chemik? Przytaknąłem.

- Nie przypominam sobie, że bym wzywała hydraulika lub chemika - stwierdziła po

chwili namysłu. - Nie mam pracy dla domokrążców o tym fachu.

- Pani jest Hildą Thompson? - zapytałem z wahaniem.

- Tak.

- Pani Hilda Thompson, wróżka?

- Tak.

- Dlatego tu przyjechaliśmy. Mamy problem z pani dziedziną i potrzebujemy pomocy.

Na moment zapadła cisza. Na całą minutę. Deszcz opadał łagodnie na splątany gąszcz ogrodu, a pani Hilda Thompson mierzyła nas badawczym spojrzeniem, jakby chciała przeświecić nasze umysły i przekonać się, czego naprawdę chcemy. W końcu powiedziała: “Dobrze”, i cofnęła wystawioną przez okno głowę. Po chwili otworzyła drzwi wejściowe.

- Przepraszam za bałagan - rzuciła, prowadząc nas przez ciemny, zagrzybiony korytarz, obok kutego z żelaza stojaka na parasole, gdzie tłoczyły się najróżniejsze przedmioty począwszy od wędek, a skończywszy na kijach golfowych, ale nie dostrzegłem żadnej parasolki. Na ścianach wisiały wyblakłe dagerotypy przedstawiające poważnych mężczyzn z bokobrodami; jeden z podpisów głosił: “Holmwood Buffen, Medium, 1880”. W końcu dotarliśmy do przeciekającej oszklonej werandy, gdzie schły nie podlewane paprotki, a czarny labrador o matowej sierści i zaropiałych oczach leżał bez ruchu pod stołem, na którym ustawiono liczne doniczki zmarniałych pelargonii. W całym domu pachniało kurzem i stęchlizną. Pani Thompson wskazała nam podniszczone krzesła ogrodowe, ciężkie, żelazne meble, które skrzypiały przeraźliwie, gdy przesuwaliśmy je po podłodze z kafelków. - Lubię, gdy pada, wczuć się w deszcz, być częścią pogody.

Uśmiechnęła się do nas, siadając naprzeciwko. Była ubrana w długą do ziemi, przykurzoną czarną suknię i naszyjnik z kamieni księżycowych, na lewym rękawie widniała plama z zupy pomidorowej.

Spojrzałem w górę, na szklany dach, popękany i aż zielony od porostów. Deszcz spływał po zniszczonych drewnianych wspornikach, a na szczycie piszczała i skrzypiała metalowa chorągiewka obracana przez wiatr.

- Czy mogę zapalić? - spytałem.

Pani Thompson przyzwalająco skinęła głową. Przez grzeczność poczęstowałem ją cygarem, a ona je przyjęła. Dan czekał w milczeniu, aż zapalimy.

- W czym mogę panom pomóc? - zagadnęła otulona obłokiem wonnego dymu. - Już bardzo dawno nikt nie zwracał się do mnie o pomoc.

- Czy zna pani stare legendy dotyczące Litchfield i New Milford?

- Niektóre.

- A czy słyszała pani tę o bogach, władcach Atlantydy, którzy po jej zatopieniu ukryli się w źródłach pod Nową Anglią, by czekać na sposobność wyrwania się z dobrowolnego więzienia?

Po dłuższej chwili pani Thompson wolno skinęła głową.

- Tak, słyszałam tę historię. Dan odkaszlnął.

- Wiem, że to brzmi jak opowieść szaleńca, ale wierzymy, że to się niebawem stanie.

Wierzymy, że bogowie z Atlantydy rzeczywiście kryją się pod ziemią i szykują, by... hmm... by coś zrobić, gdy się wydostaną na powierzchnię.

Pani Thompson przytaknęła.

- Tak.

- Nic więcej, tylko "Tak"? - zapytałem. Odwróciwszy się, zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem.

- Tyle mogę powiedzieć. Znam tę legendę i wiem, że w większości jest prawdziwa.

Więc gdy przychodzicie do mnie, by oznajmić, że bogowie-bestie niedługo się pojawią, jak to obiecywali, gdy ginęło ich królestwo, to cóż innego mam powiedzieć?

- Jak pani trafiła na to podanie? Nikt inny w tych okolicach go nie zna.

- Muszę je znać - odparła z uśmiechem. - Od pokoleń w mojej rodzinie jesteśmy

uwrażliwieni na nadnaturalne zjawiska. Moja matka twierdziła, że praprapra-dziadek rozmawiał nawet / jednym z bogów żyjących pod ziemią. Odnalazł jego kryjówkę, gdy się zagłębił w podziemne korytarze i jaskinie ciągnące się pod wzgórzami.

- Może przypadkiem nazywał się Josiah Walters? - Wydmuchnąłem kłęb dymu.

- Znalazł pan egzemplarz Legend z Litchfield, co? - zapytała z uśmiechem.

- Tak. Wtedy właśnie poznałem całą tę historię. Ale niewiele się dowiedziałem o samych bogach ani o tym, co chcą osiągnąć.

- Nic dziwnego. Wszyscy sądzili, że Josiah Walters zupełnie oszalał. Pewnego dnia wszedł pod ziemię i zniknął na cały tydzień. Gdy wrócił na powierzchnię, oświadczył, że szedł pięć mil przez groty i korytarze pod stanem Washington, pływał w podziemnych jeziorach i przeżył dzięki temu, że jadł dziwaczne, ślepe ryby, które tam się mnożą.

- Czy ktokolwiek próbował to sprawdzić? - wtrącił Dan.

- Nie sądzę. W pamiętnikach nie wyznał, gdzie się znajdują ukryte wejścia i wyjścia z jaskiń. Dla każdego innego człowieka taka wycieczka byłaby zbyt niebezpieczna, a gdyby naukowcy czy poszukiwacze skarbów zakłócili spokój złowrogiego bóstwa, to by się zbudził i zemścił na wszystkich.

- Trudno się dziwić, że uznano go za wariata.

- Oczywiście. Dziadka zamknięto w przytułku dla obłąkanych w Hartford na trzy miesiące, ale w końcu go wypuszczono. Niestety, pobożni mieszkańcy wioski odkryli jego pamiętniki i w większości zniszczyli jako dzieło szatana. I nawet byli dość blisko prawdy.

- Co pani ma na myśli? - spytałem. Zapatrzyła się na zielony, zaniedbany ogród.

- Z nielicznych ocalałych notatek Josiaha Waltersa wynika, że odnalazł wcielenie absolutnego zła, na podstawie którego starożytni stworzyli wizerunek szatana. Największy bóg-bestia, imieniem Chulthe czy Quithe, przed wiekami został wezwany z głębin

wszechświata i stworzył w podwodnych górach Atlantydy swoje królestwo niedostępne dla ludzi.

- Kto go wezwał? Czy Josiah o tym wspomina?

- Może pan to sam przeczytać. Jeśli pan chwilę poczeka, to znajdę pamiętniki.

Spojrzałem na zegarek: dziesięć po czwartej.

- Oczywiście, z przyjemnością.

- Może mają panowie ochotę na herbatę miętową?

- Tak, z chęcią - odparł Dan po chwili wahania. Gdy pani Thompson poszła po pamiętnik i zrobić

herbatę, żaden z nas się nie odezwał. Byliśmy zbyt napięci i zmęczeni i choć pani

Thompson wróciła dwadzieścia po czwartej, nam się wydawało, że minęło dziesięć lat, a nie

dziesięć minut. Na tacy stały biało-zielone filiżanki z bardzo cienkiej porcelany z delikatnymi

uszkami i dzbanek o niespotykanym kształcie główki kapusty. Obok leżał plik pożółkłych

kartek przewiązanych ryżową wstążką. Pani Thompson wręczyła nam papiery.

Razem odcyfrowywaliśmy pochyłe, niewyraźne pismo Josiaha Waltersa. Gdybym

miał urządzenie do przenoszenia się w czasie, to bym się cofnął o dwieście lat i dał autorowi

porządny długopis. Przeczytanie zaledwie dwóch pierwszych stron zajęło nam całe dziesięć

minut, ale gospodyni nas nie poganiała, rozsiadła się wygodnie i popijała herbatę ze spokojem

damy bawiącej na przyjęciu u znajomych.

Pierwsza strona w pliku nosiła numer pięćdziesiąty czwarty. Widocznie tylko tyle

ocalało z rąk pobożnych przyjaciół Waltersa. Tekst zaczynał się tak: "...ze źródeł, szczęśliw,

że znów mogę oddychać powietrzem. Zakryłem dobrze to wyjście, aby innych powstrzymać

od zamierzenia się na podobną peregrynację, gdzie terminy srogie spotkać ich mogą, co

wiem, bom dobrze poznał naturę potwora.

I wiele rozmyślań poświęciwszy owym potworom, a zwłaszcza najpotężniejszemu z nich Chulthe, który spoczywa w głębinach pod wzgórzami w pobliżu Washington, jasnym się dla mnie stało, że twarzą w twarz stanąłem z wcieleniem istoty, Szatanem lub Diabłem z dawien dawna zwanym. Chociaż w odległych czasach Chulthe został zesłany w głębinę wszechświata, to wezwał go na naszą planetę Aaron, który wznosił modły nie do Złotego Cielca, jak mówi Stary Testament, ale do Złotej Bestyi o wyglądzie tak odrażającym, że nikt jej opisać nie potrafi, lecz z pewnością nie przypominającym Cielca. I pozostał na naszej planecie Chulthe od dnia owego, budując królestwo swoje w górach pod wielkim morzem i ustanawiając ostatnich bogów-bestyje lennikami swymi. W dniach potęgi Atlantydy Chulthe panował nad nimi i nad ludźmi, którzy ulegli straszliwej przemianie, by służyć jego chuciom. A gdy Atlantyde pochłonał ogień spod oceanu, bogowie-bestyje uciekli i skryli się w źródłach, co wodę wszystkim dają, jedni w Anglii, drudzy w rzekach Afryki, Indii, a niektórzy nawet w samym sercu gór, w jaskiniach pod Nową Anglią. Tam to spoczywa potężne wcielenie zła, Chulthe, i czeka na dzień, gdy powstawszy będzie władać nad resztą całą bogów-bestyj i nad ludźmi, co żyją u morskich wybrzeży. A choć leży pod ziemią, to diabelskie dzieła jego i jemu podległych sprawiły, że ludzie poczęli wierzyć w szatana, a wizerunki bogów-bestyj odrażę na powierzchni budzą. Potwierdzają to słowa i znaki, jakie mi sam Chulthe objawił w grotach pod New Milford i Washingtonem, a najwyraźniejszy jest ten oto...”

Następowało kolejnych dziesięć czy dwanaście kartek, żałowałem, że nie mam czasu ich przeczytać, bo Josiah opisywał na nich, jak się bronił przed chrześcijańskim gniewem swych bliźnich i jak został zamknięty w przytułku. Ale najważniejsze były jego wypowiedzi o Quithe czy Chulthe, a w tej chwili, gdy Carter miał rozpocząć wiercenie w głąb ziemi przy farmie Bodine'ów, nie było czasu na historyczne ciekawostki.

Przewróciłem stronę.

- Gdzie jest ten znak? - spytałem panią Thompson. - Napisał, że przedstawia znak.

- I tak zrobił. Ja go zniszczyłam.

- Pani go zniszczyła? Ma pani pojęcie, jak ważny on się może okazać?

- Oczywiście. Jestem bardzo dobrą wróżką.

- Dlaczego pani to zrobiła? Ten znak mógł być naprawdę bardzo ważny. Może dzięki niemu pokonalibyśmy potwora.

Odstawiła filiżankę i mocno zacisnęła usta w twardą, nieprzyjazną linię.

- Pani Thompson? Podniosła na mnie wzrok.

- Nie chciałam go w tym domu. Wprowadzał niepokój. Jak długo tu był, zdarzały się różne rzeczy.

- Jakie rzeczy? - zapytał Dan. Spuściła oczy.

- Skoro jest pan chemikiem, zapewne nazwie je pan zjawiskami fizycznymi. Ale to było gorsze. Kiedy siedziałam tu sama, w innych pokojach widziałam zarysy postaci ludzkich. Słyszałam głosy. Nie przyjacielskie, ludzkie, jak podczas seansu, ale dziwne, obce, które rozmawiały między sobą i nie zwracały na mnie uwagi. Bardzo się bałam. Nadal czasem się boję. Wydaje mi się, że Josiah Walters odkrył kwintesencję samego zła, które nie spocznie, dopóki nie odzyska swojego królestwa.

- Czy mogłaby pani opisać ten zniszczony znak? - poprosił cicho Dan.

Czekaliśmy w milczeniu. Deszcz pluskał na dachu ponurej werandy, a nad wzgórzami znów rozległy się grzmoty. Pani Thompson głęboko odetchnęła i nakreśliła palcem kształt na białej powierzchni stołu.

- Widzieliście go na pewno już wcześniej. W dawnych czasach nazywano go okiem szatana. To jest oko cyklopowe, i choć to bardzo prosty rysunek, zdaje się zawierać całą

głębie okrucieństwa i niegodziwości, jakie można sobie tylko wyobrazić. To symbol Chulthe, symbol i znak przedstawiający jego oko. - Przerwała na chwilę, po czym ciągnęła: - Ten znak w naszych okolicach łączył się z tak straszną grozą, że jego znaczenie zostało wyparte ze zbiorowej świadomości. Jeśli go teraz pokazać ludziom, nie będą wiedzieli, co oznacza, a jednak poczują się nieswojo. Ostatnio zdarzyła się dziwna historia: ten znak pojawił się w jednej z ksiązek o pradawnych bogach pochodzących z przestrzeni kosmicznej, znacie takie



dzielka. Autor uznał ten rysunek za prymitywny obraz istoty z innej planety. - Uśmiechnęła się. - Oczywiście się mylił, to był bardzo rzadki, uproszczony obraz Chulthe. Ale choć sam autor i inni ludzie z tych okolic o tym nie wiedzieli, to książka tak źle się sprzedawała, że ją odesłano wydawcy. Ludzie brali ją z kontuaru, przeglądali i gdy natrafiali na tę ilustrację, natychmiast odkładali. Przełknąłem ślinę.

- Pani Thompson, nie ulega wątpliwości, że odbiera pani fale emitowane przez Chulthe. Skoro pani widziała te postacie i słyszała głosy?

Zmierzyła mnie twardym spojrzeniem.

- Tak, to prawda. Czy to takie dziwne, jeśli się pamięta o moim dziedzictwie?

- Nie, proszę pani, ale się zastanawiam, czy zgodziłaby się pani użyć tej właściwości dla dobrego celu?

Nie odpowiedziała. Wszyscy troje siedzieliśmy na zapuszczonej werandzie, ulewa się wzmogła, zapadał zmierzch. Była za pięć piąta. Niedługo Carter wyda polecenie robotnikom, by rozpoczęli wiercenie.

Pani Thompson się odwróciła.

- Wie pani, o co prosimy? - spytał Dan.

Przytaknęła.

- Chcecie, żebym była waszym kanarkiem. Chcecie, żebym sprawdzała, czy duchowe powietrze jest czyste, gdy wasi ludzie będą wiercili studnie w poszukiwaniu Chulthe.

- Kanarek to za mocno powiedziane - wtrąciłem. - Kiedy górnicy zabierali ze sobą kanarki w głąb kopalni, to decydowali się na wyjście dopiero wtedy, gdy ptaki się przewracały i zdychały. Zmierzyła mnie głębokim, świdrującym spojrzeniem.

- Nie sądzi pan, że i mnie może to spotkać? Nie sądzi pan, że psychiczna siła Chulthe może mnie zniszczyć?

- Hmm, ja...

- Nawet i teraz nie zdajecie sobie sprawy, z kim stajecie w szranki? Walczycie przeciwko szatanowi, wcieleniu całkowitego, absolutnego zła. Przeciwno Quithe, celtyckiemu bogowi straszliwej otchłani. Przeciwno istocie tak potężnej, tak totalnie występnej, że pamięć o niej przetrwała miliony lat. Widzieliście, co się stało, gdy on za ledwie poruszył się we śnie. Poruszył się we śnie, panie Perkins, to wszystko. Proszę sobie tylko wyobrazić, co będzie, kiedy się obudzi.

- Przepraszam. - Było mi bardzo głupio. - Nie myślałem wystawiać pani na coś tak niebezpiecznego.

- Nie, oczywiście. Ale jeśli zakłócicie spokój potężnego boga-bestii, to nie tylko siebie wystawicie na niebezpieczeństwo, lecz wszystkich. Każdy, kto wam pomoże, będzie kopał z waszego polecenia, czy czekał na was, gdy ruszycie na poszukiwania, będzie zagrożony.

Dan poprawił się na ogrodowym krześle.

- A więc pani się nie zgadza? - zapytał. Uśmiechnęła się do niego łagodnie.

- Tego nie powiedziałam. Stwierdziłam tylko, że nie rozumiecie w pełni, przeciw komu występujecie.

- Widzieliśmy potwory przypominające kraby, które Chulthe wysłał po ciała na pożarcie dla siebie - oświadczyłem twardo. - Jak się pani domyśla, nie zachowywały się jak baranki.

- Wiem.

Znów zapadła pełna skrępowania cisza.

- No to dobrze, lepiej ruszajmy tam, gdzie mają wiercić. Już chyba zaczęli - rzucił

Dan.

- Dajcie mi pięć minut - powiedziała pani Thompson. - Muszę się przyczesać i włożyć płaszcz.

- To jednak pani idzie? - zapytałem.

Przytaknęła.

- Myślę, że powinnam. Od dwustu lat historia mojej rodziny splata się z legendą o Chulthe. Widocznie w końcu ktoś z nas musi stanąć z nim twarzą w twarz. Pech chciał, że trafiło właśnie na mnie.

- Do niczego pani nie zmuszamy - podkreślił Dan. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ręki.

- Oczywiście, że nie. Ale jak się nad tym zastanowić, to widać jasno, że muszę. Od lat było to moim przeznaczeniem. Jeśli teraz mu nie sprostam, to najprawdopodobniej spędzę resztę życia bez celu, rozważając, czy powinnam była stanąć do walki z potworem czy nie.

Dan przykrył jej dłoń swoją.

- Dziękuję - szepnął.

Kiedy pani Thompson się szykowała, siedzieliśmy z Danem na werandzie obserwując deszcz. Zapadł zmrok i Dan zapalił mosiężną lampę z kloszem w kształcie muszli. Nasze odbicia w szybach siedziały w ogrodzie i przyglądały nam się ponuro. Dokończyłem cygaro i zgasilem je w popielnicze.

- Każda godzina jest policzona - usłyszeliśmy nagle. Popatrzyliśmy po sobie. Nikogo prócz nas nie było w pomieszczeniu. Dan zmarszczył brwi.

- To pani Thompson? - zapytał.

- Bo ja wiem - odparłem zaniepokojony. - Nie przypominało jej głosu.

Wstałem wspierając się na oparciu krzesła. Wtedy rozległ się inny głos mówiący łagodniejszym tonem:

- Tak, pamiętam tamte czasy.

Nerwowo oblizałem wargi. Czyż pani Thompson nie wspominała przed chwilą o dziwnych ludziach pojawiających się w pokojach i dziwnych głosach rozmawiających ze sobą? Słuchałem z napięciem, by wychwycić szuranie stóp, kasznięcie, cokolwiek zdradzającego, że mamy do czynienia z rzeczywistymi ludźmi.

- Czas się zbliża - wyszeptał głos w mrocznym przedpokoju.

Zerknąłem w tamtym kierunku, gdzie na schody przez żółtawe okno wpadały ostatnie promienie światła dziennego, ale nikogo nie zobaczyłem. Chyba poruszył się jeden z płaszczy wiszących nad stojakiem na parasole, ale i tego nie byłem pewny.

- Oni wiedzą, że tu jesteśmy - powiedziałem do Dana zaniepokojony. - Te głosy o tym wiedzą.

- Zapewne też wiedzą, dlaczego tu jesteśmy - odparł. - Ale to tylko zewnętrzny wyraz obecności Quithe. Głosy nie są rzeczywiste, więc się nimi nie przejmuj.

Gdy to mówił, z kuchni dobiegł okropny hałas i łoskot. Przebiegliśmy przez werandę, skręciliśmy na lewo do spizarni i wetknęliśmy głowy w drzwi kuchni: talerze wylatywały z kredensu, garnki i patelnie wirowały w powietrzu, a wszystkie słoiki z przyprawami, maselniczka, trzepaczka do jajek oraz wałek do ciasta podskakiwały na półkach tak długo, aż spadły na podłogę i się potłukły. Huk rozsadzał bębunki w uszach i nic nie mogliśmy zrobić, by powstrzymać zniszczenia. Talerze pękały, sztucce łomotały, okna skrzypiały, a woda chlusnęła z kranów i wypełniła zlew po brzegi.

W drugich drzwiach pojawiła się kredowobiała pani Thompson.

- To bestia! Rozzłościła się na mnie! - Patrzyła z rozpaczą na zniszczenia. Ostatnia łyżeczka załomotała na podłodze, ostatni talerz roztrzaskał się o ścianę. - Nie chce, żebym wam pomogła. Woli mnie wcześniej zabić.

Przykucnęła, by pozbiierać kawałki potłuczonej patery, i w tym momencie usłyszałem słaby jęk dobiegający od strony wyjścia do ogrodu. Smutny, przeciągły jęk, w którym brzmiała rozpacz i samotność istnień zatraconych i poddanych wielkiemu cierpieniu. Pani Thompson podniosła wzrok i słuchała przez chwilę. Po czym delikatnie odłożyła skorupy i wstała.

- Najwyższy czas, żebyśmy wyszli z tego domu - oświadczyła niespokojnie. - Czuję, że niedługo stanie się tu coś strasznego.

- Naprawdę pani wierzy, że Chulthe zna pani zamiary?

- Tak, z całą pewnością. Pamiętajcie, że jego duch i znaki nawiedzały ten dom przynajmniej od dwóch stuleci i on pewnie dość dobrze wyczuwa, co się tu dzieje. Możemy wychodzić?

- Kiedy tylko pani zechce - odparłem nie ukrywając pośpiechu.

Korytarzem doszliśmy do drzwi frontowych i Dan sięgnął do klamki. Ale jego dłoń dotknęła litej ściany. Drzwi zniknęły, a przed nami wyrosła pokryta tapetą ściana z wyblakłymi dagerotypami.

Pani Thompson chwyciła mnie bardzo mocno za przegub.

- Już za późno - wymruczała pod nosem. - Jeśli wasi ludzie zaczęli wiercenie i dostali się do systemu korytarzy, może być za późno.

- Wracajmy - rzucił Dan.

Cofnęliśmy się korytarzem na przeszkloną werandę. W tym momencie w całym domu pogasły światła i otoczyła nas nieprzenikniona ciemność. Staliśmy bez ruchu dłuższą chwilę, a gdy nasze oczy przyzwyczyły się do mroku i zaczęliśmy rozróżniać zarysy krzeseł oraz kwiatów, chwyciliśmy się za ręce i ruszyliśmy ostrożnie w stronę drzwi balkonowych.

- Widzisz coś? - wysyczała pani Thompson.

- Nic - odparłem.

- Cicho, jeśli coś jest na zewnątrz, lepiej to zaskoczyć, niż żeby ono zaskoczyło nas - szepnął Dan.

- Myślisz o potwornym krabie? - zapytałem.

- Nie pytaj. - Odwrócił się. - Chulthe najwidoczniej potrafi przyjąć każdą postać.

Szliśmy na palcach po podłodze werandy. Suche, długie palce wróżki wpijały się w mój przegub aż do bólu, ja zaś kurczowo trzymałem się poły płaszcza Dana. Dan nas prowadził i w mroku zaledwie majaczył mi bladobłękitny odblask na jego łysej głowie przypominającej księżyc w pełni. W zupełnej ciszy dotarliśmy do drzwi i zerknęliśmy na ogród przez zroszone deszczem szyby.

- Nie widać nikogo - szepnął Dan. - Może uda nam się obejść dom.

Ujął za klamkę. Ani drgnęła. Spróbował jeszcze raz, naciskając mocniej, ale bez skutku. Zwrócił się do pani Thompson i zasyczał:

- Zamknęła pani? Gdzie jest klucz?

- Nie powinno być zamknięte - odparła. - Zamykam tylko na noc, jak idę spać.

Odsunąłem Dana na bok.

- Daj mi spróbować. Bardziej się do tego nadaję. - Ująłem klamkę obiema dłońmi i nacisnąłem z całej siły. Zamknięte na amen. - Obawiam się, że będziemy musieli stłuc szybę.

Oczy pani Thompson były szeroko otwarte i przerażone.

- Tak, dobrze, skoro trzeba.

Pamiętałem, że przy psiej misce stał metalowy odważnik, więc na czworakach zacząłem go szukać. Gdy właśnie niechcący wsadziłem dłoń w wyschnięte pozostałości psiego lunchu, rozległ się głośny łomot niczym stukot przejeżdżającego pociągu, a doniczki zatrzęsły się i zadygotały. Parę szybek w dachu pękło z trzaskiem i obsypał nas deszcz

odłamków.

Wstałem w odpowiednim momencie, by zobaczyć, jak na zewnątrz góruje nad nami straszliwa i groźna chmura o kształcie, który budził we mnie najgłębsze przerażenie - nawet nie przypuszczałem, że jestem zdolny do takich uczuć. Może był to ulotny cień Quithe czy Chulthe, boga-bestii z Atlantydy; a może najstarszy i najprawdziwszy przejaw zła pochodzącego z otchłani wszechświata. Ten widok zupełnie mnie sparaliżował, bo wydał mi się znajomy. Nadnaturalnych rozmiarów kształt pulsował i zmieniał się nieustannie, a kolor przechodził od niebieskiego przez ciemny karmin do ostrej żółci. Rozlewał się jakby unosząc na krawędzi podświadomości, pływak ciemnego oceanu odziedziczonych lęków. Miał oko, które skupiało w sobie wszelkie zło, wszelkie najmroczniejsze instynkty, oraz długie rogi, zdające się falować w powietrzu przecinanym błyskawicami. Zdawało mi się, że oglądam bestię poprzez języki błękitnego, pełgającego ognia.

Był zjawą. Nie pojawił się fizycznie, lecz ukryty pod ziemią przedstawił potężny i straszny obraz swojej osoby, by nas przerazić. Ale Josiah Walters miał całkowitą rację. To był szatan. Wszystkie lęki i grzechy piętnowane przez każdą z religii wcieliły się w to groteskowe stworzenie. Kiedy człowiek jest brutalny czy egoistyczny, to właśnie ten stwór go kusi. To było przypominające kozę wcielenie pożądania i chciwości. To był pan wszystkiego, co się czołga, pełza i jest oślizłe.

Kiedy Bóg ukarał świat potopem za nieposłuszeństwo, z ludzi ocalał tylko Noe, ale przetrwał też i diabeł. Był to diabeł oceanów, głębin kryjących dziwne stwory. To był diabeł zatopionych nadziei i marzeń, jedyne naturalnego środowiska, w którym człowiek nie zdoła przetrwać. Gdy w czasie snu miałem koszmary o pływaniu, to mój mózg wychwytywał diabelskie fale tego stworzenia.

- O Boże - powiedział Dan i choć wypowiedział to szczerze, nawet taka inwokacja

nie mogła nam pomóc.

W ułamku sekundy dach werandy rozpadł się na kawałki i gwałtowna fala wody zbiła nas z nóg. Lodowate, spienione, kłębiące się zwały otoczyły nas ze wszystkich stron i nim się zorientowałem w sytuacji, już się dobrze jej napiłem. Krztusząc się i kaszląc uległem prądowi, który pociągnął mnie w ciemny, podwodny świat pływających doniczek, psiego jedzenia i stołów tańczących z zadziwiającą lekkością.

Zdawało mi się, że ktoś chwycił mnie za rękaw. Może Dan, może pani Thompson lub coś straszniejszego. Odepchnąłem się i głową trafiłem w drzwi balkonowe. Przez chwilę płynąłem z twarzą przytkniętą do szyby, patrząc na zalany deszczem ogród. Wtem najwidoczniej parcie masy wody rozerwało ściany werandy, bo wszędzie posypały się kawałki wylatujących szyb, a ja szczupakiem poleciałem na trawnik, między spienione fale i odłamki szkła.

Zdawało mi się, że leżałem w ciemnym ogrodzie całą godzinę. Kasłałem, krztusiłem się i nie mogłem złapać oddechu. Deszcz padał, co chwila widziałem światło błyskawic i słyszałem daleki huk grzmotu. W końcu przemoknięty do suchej nitki, zmarznięty i drżący, zdołałem się podnieść i rozejrzeć dokoła.

O parę kroków ode mnie siedział na ziemi Dan. Też kasłał, ale chyba nic poważnego mu nie dolegało. Martwiłem się o panią Thompson. Poszedłem do połamanych i powykręcanych resztek werandy, a szkło trzaskało i pękało pod stopami.

- Pani Thompson?! - zawołałem.

Odpowiedziało mi milczenie. Zrobiłem krok ponad odłamkami szkła w ramach, które przed paroma minutami były jeszcze ścianą werandy, i zawołałem ponownie.

Deszcz zalewał mi twarz, wiatr szarpał krzewy, a nadal nie było odpowiedzi.

Ruszyłem wolno, ostrożnie przez rumowisko z metalu i szkła.



Znalazłem ją leżącą na plecach pośrodku werandy. Spoczywała na lśniącej warstwie potłuczonych szyb, a jej oczy patrzyły prosto w niebo, jakby obserwowały drogę duszy opuszczającej ciało. Chorągiewka z brązu, która zdobiła czubek dachu, spadła wprost na kobietę i teraz przygniatała jej klatkę piersiową. Pani Thompson umarła, nim woda zalała nas wszystkich. Krew mieszała się ze strugami deszczu i już pachniało śmiercią.

Dan stanął obok mnie. Spojrzał na panią Thompson i otarł krople deszczu z czoła.

- Wygląda, że myśmy to na nią sprowadzili - powiedział cicho. - Równie dobrze mogliśmy ją zabić własnymi rękami.

Odwróciłem się.

- Moim zdaniem doskonale wiedziała, że złowrogie bóstwo wcześniej czy później ją dopadnie. Niewielka pociecha.

- Dla niej żadna. Popatrzyłem na niego ostro.

- I co według ciebie mam teraz zrobić? Sama przecież mówiła, że to jej przeznaczenie.

- Czujesz się równie winny jak ja - odparł. Pokręciłem głową.

- Nie, nie czuję się winny. Igrała z ogniem dużo wcześniej, niż my się zjawiliśmy i sprowadziliśmy na nią ten pożar. Na mnie zrobiła wrażenie osoby, która przewidywała swój koniec.

Dan spojrział na zegarek.

- Chyba jednak powinniśmy ruszać do domu Bodine'ów - powiedział zmęczonym głosem. - Już na pewno zaczęli wiercić i jeśli miała rację, to pakują się w kłopoty.

Popatrzyłem na ciało wróżki. Zdawało się, że w jakiś niesamowity sposób się do mnie uśmiecha. Odpowiedziałem jej uśmiechem, nim zdążyłem sobie uświadomić, że przecież nie żyje i uśmiech na jej twarzy to albo gra cieni, albo rezultat pośmiertnego rozluźnienia się

mięśni.

- Widziałeś to stworzenie? - zapytałem Dana, gdy szliśmy przez zarośla do samochodu.

Potaknął.

- Złudzenie. Nie zrobiłoby nam krzywdy.

- Niczego ci nie przypominało?

- Co masz na myśli?

Stanęliśmy przy samochodzie, otworzyłem drzwi. Popatrzyliśmy na siebie ponad półokrągłym, śliskim od deszczu dachem.

- To, co powiedziałem: czy ci coś przypomina? Wzruszył ramionami.

- Chyba tak. Tylko nie wiem co.

Wsiedliśmy do wnętrza i zatrzasnęliśmy drzwi. Po kilku próbach silnik wreszcie zapalił. Wrzuciłem bieg i odjechaliśmy.

- To spróbuj sobie przypomnieć. Wiesz przecież, co ja sobie pomyślałem, kiedy go zobaczyłem. Teraz ty mi powiedz.

Dan zagapił się na zalewany deszczem las.

- To zabawne, ale przypomina mi się dzieciństwo. Byłem z siostrą na łące koło domu i spotkaliśmy chłopców znęcających się nad psem. Najpierw wieszali go na drzewie do góry nogami i zadawali mu inne tortury, a potem oblali naftą i podpalili. Widziałem, jak to biedne, oszalałe z bólu zwierzę biega w kółko, czułem zapach palonej sierści, mięsa, w końcu pies zwinął się w kłębek i zdechł. Nie wiem dlaczego, ale ten stwór, którego dziś widzieliśmy, przypominał mi właśnie to wydarzenie.

- Wiesz doskonale. Pamiętasz, co napisał Josiah Walters? To diabelskie dzieło zapoczątkowane przez Chulthe i jego podwładnych sprawiło, że ludzie już od wieków wierzą

w szatana.

- Nie rozumiem cię. Dlaczego Chulthe miałby mi przypominać dzień, w którym chłopcy spalili psa?

- Bo to była diabelska robota, diabelska ręka maczała w tym palce, a Chulthe jest właśnie diabłem. Ten obraz, który dziś widzieliśmy, to był szatan we własnej osobie.

Dan wyjął ze schowka paczkę chusteczek higienicznych i zaczął wycierać twarz i włosy.

- Na mój gust za dużo w tym starych bająn - odparł po chwili. - Wolę to uważać za złudzenie psychoelektryczne.

- A myśl sobie, co chcesz. To był szatan i już. Nie osobiście ani wcielony, ale jego obraz, który pochodził wprost z jego mózgu.

Dan wzruszył ramionami.

- Może i masz rację. Ale wolę używać jego imienia Quithe czy Chulthe. Nie sądzisz, że są pozbawione tak silnego ładunku emocjonalnego?

Zerknąłem na niego spod oka.

- Walczymy z szatanem, a ty się zajmujesz ładunkiem emocjonalnym?

- Nie chcę straszyć ludzi, zwłaszcza robotników pracujących przy odwiercie.

- Mają zaraz odkopać szatana, a ty nie chciałbyś ich straszyć?

Zmarszczył brwi patrząc na mnie.

- Słuchaj no, Mason. Po czyjej ty jesteś stronie? Skręciłem w lewo na rondzie w New Milford i przejechaliśmy po stalowym moście nad Housatonic.

- Myślę, że jestem po stronie aniołów.

- To dobrze - parsknął krótkim śmiechem. - Miejmy nadzieję, że i aniołowie są po twojej stronie.

Gdy dojeżdżaliśmy do farmy Bodine'ów, deszcz trochę ustał. Na mokrej szosie odbijały się światła jadących z naprzeciwka samochodów, powietrze było świeże, wiał ożywczy wiatr, a gwiazdy błyszczały w prześwitach pomiędzy chmurami. Gdy wjechaliśmy na wzgórze o milę od zagrody Bodine'ów, zobaczyliśmy rusztowanie oblane zimnym światłem reflektorów: brygada wiertnicza rozstawiła sprzęt wokół studni. Metalowe pręty w mocnych, niebieskich promieniach lamp rzucały cienie przypominające żyrafy. Zajechaliśmy pod dom. Wiercenie już się widać rozpoczęło, bo wysoka konstrukcja otaczała wiertnicę i rozlegał się regularny szum silnika diesla. Zapaliłem cygaro i postępując za Danem obszedłem dom.

Szeryf Wilkes stał o kilka kroków od studni i rozmawiał z Duttonem Thrushem, inżynierem pracującym dla okręgu Litchfield, który specjalnie przyjechał tutaj z Torrington. Był szczupłym, milczącym mężczyzną; przypominał marchewkę lub pietruszkę, która wyschła pozostawiona zbyt długo w kącie piwnicy. Miał na nosie okulary bez oprawek, a na głowie żółty kask. Jak zawsze z ust zwisał mu camel, choć nigdy nie widziałem, by go palił. Wyteżyliśmy wzrok przyglądając się jasno oświetlonym urządzeniom wiertniczym. Wałek kręcił się wolno, a wiertło powoli rozcinało warstwę ziemi wgnębiając się w skałę. Wokół stało pięciu robotników ubranych w kombinezony robocze, kurtki o podniesionych kołnierzach i kaski. Zacierali dłonie, żeby się rozgrzać.

- Jak tam, Carter? Co u ciebie, Dutton? - powiedziałem cicho.

- Jako tako - odparł Dutton, a camel zachybotał się, jakby już miał spaść na ziemię.

- Rozmawialiście z tą Thompson? - zapytał Carter. Przytaknąłem.

- Ile się dało. Ale wpadł Quithe i się postarał, żebyśmy jej nie mogli użyć przeciwko niemu.

- Co masz na myśli?

- Nie żyje. Gdy byliśmy w jej domu, zalała nas kolejna powódź.

Carter popatrzył na mnie z namysłem czerwonymi, zapadniętymi oczami.

- Nie żyje? Utonęła?

- Zmiażdżona. Oszklona weranda została zatopiona, runęły ściany i metalowa chorągiewka z czubka dachu spadła prosto na klatkę piersiową pani Thompson. Nie mogliśmy jej uratować.

- Kiedy to się stało?

- Właśnie stamtąd jedziemy.

Carter wyjął krótkofalówkę i zwrócił się do zastępcy czekającego na niego w samochodzie.

- Chaffe, wyślij ludzi do domu pani Thompson w Boardman's Bridge. Wiedzą, gdzie to jest. Tak. Nie żyje. Niech pojedzie Yealland i wszystko dokładnie obejrzy. Zróbcie zdjęcia. Tak. Niedługo znów się z wami połączę.

- To na pewno Quithe - odezwał się Dan. - Obaj go widzieliśmy, a raczej jego psychiczną emanację.

- Mówisz o tym potworze, do którego się mamy dowiercić?

Dan przytaknął.

- Ze starych notatek, które pani Thompson nam pokazała, wynika, że cały ten teren pod ziemią pocięty jest labiryntem korytarzy i jaskiń. Tam skrył się Quithe.

- Quithe? A kto to? - zapytał Dutton Thrush. Wydmuchnąłem obłoczek dymu.

- To takie przezwisko, oznacza tyle co: "straszliwe bóstwo z otchłani".

- Żarty sobie ze mnie stroisz? Pokręciłem przecząco głową.

- Dutton, pod ziemią coś jest. Przypomina piekło na ziemi i dla własnego widzimisię potrafi cię utopić w twoim ciepłym łóżku. Czy sądzisz, że stroiłbym sobie żarty z czegoś

takiego?

## ROZDZIAŁ 9

Nagle świder zakręcił się szybciej z przenikliwym zgrzytem i znieruchomiał.

- Co się dzieje?! - zawołał Dutton.

- Dowierciliśmy się do jakiegoś pustego miejsca, panie Thrush - odparł jeden z robotników. - Jaskinia albo korytarz. Chce pan sam sprawdzić?

Thrush zmierzyszy mnie podejrzliwym spojrzeniem ruszył po mokrej trawie ku studni. Gdy robotnicy wyciągnęli ubłocone ramię wiertła, z otworu chlusnęła żółtawa woda.

Dutton zeszkobał paznokciem nalot z ostrza i obejrzał go w świetle najbliższego reflektora.

- Jones, Wockik, otwórzcie wiertło - polecił. - Zobaczymy, co jest w próbce rdzeniowej.

Podszedłem do nich, nie zwracając uwagi na niechętnie spojrzenia. Ponieważ los

Bodine'ów obchodził mnie równie mocno jak pozostałych, postanowiłem nie dać się

przepędzić. Dutton przyklęknął obok fontanny żółtawej wody, która wciąż wytryskiwała z otworu, ale sprawiał takie wrażenie, jakby nie wiedział, co dalej powinien zrobić.

- Dutton? - zwróciłem się do niego.

- O co chodzi?

- Sądzisz, że tam może być jaskinia? Albo korytarz?

- Możliwe. Przekonani się, jak sprawdzę.

- A podziemne jezioro albo coś w tym rodzaju? Otarł nos wierzchem dłoni.

- Też możliwe. Wzgórza Litchfield powstały pod wpływem ciśnienia tektonicznego na prekambryjską płytę skalną. Wynikiem takich ruchów bywają tereny pagórkowate z podziemnymi jaskiniami. Czasem woda wymywa niższe warstwy i w ten sposób złobi korytarze.

- Ciśnienia tektonicznego?
- Tak, wybuchy wulkanów. Przewracały pokłady skał niczym pościel na łóżku. Na tym terenie głównie w paleozoiku.
- Nie wiedziałem, że jesteś taki dobry z geologii.
- Nie jestem, ale jak człowiek spędza całe życie wierząc dziury w tej cholerniej ziemi, to się w końcu czegoś o niej nauczy.

Brygadzysta podszedł do nas z bryłką mokrej gliny w rękach.

- Panie Thrush, wygląda na to, że naprawdę dowierciliśmy się do jaskini. Mniej więcej na poziomie siedemdziesięciu stóp pod ziemią.

- Jaką może mieć głębokość?

- Trochę mniej niż siedemdziesiąt sześć stóp. Oczywiście w tym punkcie, gdzie przebiliśmy strop. W innych miejscach może być głębiej.

- Czy możecie wywiercić szerszy otwór? - spytał Carter Wilkes.

- Co proszę?

- Chyba słyszałeś? - burknął jak zwykle szeryf. - Czy możecie wywiercić szerszy otwór, taki, żeby zmieścił się w nim człowiek?

- No, tak - niepewnie odparł brygadzysta - ale po co? Pan Thrush powiedział mi, że chcecie tylko pobrać próbki wody.

- Dla was to chyba bez znaczenia, za jaką robotę bierzecie forszę? - westchnął Carter.

Robotnik przesunął kask z tyłu głowy na czoło. Był młody, miał szeroki, byczy kark i schludnie przycięte wąsy.

- Proszę pana, nikt z moich ludzi nie zejdzie na dół. Nie zrobiliśmy wstępnych pomiarów ani dokładnych wierceń i mówiąc między nami to cholernie ryzykowne. Nikt nie powinien tam schodzić, dopóki nie zagwarantujemy całkowitego bezpieczeństwa.

- Nie mówię, żeby tam szedł któryś z twoich ludzi - stwierdził Carter.

Brygadzysta zamrugał oczami.

- Szeryfie, nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za nikogo.

- O to też nie proszę. Chcę tylko, byś wywiercił do jaskini duży otwór, przez który będzie się mógł przecisnąć człowiek.

Brygadzysta popatrzył na Duttona Thrusha, spodziewając się, że ten odmówi szeryfowi. Ale Dutton przytaknął i polecił:

- Do roboty.

Mężczyzna wzruszając ramionami wrócił do urządzeń wiertniczych, przy których czekali robotnicy. Po krótkiej naradzie wiertło przesunięto o kilka jardów bliżej domu, gdzie miano zrobić drugi otwór, i włączono silnik. Gdy świder rozorał trawę i zaczął zagłębiać się w ziemię, spojrzałem na zegarek. Dawno minęła szósta. Oczy mnie piekły, jakbym w nie wcierał na przemian sól i piasek, za szklaneczkę whisky, ogień na kominku i ciepłe łóżko oddałbym swój ostatni grosz.

Przebicie się przez pokłady ziemi i skał różnej twardości na siedemdziesiąt sześć stóp zajęło ponad godzinę. Gdy parę minut po siódmej zjawił się policjant z posterunku w New Milford z dużym termosem kawy, silnik zamilkł, a brygadzysta oświadczył, że już prawie skończyli.

- Przez te opady deszczu ziemia zrobiła się bardzo miękka - stwierdził, wycierając brudne ręce w jeszcze brudniejszą chustkę. - Już kilkakrotnie większe bryły osypały się do wnętrza jaskini. Niedługo otwór będzie gotowy, wystarczą trzy, cztery stopy szerokości.

- Czy ściany wytrzymają? - spytał Carter.

- Raczej tak, ale błoto będzie wam spadać na głowę - odparł mężczyzna.

Szeryf uśmiechnął się do mnie obłudnie niczym starszy brat knujący coś przeciw



młodszeemu.

- I co ty na to, Mason?

- Ja? Chcesz, żebym zszedł na dół?

- No, ty i Dan, i może jeden z moich zastępców do pomocy. Przecież nikt z nas nie wie tyle o tych krabach co ty. Nie pamiętasz, jak ten stwór się odwrócił i uciekł, kiedy go zawołałeś po imieniu?

Nie wierzyłem własnym uszom. Nie miałem najmniejszej ochoty na włożenie w zababraną dziurę w ziemi, żeby stanąć oko w oko z monstrem, które trwożliwi i zabobonni już przed wiekami nazywali diabłem. Na całe życie wystarczy mi tego, co zobaczyłem przez okno werandy pani Thompson: straszliwy obraz wijących się, krwiożerczych macek i rogów. Tym bardziej nie paliłem się do oglądania szatana w rzeczywistej postaci.

- Carter, z całego serca chciałbym ci pomóc.

- Jasna sprawa. Dutton, masz jakiś dodatkowy kask?

- Chyba ze dwa na tylnym siedzeniu samochodu.

- Dutton, nie śpiesz się tak - wtrąciłem. - Nigdzie nie idę.

Carter udał zdumienie.

- Co takiego? Nie idziesz? Od samego początku tak się tym przejmowałeś, ciągle się kręciłeś pod nogami.

- Jestem hydraulikiem.

- Świetnie o tym wiem, nie musisz mi przypominać. Ale także intelektualistą, nie?

Znasz się na takich historiach. Okultyzm, te sprawy, nie? Do diabła, rozumiesz więcej ode mnie z tego, co się tu dzieje. Musisz iść bez gadania.

- Idąc tam wystawiam się na pewną śmierć! - krzyknąłem. - Jeśli ten cholerny szyb nie zwali mi się na głowę, to bóg-bestia mnie utopi! A jeśli mnie nie utopi, to pożre na

surowo! Więc jak możesz przypuszczać, że się zgodzę?

Carter popatrzył na Duttona wzrokiem, który mówił, że przekona tego rozpuszczonego bachora, żeby zrobił, co jest dla niego najlepsze.

- Mason ma rację - włączył się do rozmowy Dan. - Nie możesz się po nas spodziewać, że pójdziemy tam bez żadnego zabezpieczenia. To samobójstwo.

- Przecież wyślę z wami policjanta.

- A może byś sam poszedł?

- Ja? Muszę tu zostać i czuwać nad wszystkim. Odwróciłem się i zmierzyłem go lodowatym, twardym spojrzeniem.

- Carter. Tylko jeden argument zmieni moje postanowienie i pójdę na dół, jeśli ty też pójdziesz.

Carter wyraźnie się zmieszał. Popatrzył w niebo, potarł dłonią podwójny podbródek, chwilę ciężko oddychał niczym człowiek, który modli się o cierpliwość. Znow się chmurzyło, czarne, gęste kłęby wisały nad horyzontem, w oddali rozległ się grzmot. Nagły powiew zimnego wiatru zamiótł liście na trawniku.

- Mason, nie mogę cię zmusić, żebyś poszedł - stwierdził szeryf.

Uderzył kolejny piorun. Poczulem w powietrzu zapach elektryczności i czegoś jeszcze. Woń była słaba, ale na pewno się nie myliłem: ryba, jakby ktoś otworzył puszkę sardynek.

- Carter, nie idę - oświadczyłem spokojnie. - Nie jestem w policji, więc nie możesz mnie zmusić.

Carter znow westchnął, potarł brodę, chwilę parsknął i prychnął.

- Masz rację - wydusił wreszcie. - Masz całkowitą rację. Nie mogę cię zmusić do pójścia.

- Dobrze, że to pojąłeś.

Odwrocił się do mnie tyłem i odezwał opanowanym, choć zduszonym głosem:

- A gdybym powiedział, że idę z tobą? Co ty na to?

Popatrzyłem na Dana.

- Zgodzisz się iść, jeśli będzie z nami Carter?

- Chyba tak. - Wzruszył ramionami. - Nie mam wiele do stracenia. Żadnej rodziny czy kogoś bliskiego. I to fascynujące zobaczyć, jak wygląda Chulthe.

Poczułem się, jakbym dostał mata w szachach. Skoro Dan chciał ruszyć na

poszukiwanie złowrogiego bóstwa, a Carter przyjął wyzwanie, to nie miałem wyjścia.

Oczywiście, że mogłem zostać. Mogłem zostać i dziękować Bogu za ocalone życie i zawodowe sukcesy jako hydraulik, ale wiedziałem równie dobrze jak Carter, że jeśli Chulthe zdoła wydostać się spod ziemi, to wszyscy będą mieli marne widoki na życie i odnoszenie zawodowych sukcesów. Quithe był potężną, straszliwą istotą, zabijał i rozszarpał ludzi, by przetrwać, a teraz, po stuleciach spędzonych w ukryciu, osiągnął zapewne jeszcze większą moc.

Wtem na podwórko Bodine'ów spadła gwałtowna ulewa. W promieniach reflektorów rozbłysły tęcze, robotnicy włączyli silnik, na wypadek gdyby musieli wypompować wodę z odwiertu.

- Zgoda - rzekłem niechętnie. - Dajcie mi kask i powiedzcie, że jestem najodważniejszym Amerykaninem od czasów Audiego Murphy'ego, to pójdę.

Carter skinął na Duttona, który ruszył do samochodu po kaski. Dan, Carter i ja patrzyliśmy na siebie spod oka, zastanawiając się, czy idziemy dlatego, by nikt nas nie nazwał trzęsityłkami, czy dlatego, że się naprawdę nie boimy tego, co się kryje pod ziemią.

- Martino, czy zabrałeś granatnik przeciwpancerny? - zapytał Carter.

- Oczywiście, panie szeryfie.

- To go tu przynieś i naładuj.

- Tak jest.

- Szkoda, że pani Thompson zginęła - stwierdził Dan. - Nie mamy żadnej osłony przed psychicznym atakiem. Quithe może nas zabić w każdej chwili, a my nawet nie będziemy wiedzieli, że jest w pobliżu.

Carter spojrział na zegarek.

- Nie mamy czasu szukać kogoś innego. Musimy wierzyć, że będziemy mieli nosa.

- Znam kogoś, kto rzeczywiście ma nosa - wtrąciłem.

- O kim mówisz?

- O Shelleyu.

- Twoim kocie?

Otarłem chusteczką krople deszczu z twarzy.

- A znacie innego Shelleya?

- Ja nie, chyba że Shelley Winters?

Byłem tak zdenerwowany perspektywą naszej wyprawy, że nawet nie potrafiłem żartować.

- Chyba nie przypuszczasz, że zdołalibyśmy ją wepchnąć w taką dziurę? Oczywiście, że mówiłem o moim kocie. Ten diabeł i jego pobratymcy cuchną rybą, a Shelley czując ten zapach szaleje niczym nowojorska damulka po siedmiu kieliszkach nalewki wiśniowej.

- Pójdiesz po niego? - zapytał Carter.

- On bardzo nie lubi deszczu.

Wilkes skinął na jednego ze swoich ludzi.

- Chaffe - odezwał się z wystudiowaną cierpliwością. - Idź do mojego samochodu i

otwórz bagażnik. Znajdziesz tam pelerynę. Czy byłbyś tak uprzejmy i w wolnej chwili ją tu przyniósł?

- Jasne, szefie. - Chaffe ruszył za dom.

Ziemia była tak mokra, że robotnicy nie mieli najmniejszych kłopotów z rozkopaniem wywierconego otworu specjalnymi łopatami. Co chwila potężny kawał torfu odrywał się i spadał do środka, a za nim osypywały się kolejne grudy. Nim zjawił się Chaffe z peleryną, dziura poszerzyła się do jakichś pięciu stóp. Ostrożnie stanęliśmy na jej skraju, a robotnik oświetlił ciemne wnętrze. Widać było tylko mokrą glebę, pokręcone korzenie, kamienie i mrok. Na dnie otworu, siedemdziesiąt sześć stóp poniżej, panowała zupełna ciemność.

- Tam na dole musi być niezła jaskinia - odezwał się brygadzysta. - Nawet światła reflektorów nie sięgają jej dna. Rozległa, głęboka i cholernie cuchnie rybą.

- Zgadza się - warknął wściekły Carter. - I jak nas tam wpakujecie?

- Bardzo łatwo - wyjaśnił. - Założymy brezentową uprząż i spuścimy z urządzenia wiertniczego.

- A jak będziemy chcieli się stamtąd szybko wydostać? Brygadzysta wzruszył ramionami.

- Szybko się nie da. Musicie zagwizdać po linę, przywiązać się i czekać, aż was wciągniemy jednego po drugim.

- Musimy się modlić, kiedy będziemy wracać, by nie następowali nam na pięty wszyscy diabli.

Carter wytarł krople deszczu z nosa.

- Do licha, zaczynam się zastanawiać, jakim sposobem mnie przekonaliście, żeby tam z wami iść.

- Właśnie za takie dzielne czyny dają szeryfom medale - odparłem z uśmiechem.

- Wsadź je sobie w dupę. Tu masz pelerynę.

Wziąłem ją od przemoczonego, drżącego Chaffe'a i ruszyłem wokół domu, bo volkswagena zaparkowałem od frontu. Spojrzałem przez zalaną deszczem szybę i zobaczyłem, że Shelley, zwinięty wygodnie w kłębek, leży na przednim siedzeniu i śni, że jest słynnym łowcą myszy. Postukałem w szybę, a kiedy się poruszył, otworzyłem drzwi. Lodowaty podmuch wiatru i deszczu wpadł do wnętrza, kot ziewnął, przeciągnął się i z oburzeniem potrząsnął łebkiem.

- Shelley - zwróciłem się do niego. - Nareszcie masz okazję zrewanżować mi się za trzy lata żywienia, leniuchowania na ciepłych fotelach i beztroskiego pasożytowania. Tu jest peleryna dla ciebie. Idziemy dopaść diabła, nim on dopadnie nas.

Sięgnąłem po kota i w tym momencie odczułem pierwszy wstrząs pod stopami, który bardziej przypominał przejazd pod powierzchnią pociągu ekspresowego niż trzęsienie ziemi. Bywałem w Los Angeles dość często, by wiedzieć, co się czuje podczas wstrząsów o niewielkiej sile w skali Richtera. Ale ten był odmienny, dziwny i trwał około pół minuty. Nawet to trzęsienie ziemi, które zniszczyło San Francisco w 1906 roku, trwało zaledwie 28 sekund. Zaniepokojony gwałtownie poderwałem głowę i z całej siły uderzyłem w górną część drzwi. Zakląłem, a kot popatrzył na mnie karcąco, oburzony tym, że śmiem wymachiwać peleryną i ziębić wnętrze pojazdu.

- A więc umowa stoi - powiedziałem do niego. - Ruszamy.

Zamiauczał, gdy go wyciągnąłem z samochodu i owiniętego w pelerynę wziąłem pod pachę. Ale tym razem nic mnie to nie obeszło, bo sam byłem równie przerażony i trzęsłem się o własną skórę.

Wróciłem do ciemnego, ponurego otworu wywierconego przez robotników i przez chwilę unosiłem nad nim Shelleya, żeby mógł wywachać okropny rybi odór dobywający się z

jaskini. Kot pociągnął różowym noskiem i szarpnął się gwałtownie, ale mocno go trzymałem.

Robotnicy stojący w pobliżu przypatrywali mi się, jakbym zupełnie oszalał. Jeden zapytał z ironiczną troską:

- Czy chce pan kask dla kota?

- To zwierzę wyczuwa zapachy, o których ty nawet nie masz pojęcia - odparłem.

- Taa? I cóż tam jest takiego? Co mówi ten wyjątkowy kot?

Shelley zastrzygł uszami.

- Że mu się wydawało, że robotnik z okręgowej brygady wiertniczej potrafi prowadzić inteligentną rozmowę, ale się pomylił - rzuciłem sarkastycznie.

- Och, spadaj - warknął robotnik.

Dutton Thrush przyniósł kaski. Po raz pierwszy od paru dni zdjąłem czapkę baseballową i włożyłem czerwony kask, w którym wyglądałem jak roztargniony budowlaniec na niedzielnym spacerze. Dan dostał żółty, a Carter jadowicie zielony. Szeryf pochylił się nad dziurą i zapytał:

- Spodobało się Shelleyowi?

Woń ryby zapierała dech w piersiach. Kolejny wstrząs pod ziemią sprawił, że zadźwięczały łańcuchy i rury wieży wiertniczej, a silnik się zakrztusił. Błyskawica przecięła ciemne chmury nad nami i spłynęła w dół zaledwie o parę mil na północ. Donośny grzmot zupełnie nas ogłuszył, a kot ze strachu schował się głębiej w fałdy peleryny.

- Wygląda na to, że bóg-bestia wstaje albo się przeciąga - powiedział Carter.

Mocniej zacisnął pas przytrzymujący granatnik przeciwpancerny na swoich plecach, gdy Chaffe poprawiał dwa naboje.

- Może te kraby przyniosły Quithe wystarczająco dużo jedzenia, żeby powrócił do

pełni sił - zastanawiał się Dan. - Wprawdzie zabiliśmy stwora, w którego przemienił się Jim,

ale została jeszcze Alison i może ten facet Karlen.

- Jak oni tam wleźli? - zapytał Dutton. Papieros od deszczu zrobił się niemal przezroczysty, ale nadal zwisał z kącika ust. - Tylko mi nie opowiadajcie, że wywiercili szyb głębokości siedemdziesięciu sześciu stóp.

- Nie musieli. Z tych jaskiń i korytarzy wiedzie droga na powierzchnię - wyjaśniłem. -

W osiemnastym wieku w Boardman's Bridge żył facet, który ją odnalazł.

- Nigdy o nim nie słyszałem - oświadczył Dutton podejrzliwie.

- Nie będziemy się teraz o to spierać - ustąpiłem. - Jeżeli mamy zejść w ten cholerny szyb, to ruszajmy. Zobaczymy, co tam jest.

Deszcz rozpadał się na dobre, strumyki błotnistej wody spływały w dół szybu, splukując ziemię i kamyki z jego brzegów. Podeszedł do nas brygadziista i zwrócił się do Duttona:

- Panie Thrush, jeśli mamy kontynuować tę zabawę, to trzeba się zwijać. Przy tym deszczu i wstrząsach nie uda nam się długo utrzymać otwartego szybu.

Jakby na potwierdzenie jego słów ziemia znów zadygotała i rower Olivera Bodine'a, stojący na werandzie przy poręczy, spadł z łoskotem na podłogę. Rozejrzeliśmy się wokoło niepewnie, popatrzyliśmy po sobie.

- Mason, ty idź pierwszy. Masz ze sobą wykrywacz - powiedział szeryf.

- Carter... - zacząłem ostrzegawczym tonem, ale w tym momencie podeszło dwóch robotników z mokrą, brezentową uprzężą i bez żadnych ceremonii czy namysłów zaczęli ją na mnie upinać. A po chwili stałem już nad krawędzią otworu, z hakiem przypiętym do pasa, ktoś wetknął mi do ręki mocną latarkę.

Z otworu płynęło lodowate powietrze, bardziej nieprzyjemne niż zimny wiatr i zacinający deszcz. Kolejna błyskawica rozcięła chmury i rozległ się grzmot. Mnie jednak



głównie niepokoiły powtarzające się wstrząsy pod ziemią.

Nie bałem się, gdy w chmurach Bóg przestawiał meble, ale diabeł przewracający się we śnie budził moje przerażenie.

Brygadzysta włożył do ust dwa palce i głośno zagwizdał. Włączono silnik i razem z Shelleyem zostałem uniesiony na końcu ramienia wiertnicy. Obracałem się wokół własnej osi w strugach deszczu, a wszyscy się gapili, jakbym dyndał na szubienicy.

- Wszystko dobrze?! - zawołał Carter. - Mogą cię już spuszczać?

Gdy wolno przesuwałem się obok niego, przyłożyłem do ucha zwiniętą dłoń i odkrzyknąłem:

- Co mówiłeś?

- Mogą cię już spuszczać? - powtórzył. Popatrzyłem na swoje stopy wiszące nad czarną głębią bez dna. Żołądek skurczył mi się ze strachu niczym przerażony ukwiał, a oszalałe łomotanie serca zagłuszało wszystkie inne dźwięki. Ziemia znów zadygotała, metalowe części uprząży zadźwięczały. Próbowałem powstrzymać kołysanie ciała, ale nie miałem się czego chwycić. Więc nadal kręciłem się wokół własnej osi, huśtałem i czułem coraz większe mdłości.

- Spuszczajcie! - zdecydowałem.

Niech robią, co chcą, bylebym już dłużej nie dyndał na deszczu. Na dany przez Cartera znak włączono silnik i ramię z monotonnym piskiem zaczęło się opuszczać cal po calu w głąb szybu.

Przed momentem wisiałem wysoko w górze. W następnej chwili patrzyłem na buty zgromadzonych mężczyzn i mokrą trawę, a już w kolejnej sekundzie pochłonęła mnie lodowata, cuchnąca ciemność wiodąca do jaskini diabła. Gdy rybi odór otoczył nas ze wszystkich stron, Shelley próbował mi się wyrwać, ale przycisnąłem go mocniej do siebie i

pogłaskałem po nosku, żeby się uspokoił. To był jedyny argument, który zawsze do niego przemawiał.

Gdy zjeżdżaliśmy w głąb szybu, stopniowo cichł odgłos silnika i uderzeń piorunów.

Słyszałem już tylko bicie własnego serca i dalekie skrzypienie wyciągarki. Nadal kapary na mnie pojedyncze krople deszczu, a gdy podniosłem głowę, by zobaczyć, jak daleko już jestem, jedna z nich wpadła mi wprost do oka. Lepka wilgoć otoczenia pochodziła z ziemi i gnilnych wyziewów Quithe.

W czasie zjazdu przynajmniej trzykrotnie osunęły się na mnie pokaźne zwały ziemi, odbiły się od kasku i ramion, raz obsypały kota. Zdawało mi się, że minęła wieczność, nim zjechaliśmy na sam dół.

Odczepiłem latarkę, by oświetlić nią ściany szybu. Mijaliśmy różne warstwy skał, im głębiej, tym bardziej masywne. Nagle wydało mi się, że latarka zgasła. Dotarliśmy do głównej jaskini i promień po prostu rozpląnął się we wnętrzu, które rozmiarami i ponurą atmosferą dorównywało średniowiecznej katedrze. Poczułem na twarzy powiew, więc musiało tutaj jakoś dopływać powietrze, ale mimo to panował okropny zaduch. Czulem się tak, jakby mnie ktoś zamknął w zimnej spizarce, gdzie od tygodnia leżał ugotowany kawałek tuńczyka. Shelley miauczał, próbował się wyrwać, gdybym go nie trzymał z całych sił, na pewno by wyskoczył i pognał niczym kocia błyskawica za diabłem cuchnącym rybą.

Wyciągarka opuszczała mnie coraz niżej w podziemne ciemności, wreszcie stopami dotknąłem dna. Z czasu, jaki zużyłem na pokonanie odległości od końca szybu do dna jaskini, wywnioskowałem, że grotta musi mieć około czterdziestu stóp wysokości. Szarpnąłem za linę, by dać znać robotnikom, że dotarłem na miejsce, po czym spojrzałem na nikłe światło w górze, blade, niebieskawe i odległe, ale wskazujące jedyną drogę wyjścia.

Odczepiłem uprząż, szarpnąłem ponownie liną i po chwili brezentowe pasy zaczęły

się unosić, aż zniknęły mi z oczu. W tym samym momencie rozległ się kolejny łoskot towarzyszący wstrząsom i odłamki skał posypały się do środka jaskini.

Oświetliłem latarką przestrzeń wokół siebie, chcąc zbadać nowe otoczenie, tak jak to robią rozbitkowie w powieściach. Czuję się właśnie jak rozbitek, a nawet gorzej, bo byłem jeszcze bardziej samotny i przerażony. W końcu przecież Robinson Crusoe miał światło słoneczne, piasek i papugę na ramieniu. Ja zaś tylko ciemność, trwogę i ciągle wiercącego się kota.

Postąpiłem do przodu, próbując dostrzec coś w ciemnościach, gdy wtem zachrząściło mi pod stopami. Odskoczyłem z obrzydzeniem i poświeciłem latarką. Nadepnałem na biały szkielet mniej więcej wielkości gołębia. Omiotłem światłem jaskinię i zobaczyłem, że całe podłoże usłane jest kośćmi, było ich całe mnóstwo. Skierowałem promień w przestrzeń nad sobą: setki tysięcy nietoperzy albinosów tkwiło tam cicho i nieruchomo, w tak fantastycznych kombinacjach jedne na drugich, że mogły równie dobrze być stalaktytami. Żyjąc tu od wieków, utraciły barwę i wzrok z powodu braku światła i żywienia się nielicznymi robakami i zwierzątkami, które przypadkowo trafiły w plątaninę podziemnych korytarzy. Po śmierci spadały na dno jaskini, a gruba warstwa szkieletów chrząściła przy każdym kroku, co nie sprawiało miłego wrażenia.

Czekałem na Dana i szeryfa, z obrzydzeniem przyglądając się nietoperzom, wreszcie usłyszałem dzwonięcie upręży i skrzyp wyciągarki. Poświeciłem w stronę bladego krążka, gdzie szyb wbijał się w sklepienie jaskini, i zobaczyłem Cartera Wilkesa dyndającego niczym ogromny pająk na cienkiej pajęczynie. Pomachał mi dłonią, a za moment już stał koło mnie i rozpinał brezentowe pasy.

- Patrz pod nogi - ostrzegłem podchodząc do niego, by pomóc mu się wyplątać. - W

tej cholernej dziurze pełno nietoperzy. Na suficie, na podłodze, wcale bym się nie zdziwił,

gdyby w korytarzu stała kolejka oczekujących na wolny cal miejsca.

Carter włączył bardzo mocną latarkę i szybko rozejrzał się dookoła. Wedle mojej oceny jaskinia miała około stu pięćdziesięciu stóp długości i czterdziestu wysokości w najwyższym miejscu, gdzie akurat przewierciła się brygada. Strop opadał w stronę ciemnej niszy, która zapewne prowadziła do następnej jaskini lub korytarza. Ściany były z szarej skały i wewnątrz sprawiało wrażenie ukształtowanego siłami natury, a nie utworzonego przez człowieka czy potwora, choć w powietrzu wisiał okropny zaduch, który wywoływał mdłości i niepokój.

- Czy sądzisz, że Shelley wskaże nam, gdzie może się kryć Quithe? - spytał Carter.

Spojrzałem na trójkątny pyszczek wychylający się spod mojego ramienia.

- Bo ja wiem. Wygląda, jakby już go wystraszyło tysiąc duchów.

- Może go wypuścisz i ruszymy za nim?

- Tak, na pewno. A jak się zgubi? Ze wspomnień Josiaha Waltersa wynika, że te jaskinie ciągną się w nieskończoność.

Carter otworzył kaburę.

- Jak się zgubi, to z funduszy policji kupię ci inne zwierzątko. Żółwia.

Po paru minutach pojawił się Dan. Łądując na dnie jaskini, upadł na kolano, ale zapewniał nas, że nic mu nie jest, gdy szybko pomagaliśmy mu się wyplątać z brezentowych pasów i otrzepać z kurzu.

Rozejrzał się po otoczeniu.

- Bez wątplenia to najwyżej położona jaskinia w tym systemie wodnym - stwierdził, przyglądając się szarym ścianom oświetlonym latarką pożyczoną od Cartera. - Nie sądzę, by przez ostatnie stulecia została zalana. Choć może wcześniej... Popatrzcie.

Powiódł kręgiem światła po grubych pokładach soli mineralnych, które utworzyły się

na ścianach jaskini parę stóp poniżej sklepienia. W blasku latarki kryształki migotały biało, żółto i zielono.

- Magnez, siarczan miedziowy, trochę potasu. Gdy wody się podniosły, minerały osadziły się na ścianach. Zapewne grotą znajdującą się poniżej jest całkowicie zalana.

- Czy możliwe, żeby Quithe krył się pod wodą? - zapytałem.

- Sam się nad tym zastanawiam. Próbowałem zgadnąć, czemu właśnie teraz próbuje wrócić do życia. Może dlatego, że w tym roku poziom wód gruntowych wzrósł tak bardzo?

- Nie rozumiem. Dlaczego miałyby to zależeć od poziomu wód gruntowych? -

wtrącił Carter.

Dan oświetlił niższe partie ściany.

- Moim zdaniem Chulthe czy Quithe jest potworem morskim i może odzyskać pełnię sił tylko wtedy, gdy otacza go woda. Po zapadnięciu się Atlantydy, wybuchy wulkanów i wstrząsy podziemne sprawiły, że poziom wód bardzo się podniósł i gdy Quithe przeniknął do systemu wodnego szukając ratunku, najprawdopodobniej ułożył się na spoczynek w najwyższej zalanej jaskini. Stare podania nie wspominają szczegółowo, w jaki sposób przeniknął do studni. W Legendach z Litchfield napisano tylko, że bogowie-bestie pozostawili w podziemnych źródłach swe nasienie, można założyć, że były to mikroskopijne organizmy niczym nasienie ludzkie. Jednak Josiah Walters twierdzi, że znalazł Quithe w jego kryjówce, a więc w osiemnastym wieku ten musiał już osiągnąć właściwy sobie wzrost. Moim zdaniem Quithe zaczął rosnać w tych podziemnych grotach niedługo potem, jak jego wcześniejsze stadium rozwojowe złożyło tu nasienie. Jaskinie były zalane, więc potwór gwałtownie nabierał sił i wagi. Ale gdy po zatonięciu Atlantydy wszystko się uspokoiło i wody zaczęły opadać, Quithe znalazł się w pułapce, bo tak urósł, że nie mógł się przecisnąć do niżej położonych jaskiń, gdzie była jeszcze woda. Zaczął tracić siły i zapadł w letarg. Wysechł

niczym suszona krewetka i przez wieki trwał w tym stanie.

Carter zamrugał oczami.

- Chcesz powiedzieć, że wrócił do życia po tegorocznych obfitych opadach, gdy w jego jaskini wzrósł poziom wód i potwór dobrze się wymoczył?

- Tak, można to i tak określić. Przynajmniej taką sobie stworzyłem teorię. I gdy tak rósł w wodzie, zaczął do niej wydzielać nasienie, by każda istota, która je wypije, zmieniła się w jego sługę, w kraba, który na powierzchni ziemi znajdzie dla niego pożywienie, przyniesie mu i nakarmi, gdy on będzie tkwił pod wodą. Pogłaskałem kota po łebku.

- Dan, pojawia się mały problem. Jeśli on siedzi pod wodą, to jak go stamtąd wywabimy? Nie mamy akwalungu, kuszy, harpunów ani innych użytecznych w takiej walce akcesoriów.

Wtem cała jaskinia zadrżała. Z łoskotem posypały się kamienie ze sklepienia, odpowiedziało im echo z głębi korytarzy.

- Też nie wiem - odparł Dan. - Chyba najpierw trzeba go znaleźć, a potem się zastanowimy, jak się go pozbyć.

Popatrzyłem na Shelleya.

- Ach tak. I tu na scenę wkracza mój wierny kot bojowy.

- Na to wygląda - przyznał Carter.

Wprawdzie nie chciałem wypuszczać Shelleya, ale przecież nie miałem wyboru.

Odwinąwszy go z peleryny, posadziłem między szkieletami nietoperzy i odłamkami skał, a on sztywno postawił ogon do góry i zaczął węszyć. Nie chciałbym go stracić za skarby świata.

- Shelley, idź go poszukać - szepnął Carter. - Gdzieś tu jest. Idź, szukaj.

Powoli, jakby z namysłem, kot ruszył przez mrok w kierunku ciemnego krańca

jaskini, gdzie majaczyło jakieś przejście. Carter oświetlał go światłem latarki. Shelley

odwrócił się tylko raz, zielone ślepią zalśniły, po czym bez jednego miauknięcia zniknął w ciemności.

Bardzo ostrożnie zbliżaliśmy się po trzeszczących kościach do przesmyku i obejrzelśmy go z wielkim niepokojem. Miał zaledwie cztery stopy wysokości i zakręcając trochę w lewo prowadził w dół. Dostrzegłem tylko ogon kota przeskakującego nad przyzłą okruchów skalnych, po czym zniknął mi z oczu.

- Zupełnie jak w filmie Lassie, wróc. Mam wrażenie, że chce, byśmy za nim poszli - powiedział Carter.

- Sądysz, że się zmieścimy w tej dziurze? - zapytałem. - Ciasna jak tyłek lamy.

- Skąd wiesz, jaki jest tyłek lamy? - zainteresował się szeryf. - Pomóż mi zdjąć granatnik. Nie przeczołgam się z tym świństwem na plecach.

Kiedy Dan pomagał Carterowi, obejrzałem wejście w świetle latarki. Skała była twarda, migotały w niej kryształki, ale po lewej stronie dostrzegłem ślad nie wyglądający na dzieło natury. Pochyliłem się i starłem warstewkę soli, która odłożyła się przez lata, i odkryłem dowód, że Shelley prowadzi nas właściwą drogą.

Na skale ktoś wydrapał pośpiesznie niewyraźne inicjały "J.W.", liczbę "87" oraz strzałkę skierowaną tam, gdzie zniknął kot. Odwróciłem się i powiedziałem do Cartera:

- Tam jest kryjówka diabła. Josiah Walters zostawił tu swój znak.

Szeryf rozcierając kark zmęczony dźwiganiem broni podszedł do mnie i zerknął na litery.

- Niesłychane. Facet wydrapał napis dwieście lat temu, a wygląda, jakby to zrobił dziś rano.

Ziemia znów zadrżała, tym razem krócej, ale tak mocno, że przez chwilę z trudem utrzymywałem się na nogach. Słyszeliśmy, jak z łoskotem spadają odłamki skały i osypuje się

ziemia. Carter szybko oświetlił sklepienie. Otwór, przez który dostaliśmy się do podziemnego świata, powoli zniknął. Mignęło jeszcze światło potężnego reflektora na zewnątrz, ale gdy runęła większa bryła błota i ono też zgasło.

Carter popatrzył na mnie. Jego twarz oświetlona od dołu przypominała maskę z antycznej tragedii.

- Módlmy się tylko, żebyśmy stąd nie musieli zmykać w pośpiechu - rzucił chrapliwym głosem. - Optymistycznie licząc, oczyszczenie szybu zajmie im przynajmniej godzinę.

- Nie podoba mi się twój rodzaj optymizmu - odparłem. - Ruszajmy za Shelleyem, nim go całkiem zgubimy.

- Ty pierwszy. W końcu to twój kot.

Pochyliłem się i na czworakach wszedłem w otwór. Niemal od razu sklepienie korytarza trochę się podniosło, ale i tak było ciasno, niewygodnie, a ściany zdawały się wręcz naciskać z boków. Potykając się i klnąc szliśmy w dół między odłamkami skał, czasem ktoś obtarł sobie na nich rękę, czasem przeciskaliśmy się z trudem między ostrymi głazami, jakby specjalnie umieszczonymi w takiej odległości, by człowiek ledwo się między nimi mieścił. Już po paru minutach byliśmy złani potem i bardzo zmęczeni, ale korytarz dalej wiódł w głąb ziemi, równie kręty i nieprzystępny jak na początku.

- Żałuję każdego wypitego piwa - ciężko dyszał szeryf, który właśnie przepchnął się pod ogromnym nawisem skalnym.

W migotliwym świetle latarek widziałem bladą twarz Dana zamykającego pochód.

- I hot-dogów - ciągnął Carter.

- I tych ogromnych porcji tortu orzechowego z bitą śmietanką - dodał Dan.

Przeciskaliśmy się krętym korytarzem coraz głębiej do ciemnego wnętrza ziemi. Pot



spływał z nas strumieniami i zaczynało nam brakować powietrza. Przypomniałem sobie, jak w dzieciństwie budowałem schowanko pod kołdrą i w końcu zupełnie traciłem orientację, a cały mój świat nagle stanowiły ciemność, strach i przytłaczający ciężar.

- Jak długo idziemy? - zapytał Carter.

- Piętnaście minut - rzuciłem przez ramię.

- A jak głęboko mogliśmy dotrzeć? Dwieście, trzysta stóp?

- Mniej więcej. Trudno ocenić bez żadnego punktu odniesienia.

- Nic się nie poszerza? - zawołał z tyłu Dan. Poświeciłem do przodu, ale zobaczyłem tylko wąski przesmyk między postrzępionymi skałami.

- Nic, przynajmniej na odcinku najbliższych pięćdziesięciu stóp - odpowiedziałem. - Chcesz odpocząć?

- Lepiej szybciej z tym skończyć - warknął Carter. - Zaczynam się czuć niczym ziarno czerwonego pieprzu w środku oliwki.

Przez następne dziesięć minut w milczeniu z wielkim trudem brnęliśmy dalej. W pewnej chwili strop tak się obniżył, że musieliśmy się czołgać korytarzem gwałtownie opadającym w dół, raniąc sobie czoła i dłonie. Marzyłem, by jak najszybciej stąd wyleźć, ale zrobiło się tak wąsko, że w żaden sposób nie zdołalibyśmy zawrócić.

Gdy właśnie przecisnęliśmy się między szczególnie ostrymi skałami, korytarz się rozszerzył. Po paru minutach mogliśmy już swobodnie stąpać po dnie. Latarki wydobyły z mroku mieniące się białą stalaktyty. Znaleźliśmy się na czymś w rodzaju półki, balkonu z widokiem na ogromną, sklepioną grootę. Ze wszystkich stron otaczały ją kolumny z kryształków soli, przez co wyglądem przypominała niezwykłą katedrę, miejsce kultu pogrążone w absolutnej ciszy, gdzie nigdy nie zajaśniał promień słońca.

Ostrożnie postąpiliśmy na skraj balkonu i spojrzeliśmy w dół. Nic, tylko

atramentowoczarna, bezdenna ciemność, ale gdy Carter poświecił, zrozumieliśmy, skąd wzięło się to wrażenie. Za ledwie dwanaście stóp poniżej znajdowała się tafla podziemnego jeziora, w którym odbijały się nasze twarze i światła latarek. Tak wysoko podniosły się wody z głębin ziemi, stąd pochodziło nasienie Chulthe, które stało się diabelskim przekleństwem dla pijących tę wodę Bodine'ów.

Posłyszałem miauknięcie i oświetliłem brzeg jeziora. Na złamanej stalagmitowej kolumnie wynurzającej się z toni ujrzałem Shelleya. Węszył i przebierał łapkami, jakby czuł, że cel jego polowania znajduje się blisko, choć jeszcze jest niedostępny.

- Widzisz? - zwróciłem się do Dana. - To może znaczyć, że Chulthe znajduje się właśnie tutaj, w jeziorze.

- Ten cholerny smród tuńczyka na to by wskazywał - dodał Carter, wycierając owłosionym ramieniem pot z czoła. - Zupełnie jak w porcie.

Dan zapatrzył się na wodę.

- Zupełnie czysta - rzucił po chwili. - Gdybyśmy mieli bardzo mocny reflektor, moglibyśmy zobaczyć, co jest na dnie.

- Ktoś pójdzie na ochotnika? - spytał szeryf. Shelley stojąc na chybotliwym kamieniu miauczał i prychał.

- Czy ten kot wie coś, o czym my nie wiemy? - zapytał Dan.

Wzruszyłem ramionami.

- Może mu tylko chodzi o ten zapach. Skąd mam wiedzieć? Nie uczyli mnie kociej psychologii.

Przez parę minut oglądaliśmy ciemne, przerażające sklepienie. Wnętrze łudzaco przypominało kościół, a zimne zatęchłe powietrze przywoływało na pamięć opuszczone francuskie katedry, gdzie łatwo sobie wyobrazić spoczywających pod kamienną posadzką,

głuchych na zgiełk świata rycerzy i świętych. Oświetlaliśmy białe stalaktytowe kolumny, które otaczały nawę odbijając się w wodzie niczym doskonałe dzieła średniowiecznych mistrzów.

- Zupełnie jak kaplica diabła - powiedział Carter. - Widzieliście już wcześniej taką jaskinię? Niespotykane.

- Raczej nadnaturalne - poprawił Dan.

- Nadnaturalne czy nie - chrząknąłem - musimy zrobić coś sensownego. Nim wrócimy, powinniśmy się przekonać, czy Chulthe tu rzeczywiście jest.

- Co proponujesz? - zapytał Dan.

- Sam nie wiem. Może spróbować go zaniepokoić? Carter zmarszczył brwi.

- Chcesz niepokoić złowrogie bóstwo, gdy się znalazłeś sto pięćdziesiąt stóp pod ziemią, a jedyna droga ucieczki to korytarz odpowiedni tylko dla królika?

- Ja wcale nie chcę! Ale chyba będziemy musieli. Carter powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Szkoda, że nie przyniosłem tutaj granatnika. Przydałby się jakiś mocniejszy argument.

Podszedłem do samego skraju balkonu i spojrzałem na przezroczystą powierzchnię jeziora.

- Jesteśmy jakieś sto pięćdziesiąt stóp pod ziemią? - zapytałem Dana.

- Coś koło tego.

Z namysłem podrapałem się po policzku.

- Kiedy badałeś wodę, to twierdziłeś, że te organizmy i związki mineralne pochodzą z większej głębokości, prawda? Nawet półtorej mili?

- Zgadza się. Najprawdopodobniej tam właśnie spoczywał Chulthe, gdy zaczął

powracać do życia. Te korytarze i jaskinie ciągną się milami w głąb skały. Wszystkie są zalane. Stąd pewnie wziął się sen Jima o pływalni pod tonami skał. Ale skoro gwałtowne opady podniosły poziom wód aż do tego miejsca, zapewne i Chulthe porusza się teraz swobodnie po labiryncie.

- To znaczy, że mógłby zakazać wodę również i w innych miejscach? - ponuro dopytywał Carter.

- Wprawdzie teoretyzuję, ale myślę, że tak. Szeryf rozpiął kaburę rewolweru.

- No cóż. Nie wiem jak wy, chłopcy, ale ja widziałem już dość niewinnych ludzi rozerwanych na strzępy przez potwory. Jeśli Mason twierdzi, że trzeba zaniepokoić tego Chulthe, by go dorwać, no to bierzmy się do dzieła.

Dan uniósł dłoń i powiedział:

- Carter, nie powinienem...

Ale rozwścieczonego szeryfa nic nie mogło już powstrzymać. Wyjął trzydziestkę i wymierzył w taflę jeziora. Wystrzelił dwukrotnie, a grotą odpowiedziała ogłuszającym echem. Shelley przeskoczył ze swojego stalagmitu na balkon i stał przerażony tuląc się do mojej łydki. Echo wystrzałów przebrzmiało po raz ostatni i zapadła cisza.

Tafla wody trwała nieporuszona, tylko ledwo zarysowane kręgi fal przebiegły po powierzchni i lekko odbiły się o stalaktytowe kolumny, by wrócić do środka jeziora. Staliśmy w milczeniu, aż zamarła ostatnia fala.

- Wygląda na to, że strzały nie robią na nim wrażenia - stwierdził Carter. - Może powinniśmy cisnąć odłamkami w wodę?

- Poczekaj jeszcze minutę. Wszyscy zauważyliśmy, jak bardzo to miejsce przypomina katedrę. Może to zamierzone podobieństwo? Może stworzono je specjalnie, aby oddawać tu cześć diabłu?

- Jak można specjalnie stworzyć coś takiego? - zapytał Dan nie kryjąc sceptycyzmu. -

Te stalaktyty formowały się dwadzieścia tysięcy lat. Dwadzieścia tysięcy.

- Może i tak - odparłem - ale mamy do czynienia z potworem, który bez wysiłku zalewa pokój na pierwszym piętrze, a później błyskawicznie go osusza. Z potworem mającym podobno dwa miliony lat, kimś z przeszłości sięgającej najdawniejszych czasów. Czymś prastarym i niewyobrażalnie potężnym. Z szatanem. Tylko pomyśl, Dan. Czy szatan nie mógłby sobie zrobić czegoś takiego?

- Hmm, właściwie teoretycznie to możliwe.

- Dobrze, uznajmy, że to teoretycznie możliwe. A więc spróbujmy sprofanować jego królestwo, wezwijmy imię Boże lub siły dobra, to może diabeł wychynie z wody, by nas powstrzymać.

Carter i Dan popatrzyli po sobie bez entuzjazmu.

- Niezbyt mi się to podoba - stwierdził szeryf. - I niby co mamy robić? Zaśpiewać pobożną pieśń? Na pewno mój głos sprofanowałby każde miejsce, ale nie jestem pewien, czy to się uda akurat tutaj.

- Odmówmy modlitwę. Wprowadźmy tu odrobinę chrześcijaństwa.

- Zgoda. Robiliśmy już głupsze rzeczy - powiedział Dan z westchnieniem.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu z pochylonymi głowami. Zaniepokojony Shelley kręcił się przy nas, ocierając o moje nogi, ale świadomie nie zwracałem na niego uwagi.

Starałem się skupić myśli wyłącznie na Bogu, Jego Synu Jezusie Chrystusie, Duchu Świętym i znaku krzyża. Chciałem ujrzeć w sobie światłość, która by wydobyła z mroku prawdziwe oblicze tej podziemnej groty, rzeczywiście będącej czarną katedrą Piekieł. Uniósłem oczy i powiedziałem cicho, lecz dobitnie:

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Wszyscy trzej wyznajemy wiarę w dobro i

posługę Kościoła. Wyrzekamy się szatana i wszelkich spraw jego. Błogosławimy to miejsce w imię naszego Boga i wszystkiego, co uznajemy za dobre. Niech zginie wszelkie zło.

Wtem pod nami rozległ się daleki, potężny huk niczym początek kolejnego trzęsienia ziemi. Tafla jeziora zaczęła się marszczyć i burzyć, za nami posypały się odłamki skał.

- Mason, przestań - odezwał się Carter.

Ale nie mógł mnie teraz powstrzymać. Aby wypłoszyć Quithe z podwodnych grot, musieliśmy użyć wszelkich dostępnych metod.

- Błogosławimy to miejsce - powtórzyłem. - Prosimy Boga, by je uświęcił i zniweczył wszelki wpływ diabła. Prosimy Boga, by uczynił nas przemożną twierdzą wobec mocy Quithe, czyli Chulthe, czyli szatana.

Ziemia poruszała się tak gwałtownie, że z trudem utrzymywaliśmy równowagę.

Wielki stalaktyt oderwał się od sklepienia i spadł na balkon, roztrzaskując się o parę stóp od nas. Ogłuszył nas głęboki, straszliwy huk.

- Jezioro! Mason! Popatrz na jezioro! - krzyknął Dan. Oświetliłem latarką taflę.

Spośród fal podnosił się mokry, lśniący od wody potwór pokryty łuską, pomarszczony, przypominający gigantycznego kraba, a tak wielki i przerażający, że niemal rzuciłem się do ucieczki. Wyciągnął kleszcze z chrzęstem przypominającym wyciąganie samochodu z rzeki, z dzioba wydobywały się zgrzytania i piski. A najgorsze było to, że ze szczęk i kleszczy zwisały mokre, poszarpane resztki ubrania, w mackach gniótł jakiś fragment ludzkiego ciała.

- Dan, chcę, żebyś coś zrobił, i to jest rozkaz - wykrztusił Carter przez zaciśnięte zęby. - Przynies granatnik. I pośpiesz się. Będziemy próbowali z Masonem powstrzymać tego potwora aż do twojego powrotu. - Dan się zawahał, ale Carter dodał ostro: - Ruszaj się! To nasza jedyna szansa!

Dan zniknął w ciemnościach, a my zostaliśmy na półce wiszącej nad jeziorem, gdy

tyczasem krab wynurzał się z fal. Ukazał się tułów osłonięty porowatym, kolczastym pancerzem i wijące się macki. Stał przed nami pozbawiony duszy potwór, którego jedynym celem było wyrwać nasze wnętrzności i nakarmić nimi swego przerażającego władcę.

## **ROZDZIAŁ 10**

Carter załadował dwa pociski, po czym zatrzasnął magazynek, zarepetował i stał gotów na wszystko. Wyglądał jak Gary Cooper czekający na rewolwerowców na rynku miasteczka w samo południe. Ja zaś znalazłem ostro zakończony odprysk stalaktytu i chwyciwszy go mocno machnąłem nim nad głową; wiedziałem, że nie wystraszę potwora, ale przynajmniej ten gest dodał mi trochę odwagi. Stwór zbliżał się z każdą sekundą, szare powieki rytmicznie odsłaniały i zasłaniały lśniące, czarne ślepia, kleszcze szczękały w oczekiwaniu na żer. Wprawdzie nie widzieliśmy go całego, ale na pewno przewyższał rozmiarami potwora, w którego zmieniał się Jim. Wyglądał też ohydniej, bo łuski pokrywał czarny liszaj żerujących pijawek, a od rybiego smrodu aż nas zemdliło.

- Będę mierzył w oczy - powiedział Carter. - Mason, mógłbyś przykłęknąć?

Chciałbym się oprzeć o twoje plecy.

- Jasne - odparłem automatycznie. Przekręciłem kask tył na przód i przykłęknąłem na twardym, skalistym podłożu. Carter ustawił się przy mnie i uniósł rewolwer.

- Gdybyśmy go oślepiłi, mielibyśmy cień szansy - wykrztusił zdławionym głosem.

Wsparł mocno szerokie łokcie na moich plecach i wycelował starannie broń.

- Pośpiesz się, łapie mnie skurcz - rzuciłem.

- Wolisz skurcz czy być śniadaniem skurczybyka? - spytał.

Czułem, że napina mięśnie i strzela. Miałem wrażenie, że pocisk rozerwał się we wnętrzu mojej głowy, ale nawet nie drgnąłem.

- Chybiłem, niech to szlag - warknął szeryf. Wystrzelił ponownie. - Chybiłem -

mruknął.

Słyszałem, jak kleszcze skrobią o kamienną półkę, a gdy potwór potrząsnął ohydny łbem, krople wody spadły na ziemię tuż obok mnie. Stał zaledwie piętnaście stóp od nas i zaczął wdrapywać się na skraj balkonu. Nie pozostawało nam nic innego, jak tylko próbować ucieczki korytarzem.

- Carter - starałem się mówić rzeczowo - nie sądzisz, że najwyższy czas na pełne godności wyjście? Ten gość jest okropnie blisko.

Szeryf zazgrzytał zębami. Skupił się na mierzeniu w czarne ślepie, które tkwiły na ruchomych szypułkach na łbie potwora. Wypuścił powietrze z głośnym sapnięciem, jeszcze raz przymierzył i wypalił. W uszach tak mi dzwoniło od huku, że z trudem dosłyszałem przeciągłe wycie potwora, ale za to świetnie zrozumiałem okrzyk Cartera:

- Trafiłem! Trafiłem łajdaka!

Podniosłem oczy. Potwór chwiał się stojąc na krawędzi półki skalnej, a jedno z czarnych ślepi przypominało krwawą miazgę.

- Klękaj! - warknął szeryf. - Muszę trafić i w drugie, inaczej to bez sensu.

Jeszcze raz oparł się o moje plecy i wypalił. Tym razem pomogła mu radość z pierwszego trafienia i niepokój potwora. Zdążyłem dostrzec, jak drugie oko zostaje odstrzelone z szypułki.

- I kto twierdził, że nie trafiam góry z odległości trzech stóp?! - zawołał radośnie. -

Widziałeś? To był dopiero strzał!

Krab zataczał się coraz bardziej, macał kleszczami dookoła, jakby szukając oparcia.

Musieliśmy się cofnąć, bo nadal próbował nas dosięgnąć. Ale pozbawiony wzroku stracił całą swoją szybkość i zręczność, wystarczyło, byśmy się rozplaszczyli na skale, a kleszcze przesuwają się obok.



Po paru minutach bezowocnych łowów potwór zsunął się do jeziora i spoczął niemal całkowicie zanurzony o parę stóp od nas. Długie pijawki, które do tej pory żerowały na miękkich częściach ciała między łuskami, teraz przyssały się do krwawiących szypuł i po chwili czarne kłębowisko pokryło zmiażdżone ślepia.

- Sługus diabła ma ciężkie życie, co? - Carter patrzył na stwora z obrzydzeniem.

- My też mamy nielekkie - odparłem. Czekaliśmy już blisko dwadzieścia minut.

Wypaliłem cygaro, a Carter łyknął parę razy z małej, srebrnej piersiówki. Krab leżał na wodzie bez ruchu, ponad tafłę jeziora wystawił tylko poraniony łeb i kark. Co jakiś czas ziemią wstrząsały drgania, ale Chulthe osobiście się nie pojawił, a ja nie miałem zamiaru go prowokować przed powrotem Dana. Wreszcie w korytarzu rozległ się stukot i u wylotu pojawił się zadyszany Kirk. Przecisnął się między dwiema skałami zamykającymi wyjście z korytarza i zataczając się zbliżył do nas. Był cały czerwony i tak mokry od potu, że ubranie można było na nim wyźymać.

- Coś się tak grzebał? - spytał Carter, biorąc granatnik. Dan opadł na ziemię z trudem łapiąc powietrze.

- Żarty sobie stroisz. Przeleciałem ten korytarz w obie strony tak szybko, jakby mnie ktoś tłuszczem nasmarował.

Szeryf podał mu piersiówkę, Dan łyknął potężnie. Skrzywił się i przełknąwszy zapytał:

- U licha, co to jest?

- Porządny, skonfiskowany samogon. Dan wzruszył ramionami.

Gdy Carter ładował granatnik, podszedłem tak blisko krawędzi skalnej półki, na ile mi pozwalała odwaga, i przyjrzałem się zranionemu potworowi. Tak spokojnie unosił się na wodzie, że się zacząłem zastanawiać, czy nie zdycha. Ale gdy postąpiłem krok do przodu,

kleszcze sięgnęły w moją stronę i wiedziałem, że bestia czuwa. Wróciłem do Cartera, który właśnie skończył ładowanie broni, i powiedziałem:

- On ma jakiś powód, by nas pilnować. Szeryf przytaknął.

- Też tak myślę. Ciekawe dlaczego?

- Żebyśmy nie wypowiedzieli żadnych innych modlitw?

- Wątpię. Raczej nas tu przytrzyma, aż nadciągną posiłki.

- Nie wiemy, czy może na nie liczyć - zauważył Dan. - Pewne jest tylko to, że przemianie ulegli Jim i Alison. Nigdy nie przyszedł żaden konkretny meldunek tyczący Karlana. To więc może być Alison, jedyny pozostający przy życiu krab.

- Możliwe - przyznał Carter. - W takim razie może nas powstrzymuje przed zbadaniem jeziora i odkryciem, co się w nim kryje?

Wskazałem głową granatnik.

- Chcesz tym do niego strzelać?

- Tak. Raz w łeb powinno wystarczyć. Rozejrzałem się szukając Shelleya. Ze zwykłym sobie lekceważeniem powagi sytuacji schronił się w małej niszy w skale i nie zwracając na nas uwagi siedział w niej z zamkniętymi ślepiami.

- Chyba lepiej, żebyśmy się wycofali, nim walniesz - rzuciłem. - Nie wiadomo, jak mocne są sklepienia w tych grotach.

- Prawda - przyznał Dan i gdy szeryf gotował się do zadania krabowi decydującego ciosu, odsunęliśmy się jak najdalej i skulili zatykając uszy.

Umieściwszy latarkę między ścianą a stalaktytem w taki sposób, żeby oświetlała łeb leżącego w wodzie potwora, Carter zmierzył się do strzału. Na tle migoczącej powierzchni ciemniała potężna sylwetka szeryfa. Słyszałem, jak odbezpieczył broń i nieco się pochylił nad celownikiem.

Powinniśmy byli się domyślić, że potwór jest znacznie szybszy i mocniejszy, niż nam się wydawało. Carter wprawdzie odstrzelił mu oczy, ale zapomnieliśmy, że nieprzeniknione ciemności w zalanej wodą labiryncie pod Connecticut stanowiły jego naturalne środowisko i potrafił się w nich poruszać z taką samą szybkością i siłą, jak przy świetle dnia.

Szeryf nawet nie zdążył wypalić, gdy przerażający krab uniósł się ponad taflę jeziora wśród fontann wody, machając potężnymi zielono-czarnymi kleszczami. Wilkes wydał jeden chrapliwy okrzyk, kleszcze go dosięgnęły i czaszka została roztrzaskana niczym pękający orzech. Krab przydusił ofiarę do podłoża, drugie szczypce pociągnęły zakrwawione ciało w dół, ku podbrzuszu, gdzie białe macki oplotły je szczelnie.

Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię. Zamknięta przestrzeń, w której się znajdowałem, widać doprowadziła mnie na skraj szaleństwa. Zerwałem się na nogi i wyskoczywszy zza skały, która oddzielała mnie od kraba, rzuciłem się po leżący na ziemi granatnik.

- Mason! To bez sensu! - wrzasnął Dan, ale było już za późno, choć i w mojej głowie trzepotała tylko jedna myśl: TO BEZ SENSU. Potknąłem się, upadłem, ale zerwawszy się na nogi dojrzałem granatnik tuż obok siebie. Chwyciłem za pas i uniosłem z ziemi broń, próbując zarzucić ją na ramię i zmierzyć się do strzału. Wtem wszystko przesłonił czarny, ogromny pancerz, a władzę zmysłów przytłoczyła potężna siła, której ani nie rozumiałem, ani nie potrafiłem się oprzeć.

Rozległ się chrzęst, to krab zsuwał się ze skalnej półki do wody, wlokąc mnie ze sobą. Trzymał mnie kleszczami za lewe udo, wprawdzie nie zmiażdżył kości, ale chwycił tak mocno, że nie mogłem się wyrwać. Starczyło mi tylko czasu, by wykrzyknąć:

- Dan!

I już pogrzeżyłem się w lodowate odmęty podziemnego jeziora; z przerażenia niemal

wypuściłem całe powietrze z płuc.

Krab nurkował. Czułem, jak zimna woda dociera do bębenków usznych, i wiedziałem, że tlenu w płucach wystarczy mi zaledwie na kilka sekund. Próbowałem wyrwać nogę, ale potwór trzymał mocno. Moja twarz obijała się o łuski i ostre kolce na jego łbie. Raz z obrzydzeniem i trwogą poczułem, że dotykam pokrytego pijawkami oka. Zapadaliśmy się coraz głębiej, woda była coraz zimniejsza i ciemniejsza, znikł ostatni promień światła z latarki Cartera. Za sekundę lub dwie będę musiał zaczerpnąć oddechu, a to oznacza śmierć.

Nurkując pod ostrym kątem potwór ciągnął mnie ku dnu jeziora. I gdy wreszcie dotknęliśmy skały, przesuwał się wzdłuż niej tak długo, aż znalazł szerokie przejście. Przez mój otępiały od braku tlenu mózg przemknęło wspomnienie słów Dana: "Te grotty i korytarze ciągną się całymi milami. A wszystkie są zalane".

Krab dalej płynął w dół, najpierw żlebem, a później korytarzem, którego skalne ściany raniły mi dłonie i nogi. Moje martwe ciało będzie zapewne nadal wleczone przez labirynt grot, korytarzy i jaskiń, po czym zostanie pożarte w całkowitych ciemnościach w tym najbardziej diabelskim miejscu na ziemi. To było piekło w najstraszniejszym, najbardziej realnym tego słowa znaczeniu.

Wtem poczułem, jakby w ramię dotknęła mnie dłoń świętego: o plecy obijał mi się granatnik. Sądziłem, że wymknął mi się z rąk, ale pas widać zaplątał się w kleszcze potwora i broń poszła pod wodę razem ze mną. Chwyciłem ją z całych sił i próbowałem wymacać spust oraz wylot lufy. Płuca mi niemal pękały, brakowało powietrza, a dwutlenek węgla otępiał umysł. Ale znalazłem dość mocy, by wcisnąć granatnik w ciało potwora między pęk macek nadal oplatających ciało Cartera. I wykazałem tyle siły woli, że nacisnąłem spust.

Gdy pocisk wyleciał z lufy, wokoło zawirowały bąbelki, a później rozpętało się szaleństwo: potwór miotał się, dygotał, wił. Wreszcie opadł ciężko na bok, a ja uderzyłem

głową o skałę. Pocisk wybuchł, w wodzie się zakotłowało, a ja byłem wolny. Kiedy desperacko wyprysnąłem ku górze, otaczała mnie chmura kawałków łusek, fragmentów kleszczy i odłamków granatu. Z całych sił rozgarniałem wodę ramionami, w płucach nie miałem już ani odrobiny powietrza. Modliłem się do Boga, żeby nade mną była pusta przestrzeń, życiodajny tlen, żeby się nie okazało, że potwór zawłókł mnie do niższej groty zalanej pod samo sklepienie. Pomyślałem o śnie Jima Bodine'a. O tonięciu. O Atlantydzie. "Najbardziej mnie przeraża uczucie, że ta woda się nie kończy, że nad nią są tysiące ton skał. Więc nawet gdybym się wynurzył, to i tak nie zaczerpnę oddechu".

Wtem ujrzałem dziwne migotanie. Falujące, zielone migotanie. Głowa wyprysnęła nad powierzchnię, głęboko odetchnąłem. Łyknąłem wody, zakrztusiłem się i dusząc przebierałem bezradnie nogami, aż ochłonałem na tyle, by położyć się na wodzie. Powietrze było tak zimne, że aż mnie zabolalo w płucach, przemarzłem do szpiku kości, ale w tym momencie zupełnie się tym nie przejmowałem. Krab nie żył, byłem wolny.

W końcu przestałem ciężko dyszeć, ale dopadły mnie gwałtowne dreszcze.

Rozejrzałem się wkoło, znalazłem się w innym podziemnym jeziorze. Grota różniła się znacznie od tej, w której mieściła się szatańska katedra. Kształtem przypominała bumerang i z tego miejsca widziałem tylko jeden kraniec; wysoko nade mną wisiało sklepienie z dużych, pochyłych głazów. Lecz najbardziej mnie zdziwiło to, że było jasno i mogłem się wszystkiemu przyjrzeć. Światło, zbyt słabe i zielonkawe, nie mogło pochodzić z lampy.

Przypominało nikłą, pulsującą fluorescencję niczym z obrazów lśniących w mroku.

Emanowało z niewidocznego krańca jaskini. Zaczerpnąwszy głęboko powietrza i gwałtownie wymachując nogami, popłynąłem w jego kierunku, choć bardzo ciążyło mi mokre ubranie.

Gdy dojrzałem odległy koniec groty, byłem już bardzo zmęczony, na chwilę

położyłem się na wodzie i z niedowierzaniem wpatrzyłem w straszliwą scenę rozgrywającą

się przed moimi oczami.

Na końcu jaskini znajdowały się fantastycznie ułożone kondygnacje stalaktytów i stalagmitów, lśniących, pulsujących bladym, zielonkawym światłem. U góry wyglądały jak organy, a na dole otaczały rzędem smukłych kolumn szeroką, kamienistą plażę. Najbardziej przeraziło mnie to, co leżało na plaży. Przypominało czarnego, olbrzymiego czerwia o suchej pomarszczonej skórze. Część jego ciała była zanurzona w wodzie, z lśniących, brązowych żuchw zwisał przegniły kawałek ludzkiej wnętrzości. Miał przynajmniej dziewięćdziesiąt stóp długości i dwadzieścia wysokości, a kolor i obrzydliwa miękkość przywodziły na myśl najbardziej ohydne robale znajdowane pod kamieniami. To był Quithe, bóg-bestia, pan otchłani. To był Chulthe, odrażający duch, władca Atlantydy. To był szatan pod fizyczną postacią czerwia.

Nie wiedziałem, co zrobić. Nie mogłem siedzieć dłużej w wodzie, bo zgrabiały mi ręce i nogi. Musiałem wyjść z jeziora. A jedyne dostępne miejsce to plaża, na której ucztował Chulthe. Mogłem jeszcze zanurkować i znaleźć korytarz, którym mnie tu przywłókł krab, ale wiedziałem, że to najlepszy sposób na samobójczą śmierć, bo nie starczyłoby mi sił. Już miałem popłynąć w stronę drugiego krańca jaskini, by sprawdzić, czy nie ma tam półki skalnej, na której bym mógł odpocząć, gdy usłyszałem znajomy głos.

- Mason! To ty? Mason!

Spojrzałem na potworną plażę, gdzie Chulthe pławił się we krwi, ale jakimś sposobem potworny czerw gdzieś znikł i widziałem tylko nagie skały. Znów rozległo się wołanie:

- Mason!

Dopiero wtedy poznałem głos Rhety. Ale cóż ona tu robi, w tej zapomnianej przez Boga i ludzi podziemnej jaskini? Kiedy ją ostatni raz widziałem, jechała do szpitala z nogą skręconą w kostce.

A mimo to właśnie ona stała na skraju wody w białym fartuchu, jaki zwykle nosiła w laboratorium. Machała do mnie ręką. To na pewno była Rheta. Zdumiony wykrzyknąłem jej imię i popłynąłem w stronę plaży.

Rheta potrząsnęła głową, blond loki rozsypały się na ramiona, zaczęła rozpinąć fartuch. Dzieliło nas zaledwie około sześćdziesięciu stóp i świetnie widziałem jej uśmiech. Zawołałem urywanym głosem, bo wykonywałem szerokie zamachy ramionami.

- Jak... się... tu... dostałaś?... Jest... jeszcze inna... droga? Nie odpowiedziała, tylko zdjęła fartuch, pod spodem miała ognście czerwoną bieliznę. Czerwony, mocno wycięty stanik, z którego wychylały się różowe sutki. Czerwony pas podtrzymujący lśniące, czerwone pończochy i symboliczne majteczki, a właściwie paseczek czerwonego materiału.

Przebrnąłem jakimś cudem ostatnie parę stóp dzielących mnie od plaży. W końcu stanąłem na ziemi i zataczając się, wykasłując wodę z płuc, ruszyłem ku dziewczynie.

Wyciągnąłem ku niej ramiona.

Rozpięła stanik, piersi zakołysały się miękko. Odpięła pończochy i zdjęła je niespiesznym ruchem. Po czym kokieteryjnym krokiem odeszła po kamieniach, a na nagich pośladkach czerwieniał skrawek symbolicznych majteczek.

- Chcesz mnie? - spytała patrząc przez ramię. Przystanąłem. Czy jej pragnąłem?

Oczywiście, że tak.

Ale, do licha, co ona tu robi? To nie może być Rheta. A jeśli to nie ona, to co to jest?

Lub kto?

- Idziesz?! - zawołała. - Chodź, kochanie, możemy się tu położyć i zrobić wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłeś.

Nawet nie drgnąłem. Ogarnęła mnie panika. Stałem drżący, zziębnięty i przerażony.

Gdzie się podział ten czerw? Ta krew i wnętrzności?

- Nie jesteś Rheta. To niemożliwe - powiedziałem stanowczo.

Zawahała się i wpatrywała we mnie, dostrzegłem, że ma oczy zupełnie inne niż Rheta.

Były ciemne, przypominały złowrogie ślepie węża. Patrzyły na mnie z twarzy Rhety niczym oczy kogoś innego spoglądające zza maski.

Otworzyła usta, lecz zamiast słów popłynęła z nich czarna, gęsta struga spęczniałego mięsa. W pierwszej chwili sądziłem, że wymiotuje, ale czarny stos rósł szybko, najpierw osiągnął rozmiar człowieka, wkrótce był już tak wielki, jak czerw żerujący na plaży. Postać Rhety zniknęła, stanął przede mną Chulthe w groteskowej postaci o zuchwach niby nożyce i tępych, bezmyślnych oczach robaka. Zrobiłem krok do tyłu, odsuwając się od przerażających szczęk, przy tym ruchu pośliznąłem się na cuchnącym, lepkim kawałku ludzkiego ciała.

- Już kiedyś spotkałem tobie podobnych - rozległ się szept. - Ludzi, którzy próbowali pokrzyżować moje plany. Ludzi, którzy naiwnie sądzili, że powstrzymają mnie przed zajęciem należnego mi w świecie miejsca. Twoje słabości są śmieszne. A grzechy tak marne, że nawet nie potrafiłbyś umrzeć, jak na mężczyznę przystało.

Cofałem się dalej krok za krokiem. Może mi to niewiele pomoże, ale nie miałem zamiaru zostać tutaj, by moje ciało przyozdobiło prywatną plażę Chulthe.

- Już kiedyś cię pokonano - stwierdziłem. - I znów cię to czeka.

- Nie, jak długo na ziemi jest głupota, zazdrość i żądze. Pamiętaj, że jestem największym bogiem z obszaru za konstelacją Byka i dopóki ludzie czczą diabła, będę nadal żył i kiedyś zapanuję nad ziemią, choć na razie spoczywam w studniach, czekając na powrót dni świetności Atlantydy.

- Czas Atlantydy nigdy nie powróci.

Potworny czerw ruszył w moją stronę. Może mi się tylko tak wydawało, ale na jego paszczy pojawiały się znane mi twarze. Widziałem Dana, Cartera, Jima Bodine'a. Widziałem



Alison, choć z trudem poznałem jej twarz wykrzywioną dzikim grymasem i oczy nabiegłe krwią. Znow zobaczyłem Rhetę uśmiechającą się z jawną pożądlwością. Widziałem matkę i ojca, twarze ludzi dawno pomarłych i zapomnianych. Widziałem siebie w chwilach słabości, bólu czy żalu.

- Może i Atlantyda nigdy nie powróci - szeptał głos - ale nastanie królestwo Quithe.

Po wiekach niewoli znow czuję świat na wyciągnięcie ręki. I się nie mylę. Ziarna, które zasiałem, wydały owoc. Owoce pożądania, zdrady i okrucieństwa. Zawsze rządziłem dzięki nim i gdy ponownie sięgnę po władzę, będą do mojej dyspozycji. A wtedy wasz świat będzie czarniejszy od najczarniejszej nocy, a ból i rozkosz rozbłyszczą niczym jedyne latarnie morskie nad piekielnym horyzontem.

Cały czas patrząc na czerwia i posuwając się krok za krokiem, znalazłem się po kolana w falach jeziora. Woda była lodowata i doskonale wiedziałem, że jeśli spróbuję płynąć, długo w niej nie pożyję. Nie miałem najmniejszych szans na ucieczkę przed Quithe, nie zdołałem zanurkować do dna i umknąć korytarzem.

Przez grotę przebiegło drzenie niczym od uderzenia gromu i na moich oczach potworny czerw zaczął się kulić, zwijać niczym czarny spadochron, w końcu pojawił się przede mną wysoki, rogaty mężczyzna w czarnym, lśniącym długim płaszczu. Miał wydatne kości policzkowe, skośne oczy, a skórę w kolorze starego pergaminu.

- Jestem stworzeniem wód - wyszeptał - ale pod taką postacią zwykłem pojawiać się w świecie w owych pradawnych czasach panowania ciemności, gdy światło nie przenikało do pustyni i puszczy ani owych dziwnych miast, gdzie żyli ludzie i półludzie. Ta twarz i ta postać wryła się w waszą kulturę jako przedmiot i nienawiści, i boskiego hołdu; nadejdzie dzień, gdy znow będzie kroczyć po ziemi zostawiając ślad kopyta na ścieżkach nocy. Tę postać zwą szatanem, choć przecież nie wiedzieli, że takie było jedno z moich wcieleń w pradawnych

czasach, w świecie tak dalekim, że wy nigdy nie przeczuwaliście jego istnienia, kiedy byłem dumnym diabłem Agnarga. Dla imienia Agnarga popełnialiście niewyobrażalne grzechy, odmawialiście modły wspaniałe oraz wznosiliście przekręcone do góry nogami, przeinaczone symbole waszej największej religii. To nic w porównaniu z tym, co teraz uczyni szatan. Mężczyzna rozsunął poły płaszcza odsłaniając wielkiego, ciemnego penisa w stanie erekcji. Napletek się zsunął i zaczęła wypływać czarna ektoplazma tak długo, aż na plaży znów wyrósł ogromny czerw.

- Ludzie pełzający po tej ziemi są tak głupi - szeptał potwór. - Już od dawna podejrzewali, że istnieję, mają tyle historii o czasach mojej wielkości. Ale nigdy naprawdę nie uwierzyli, że czekam na Dzień Nieprawości, gdy groby się otworzą nie dla dokonania sądu, lecz by zmarli z nich powstawszy, zapolowali na żywych. Żywi zawsze czerpali ze zmarłych, teraz przyszedł czas umarłych i ich nieszczęsnych duchów. Nigdy nie przeczuwali, że każda z legend zawiera cząstkę łamigłówki, która dowodzi mego istnienia. Tak, bogowie przybyli z głębin wszechświata w czasach, gdy wy, ludzie, niewiele przewyższaliście zwierzęta. Daliśmy wam siłę, moc i nauczyliśmy wiedzy tak tajemnej, że dziś mogą o niej jedynie szeptać w ukryciu. Przemieniliśmy was w wodnych ludzi, aby nam mogli służyć i na lądzie, i w oceanach, gdzie były nasze największe warownie. A jednak zapomnieliście o tych potworach, które was przerażały, albo jeśli o nich wspominaliście, to jedynie jako o straszliwej grze wyobraźni. Nazywacie ich syrenami i umieszczacie w bajkach dla dzieci. Uczyniliśmy wiele innych rzeczy. Przenosiliśmy głazy tak potężne, że dzisiejsi ludzie uważają swoich przodków za cudotwórców. Nakreśliliśmy na ziemi sieć linii psychicznych emanacji, dzięki którym się porozumiewamy, a ludzie wierzą w ich tajemną siłę. Cała rasa ludzka pozostawała pod władaniem królów z podwodnych gór Atlantydy, dynastii rozpusty, zła i nieprawości. To były wielkie i przerażające czasy. Powrócą.

Znów czerw zaczął się poruszać i zmieniać swą postać, aż stanął przede mną ogromny, biały cyklop. To on wydzielał z siebie straszliwy smród gnijącej ryby. Poznałem go natychmiast. Jedyne oko było symbolem oka diabła, o którym mówiła pani Thompson tuż przed śmiercią. To jego rysowali starożytni artyści, a dziś naukowcy uważają za “bóstwo z przestrzeni kosmicznej”.

Sam nie wiem, dlaczego przykleknąłem w lodowatej wodzie. Byłem śmiertelnie zmęczony, obity i pobity, nie widziałem żadnej drogi ucieczki, żadnego sposobu, by powstrzymać Chulthe od wyrwania się z tego podziemnego jeziora i stworzenia piekła na ziemi.

Popatrzyłem na potwora, a on roztoczył przed moimi oczami najprzeróżniejsze obrazy. Z powietrza stworzył osoby, które żyły i oddychały. Widziałem mężczyzn zdzierających z siebie skórę hakami z drutu kolczastego i jęczących w bólu. Widziałem mężczyzn rozcinających brzuchy i biorących jelita we własne ręce. Widziałem dzieci żłapiące krew wymieszaną z winem, słyszałem ich wysoki śmiech. Kobiety oblewające głowy płonącym olejem, stojące z włosami w ogniu i masturbujące się w szaleństwie bólu. Nagie dziewczęta na czworakach gwałcone przez małpy i psy w obecności szepczącego tłumu. Ich jęki i okrzyki rozkoszy zdawały się rozbrzmiewać straszliwie blisko, a równocześnie w odległości tysięcy, milionów mil.

Powoli blakły te złudne obrazy. Czarna bestia była tuż obok mnie, najwyżej o pięć, sześć stóp. Otaczała ją przerażająca atmosfera śmierci, oczy robaka nie miały w sobie żadnych uczuć, nawet cienia życia.

- I co chcesz ze mną zrobić? - zapytałem, a mój głos odbijał się echem bez końca. -

Zabić?

Z początku stwór milczał. Z zuchw spływało coś w rodzaju żrącego płynu.

- Potrzebuję twojej siły - wyszeptał w końcu. - Twojego ciała. Od tak dawna spoczywam w tej grocie wysuszony, bezsilny. Kiedy zdobędę twoje ciało, popłynę do ostatniej groty, do której wszedłeś z, twoimi żalonymi towarzyszami. Ona stanie się moją salą tronową, moim szatańskim kościołem, od niej rozpocznę budowanie mego nowego imperium.

Kolejne wstrząsy zmarszczyły tafle jeziora, przygasła zielona fluorescencja stalaktytów i stalagmitów. Widać zawierały jakieś związki krystaliczne pobudzane do świecenia przez energię psychokinetyczną potwora i stąd pochodził ich blask. Cieszyłem się, że świeciły, jeśli “cieszyć się” to właściwe słowo w takiej sytuacji. Chyba gorzej byłoby zostać pożartym w całkowitych ciemnościach, na dodatek przez bestię, której nigdy się nie widziało.

Kłęcząc w lodowatej wodzie, pochyliłem głowę i zacząłem się modlić: “Boże, wiem, ile razy czyniłem źle, ile razy byłem porywczy, głupi i wyniosły, ile razy nie chciałem traktować poważnie problemów i lęków innych ludzi. Proszę, nie patrz na moje nieprawości, lecz ocal mnie z rąk tego szatańskiego potwora, ocal nas wszystkich. Amen.

O mój Boże, amen.

Na gładkiej tafli jeziora rozległ się plusk. Podniósłszy głowę spojrzałem za siebie.

Czerw również uniósł łeb i widziałem, jak ślepiami wodzi po toni.

Dopiero po paru sekundach dostrzegłem źródło dźwięku. W naszym kierunku powoli dryfowała martwa kobieta, niosły ją tu fale wywołane wstrząsem, który zapewne wypchnął ciało z korytarza na dnie jeziora, ciało Alison Bodine, mojej drogiej przyjaciółki i straszliwego wroga; śmierć ją przynajmniej wyzwoliła z powłoki krwiożerczego kraba, w którego została przemieniona. Chociaż Bóg nie ocali mnie z rąk szatana, to jednak wziął do siebie duszę Alison i przywrócił dawną postać jej ciała.

Chulthe skupił całą uwagę na zwłokach. Żuchwy zaczęły się poruszać, zgrzytać, a czarne, pomarszczone cielsko zwijało się gwałtownie. Zobaczył ludzkie mięso, a tego właśnie potrzebował. Poszarpane, okaleczone ciało, które mogło służyć za pokarm.

Niemal bezszelestnie zsunął się w wodę. Mokre, czarne cielsko płynęło szybko i pewnie niczym rekin lub węgorz. W okamgnieniu żuchwy wychynęły z fal i chwyciły ciało

Alison, toń jeziora się zmarszczyła, potwór zawrócił do brzegu.

Oto pojawiła się moja ostatnia szansa. Głęboko zaczerpnąłem powietrza i z całych sił, których miałem doprawdy niewiele, zacząłem płynąć jak najdalej od kamienistej plaży.

Chulthe ciągnący na brzeg ciało Alison nawet nie zauważył mojego zniknięcia, a ja przerażony, w desperacji wymachiwałem rękami, płynąc ku miejscu, gdzie wynurzyłem się z dna jeziora. Pokonanie paru stóp zajęło mi całą wieczność.

Spojrzałem przez ramię. Ciało Alison spoczywało rozciągnięte na skałach, a czerw pochylał paszczę nad jej rozdartymi wnętrznościami. Zaczerpnąłem powietrza i zdwoiłem wysiłki, powtarzając sobie, że moje stopy naprawdę nie są lodowate, że nie straciłem czucia w dłoniach i że na pewno mi się uda. Po raz pierwszy w życiu nie wierzyłem samemu sobie.

W końcu Chulthe i jego martwa ofiara zniknęli za załomem jaskini, a ja młóciłem wodę nad miejscem, w którym się wynurzyłem na powierzchnię. Uniósłszy wyżej głowę, zaczerpnąłem trzykrotnie oddechu, po czym nabrałem powietrza po raz czwarty, głęboko aż do bólu, i zanurkowałem szukając dna.

Zimna woda wdarła mi się do nosa i uszu, ale płynąłem dalej z otwartymi oczami, szukając korytarza wiodącego do następnej groty. Słabe zielonkawe światło zniknęło i w całkowitych ciemnościach zmuszałem się do płynięcia w dół, ku dnu jeziora.

Dotarłem tam szybciej, niż się spodziewałem. Ale nie wyczułem twardego, kamienistego dna. Ani żadnego korytarza. Pływałem powoli, wymachując rękami i nogami,

by pozostać na dole, i wiedziałem, że nawet gdybym znalazł szczelinę, to i tak najprawdopodobniej nie starczy mi oddechu, by uciec. Ogarnął mnie dziwnie beztroski, głupawy nastrój i pomyślałem, że jeśli zacząłbym oddychać wodą, jak w moim śnie, to też mógłbym pływać.

Wtem znalazłem korytarz, nie zdając sobie z tego sprawy. Tak bardzo się starałem utrzymać na dnie, że wpłynąłem do niego i dopiero wtedy zrozumiałem, gdzie jestem. Nagle poczułem wokół siebie skały i wodę pod sobą, natychmiast z całych sił zacząłem się przepychać między ścianami i gorączkowo przesuwać do przodu.

Zajął mi to wieki całe. Głowa znów mi pękała z braku tlenu, ale pojąłem, że mam szansę, i ta świadomość mi wystarczyła. Walczyłem uparcie i wtem poczułem, że się wznoszę, coś mnie wypycha ku promieniom latarek oświetlających wodę, i wynurzyłem się nad powierzchnię na wpół uduszony, ale bezpieczny. - Mason! - krzyknął Dan.

Kiedy otarłem wodę z oczu, zobaczyłem go stojącego na półce skalnej z Shelleyem u boku. Znajdowali się tam jeszcze Martino, dwóch innych policjantów i niski mężczyzna w białym ubraniu roboczym, Pete Lansky z Litchfield Quarries. Podpłynąłem do balkonu i Dan pomógł mi się nań wspiąć, bo cały przemarznięty trząłem się gwałtownie.

Dan prawie płakał. Chwycił się rękami za głowę i powiedział:

- Myślałem, że zginąłeś. Naprawdę myślałem, że zginąłeś. Co się stało?

- Niewiele. - Uśmiechnąłem się niepewnie. - Opowiem ci później. Marzę tylko o jednym: wydostać się stąd jak najszybciej.

- Chcemy wysadzić tę jaskinię. Dlatego zjawił się Pete Lansky. Wróciłem tutaj i przekazałem na górę wiadomość, żeby go przywieźli.

- Chcecie to wysadzić? - spytałem. - U licha, i co to da? On jest w następnej grocie i natychmiast tu przyplynie załatwić nas na dobre.

- Wiem. - Dan pokręcił głową. - Albo przynajmniej się tego domyśliłem. Dlatego wezwałem Pete'a. Widzisz, niecały ten labirynt jest zalany wodą. Gdy tylko zniknąłeś, ruszyłem szukać pomocy, ale pobłądziłem i dotarłem korytarzem do sąsiedniej jaskini. Zupełnie suchej jaskini. I kiedy ją dobrze obejrzałem, stwierdziłem, że za nią ciągnie się cały labirynt grot i tuneli również całkiem suchych.

Martino podał mi swój płaszcz, otuliłem się nim, by się trochę rozgrzać. Głośno szcząkałem zębami i wiedziałem, że jeśli szybko się nie przebiorę i nie napiję czegoś mocnego, to skończę z zapaleniem płuc.

- Co z tego? - zapytałem Dana. - Znalazłeś cały system podziemnych, suchych jaskiń.

I co z tego?

Dan położył dłoń na moim ramieniu.

- Więc założymy ładunek, a raczej Pete to zrobi, tuż pod powierzchnią tego jeziora i wywalimy zgrabną dziurę do suchej groty. Woda tam popłynie i dzięki temu jej poziom znacznie się obniży.

- Dzięki czemu Chulthe znów popadnie w tarapaty.

- Tak jest.

Przeciągnąłem dłonią po mokrych włosach, z których kapiała woda.

- Dan, mimo wszystko łebski z ciebie facet.

- Zawsze wiedziałem, że mnie doceniasz, a teraz zabieraj swojego kota i jazda na górę. Pete mówi, że za dziesięć minut odpala. Wynosimy się stąd na dobre.

Zatrzymałem się na chwilę. Popatrzyłem na otoczoną kolumnadą jaskinię, ciemne wody jeziora, w które wciągnięto tylu ludzi. Bez wątpienia stałem w przedsionku piekła, u wrót świata bez Boga, w którym ludzie zachowywali się jak bestie, a bestie panowały nad ziemią jak ludzie. Zadrzałem, a jeden z policjantów poprowadził mnie do wyjścia. Shelley

kroczył za nami, lekceważąc moją próbę wzięcia go na ręce. Jasne jak słońce - nie chciał się zamoczyć.

Przecisnęliśmy się korytarzem do jaskini zamieszkaanej przez nietoperze albinosy, gdzie już przygotowano dla mnie uprząż. Zapiąłem pas, trzymając mocno kota pod pachą, i szarpnąłem za linę, by mnie wyciągnięto na górę.

Gdy wydostałem się z otworu na podwórko Bodine'ów, nadal padało. Robotnicy kulili się z zimna w swych nieprzemakalnych płaszczach, a policjanci włożyli peleryny. Wszędzie unosił się intensywny zapach gnijącej ryby, światła reflektorów lśniły i migotały w kropelkach deszczu, niedaleko stało kilka radiowozów i karetok pogotowia, a ich czerwone i niebieskie koguty błyszczały w mroku.

Ktoś pomógł mi usiąść na skraju wykopu i rozpiąć pas. Dwóch sanitariuszy z noszami podeszło, by zapytać, jak się czuję.

- Chory i zmęczony - odparłem.

Jeden z nich, w okularach zalanych deszczem, podał mi miniaturową buteleczkę yukon Jack. Opróżniłem ją jednym haustem, odkaszlnąłem i przysiadłem na noszach, nie zważając na deszcz padający mi na głowę.

Po chwili mogłem już sam iść do karetki. Tu rozebrano mnie z mokrego ubrania i wstrzyknięto antybiotyk, aby zapobiec ewentualnemu zakażeniu. Odmówiłem zabrania mnie do szpitala, dopóki na powierzchnię nie wyjdą Dan i Martino, a ładunek nie zostanie odpalony.

Próbowali do mnie zagadywać, ale nie odpowiadałem na pytania. Leżałem otulony w koce i myślałem o ogromnym, pomarszczonym czerwiu, diabelskim potworze, zwanym Quithe albo Chulthe, albo szatanem. Wycisnął tak mocne piętno na ludzkiej egzystencji, że nawet po tysiącach lat pamięć o nim nie zginęła. Wydobywał z człowieka najbardziej



sadystyczne, pożądliwe i egoistyczne uczucia. Ukryty w ciemnych grotach pod ziemią w

Connecticut, za wszelką cenę chciał się wyrwać na wolność.

Skoro Chulthe spał w systemie wodnym Nowej Anglii, to nic dziwnego, że w

Massachusetts odbywały się procesy czarownic. Nic dziwnego, że celtyccy rybacy opowiadali

o potwornym krabie wabiącym ludzi do morza na pewną śmierć. Żadna z legend o szatańskim

duchu nie wydawała mi się teraz śmieszna; żadna z dziwacznych teorii o bogach przybyłych z

otchłani wszechświata. Wszystkie wywodziły się od boga-bestii Chulthe, który władał

Atlantyda, złowrogiego bóstwa chcącego znów rządzić. I wszystkie były prawdziwe.

Zamknąłem oczy i ujrzałem obrazy, które pokazał mi Chulthe. Widziałem uda kobiet

ociekające krwią. Widziałem twarze mężczyzn wykrzywione bólem, gdy dobrowolnie

rozszarpywali własne ciała. Widziałem dzieci miażdżone dla chwilowej rozkoszy dziwnych

stworów.

Wtem jakaś dłoń dotknęła mojej twarzy. Otworzyłem oczy. Dan. Uśmiechał się.

Cuchnął smrodem z jaskini i potem, ale uśmiechał się szeroko.

- Już prawie skończyliśmy - powiedział. - Pete właśnie zakłada detonator. Pozwolą ci  
stąd wyjść, żebyś mógł się przyjrzeć?

Sanitariusze popatrzyli po sobie z ponurymi minami.

- Nie chcę patrzeć - odparłem cicho. - Tylko nie spartolcie, dobra? Wypuście całą  
wodę z jaskini.

Podszedł Pete Lansky i zajrzał do karetki. Na wełnianym kapeluszu błyszczały  
kropelki deszczu.

- I jak się czujesz, Mason? - spytał. - Wyglądasz, jakbyś wrócił z piekła.

- Można by i tak to nazwać. Kiedy odpalisz ładunek?

- Zaraz. Przyszedłem powiedzieć sanitariuszom, żeby się stąd nie ruszali.

- Jasne, słyszeliście, chłopcy? Wzruszyli ramionami i potaknęli.

Czekaliśmy jakieś pięć minut, po czym rozległ się przenikliwy dźwięk gwizdka i paru robotników przebiegło obok nas w poszukiwaniu schronienia. Ktoś znów zagwizdał, tym razem dwukrotnie, domyśliłem się, że to oznacza, że Lansky za chwilę naciśnie detonator. Dan stał oparty o karetkę. Przez moment nic się nie działo, a potem rozległ się bardzo głęboki huk, od którego ziemia zatrzęsała się nam pod stopami. Po nim nastąpił przeciągły łomot, to rozpadły się ściany dzielące suchą jaskinię od zalanej. Gdy miliony galonów wody runęły przez wybitą dynamitem dziurę, ziemia znów zadygotała. Woda zalewała grocie za grota, jamę za jamą, pustoszała diabelska katedra i przedziwna grota, w której Chulthe spał, śnił i knuł, pianiste fale bulgotały, pryskały w korytarzach, przejściach i kolumnadach podziemnej otchłani.

Po chwili zapadła cisza. Dan popatrzył na mnie.

- Załatwione. Wygląda na to, że się nam udało - powiedział.

- Ktoś pójdzie sprawdzić?

- Może później, ale to już zależy od władz okręgu, niech oni się martwią. A na twoim miejscu wróciłbym do przetykania rur.

- Jedziemy, chłopcy - zwróciłem się do sanitariuszy. - Nie ma już na co czekać.

- Pański kot ułożył się na przednim siedzeniu - odezwał się jeden z nich. - Mam nadzieję, że wie pan o tym, że zwierzętom nie wolno podróżować pojazdami...

Przymknąłem oczy, byłem bardzo zmęczony.

- Shelley nie jest zwierzęciem - odparłem cicho. - To mój przyjaciel.

Dan zamknął tylne drzwi karetki. Gdy mnie wieźli do szpitala, chyba słyszałem włączony sygnał, ale nie dałbym za to głowy.

Następnego ranka przysłała w odwiedziny Rheta. Siedziałem na łóżku, przeglądając

zaczuty na śmierć egzemplarz komiksu i zerkając na deszcz zalewający szpitalne okno.

Byłem obolały, wszystko wydawało mi się bardzo odległe, a równocześnie nie mogłem się doczekać powrotu do domu; musiałem przecież posprzątać zatopiony salon. Chciałem jak najszybciej wrócić do normalnego życia.

Rheta włożyła skromny kostium z czarnej wełny, w którym wyglądała bardzo poważnie, choć zarazem szalenie pociągająco. Usiadła na moim łóżku, jej uśmiech sprawił, że poczułem się lepiej, niż gdybym przez tydzień łykał antybiotyki i dostał dwie szczepionki przeciwtężcowe.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Nieźle.

- Nic nam nie powiedziałeś o tym, co się tam stało. Spuściłem wzrok.

- Daj mi trochę czasu. Moglibyśmy o tym porozmawiać kiedyś przy kolacji.

- Może - odparła z uśmiechem.

- U Dana wszystko w porządku?

- O, tak. Świetnie. Aha, rozmawiałam ze znajomym z policji. Znaleźli tego faceta, Karlana. Pamiętasz, tego, który zniknął, i sądziliśmy, że też się przemienił w kraba. Był w Filadelfii u jakiejś kobiety. Bardzo to skomplikowana historia, ale gość jest zdrowy, cały i nie przemienił się w nic okropnego.

- To dobrze. - Skinąłem głową. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Pewnie przydałaby ci się jakaś pomoc przy porządkowaniu domu - zagadnęła Rheta.

Ująłem ją za rękę.

- Na pewno.

Popatrzyła mi prosto w oczy.

- To ci z przyjemnością pomożemy. Jeśli chcesz, żeby ci ktoś uprał zasłony albo

wyczyścił dywany, to wpadniemy w przyszły weekend.

Zapadło milczenie. Telewizor w moim pokoju miał wyłączoną fonię, ale w panującej ciszy usłyszałem, jak dziewczyna z ekranu pyta: “Czyli to tak jest? To już koniec?”

- My? - zapytałem. Tylko ostrożnie, pomyślałem. Uśmiechnęła się.

- Kenny Packer i ja. Właściwie to się zaręczyliśmy. Nadal trzymałem ją za rękę.

Wyrwać ją byłoby dziecinne.

Wyglądałoby na zazdrość.

- Masz zamiar wyjść za Twardziela Packera? Naprawdę?

- Tak - odparła bardzo cicho.

Zamknąłem oczy. Widziałem Rhetę tak, jak mi ją diabeł podsuwał, w płomiennie czerwonym staniku, z którego wychylały się różowe sutki, w czerwonych pończochach i skąpych majteczkach. Widziałem, jak cienki pasek materiału przecina jej białe pośladki.

Nie ma się czemu dziwić, pomyślałem. Nie ma się co dziwić, że ludzie służyli diabłu i szli z nim na układy. Nie ma się co dziwić, że oddawali cześć złowrogim bóstwom żyjącym w podwodnych górach Atlantydy. Zawsze przychodzi chwila żalu, chwila rozpacz, gdy się pożąda kogoś, kto na zawsze pozostanie dla człowieka niedostępny.

Jak długo kobiety i mężczyźni będą ulegać chciwości, zazdrości i rozpustnym pragnieniom, tak długo będzie nam zagrażać wyschnięty Chulthe z jaskiń pod Connecticut.

Kiedy znów rozpętają się potężne burze i spadną obfite deszcze, a noce zrobią się bardzo ciemne, szatan poruszy się we śnie.

- Sprawdzisz, czy Shelley dostaje posiekaną wątrobkę? - poprosiłem Rhetę.

- Oczywiście. Ale na Dana można liczyć - odparła z uśmiechem.

Pochyliła się i ucałowała mnie w policzek. Uśmiechała się delikatnie, czule i pewnie już nigdy w życiu nie znajdzie się tak blisko mnie.

- Zawsze będziesz mi bardzo drogi, Mason - wyszeptwała. - Chyba o tym wiesz.

Gdy już poszła, zostawiając mi parę pomarańczy i egzemplarz książki Szczęki II,

wymamrotałem pod nosem:

-

Jak diabli.